TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI
Wojna o Trybunał: politycy źle się bawią
Od Paryża po Belgrad: jak buntują się zetki
Księża mówią o swojej depresji
Jak działa nasz mózg w świecie nadmiaru
Nagroda Bonus: nasi nominowani

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 4 – 9 listopada 2026 | nr 45 (4035)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

TROPICIELE SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

SYLWIA CZUBKOWSKA
O NOWEJ PANICE MORALNEJ
STR. 10-15



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425

REKLAMA

Kraków

Biblioteka Kraków

Bądź bardziej smart od smartfona – sięgnij po książkę!

Wczesna higiena cyfrowa zaczyna się od dobrych nawyków



Aż **30%** polskich domów to domy bez żadnej książki

Tylko **50%** polskich rodziców czyta swoim dzieciom

Jedynie **7%** dorosłych w Polsce czyta regularnie

Czytanie książek **obniża poziom stresu**. Mocno redukuje poziom kortyzolu, rozluźnia mięśnie, spowalnia rytm pracy serca.

Regularne czytanie **prowadzi do zwiększenia liczby połączeń neuronalnych** – to prozdrowotne ćwiczenie dla mózgu!

Czy trudno znaleźć 20 minut dziennie na czytanie na głos własnemu dziecku? Trudno. A ile minut dziennie skrolujesz telefon?

- Dzieci czytające książki znacznie lepiej radzą sobie w nauce! Młody człowiek pochłaniający powieści będzie wzmacniał umiejętność uczenia się tak samo matematyki jak historii!
- Dzieci czytające mają większą łatwość budowania wypowiedzi.
- Wspólne czytanie z dzieckiem od małego nie tylko jest świetną inwestycją w jakość życia dziecka w przyszłości, ale też buduje autorytet rodzica.

Biblioteka Kraków we współpracy z Fundacją Powszechnego Czytania prowadzi pilotażowy program z zakresu wczesnej higieny cyfrowej adresowany do rodziców dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym oraz nauczycieli.

BIBLIOTEKA KRAKÓW • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

ORGANIZATOR

Biblioteka Kraków

Fundacja Powszechnego Czytania

Ratownicy czytelnictwa

PATRON

Radio Kraków

KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, EDWARD AUGUSTYN

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Prawo silniejszego
MAREK KĘSKRAWIEC

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Surowo nie znaczy mądrze



GRAŻYNA MAKARA

WŁODZIMIERZ WRÓBEL, SĘDZIA SN, W ROZMOWIE Z MARKIEM KĘSKRAWCEM I JACKIEM STAWISKIM: *Czy w surowych wyrokach nie maskujemy potrzeby zemsty?*

20 Jest mnie coraz mniej
ANNA KORYTOWSKA: *Na anoreksję chorują coraz młodsze dzieci*

23 Krajobraz po szpitalnej bitwie
PATRYK SŁOWIK: *Z afery, która mogła być początkiem głębokiej reformy, uszło powietrze*

■ ■ ŚWIAT

36 Plemiona sięgają po miecz
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: *Wybory w Izraelu bez niespodzianek. Netanjahu jak był, tak zostaje*

39 Warsztaty z pojednania
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO: *Po latach wrogości Japonia i Korea Południowa znajdują wspólny język*

■ ■ OPINIE

44 Wszystkie lęki tego świata
MATEUSZ MAZZINI: *Demonstranci z pokolenia Z wychodzą na ulice*

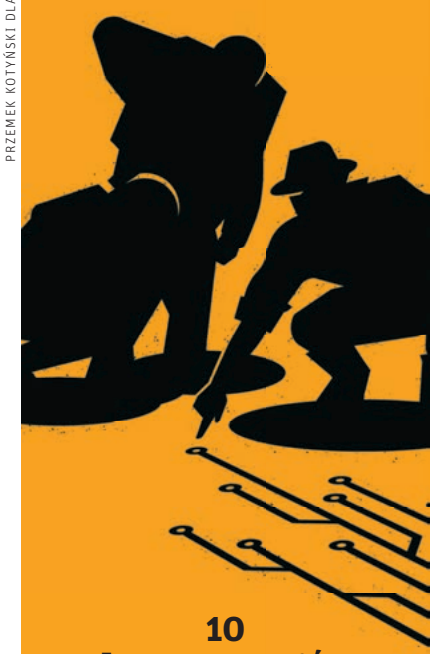
■ ■ WIARA

48 Gdy ksiądz nie udźwignie
EDWARD AUGUSTYN ROZMAWIA Z MONIKĄ BIAŁKOWSKĄ *o depresji księży i Kościele, który nie wie, jak im pomóc*

51 Na dworze Heroda
MARIA ROGACZEWSKA *o ewangelicznym stylu w polityce*

PRZEMEK KOTYŃSKI DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA



10
Łowcy promptów
SYLWIA CZUBKOWSKA

Coraz trudniej odróżnić prawdziwe od wygenerowanego. A śledzenie śladów AI stało się sposobem na zdyskredytowanie każdego.

■ DODATEK ■

27 NAGRODA BONUS – NASI NOMINOWANI

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o Trybunale Konstytucyjnym*

26 OLGA DRENDA *o mocy tajemnej*

43 ELIZA KĄCKA *o listopadowym ruchu*

57 ZUZANNA RADZIK *o Wiśle*

84 PAWEŁ BRAVO *o zupie fasolowej i teksturze jedzenia*

90 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o literaturze i AI*

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: PRZEMEK KOTYŃSKI DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY: EDWARD AUGUSTYN

54 Woda się nie zamknęła
TOMASZ MAĆKOWIAK: *Czeski podziemny Kościół nadal żyje i owocuje*

56 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

58 Dzieciątko nabiera mocy
ALEKSANDER GURGUL: *Zaczęło się El Niño. I będzie wyjątkowo silne*

■ ■ HISTORIA

62 Niech żyje cesarz!
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI: *220 lat temu Napoleon Bonaparte wjechał do Poznania*

■ ■ KULTURA

66 Mélissa i rumianek



WALDEMAR KOMPAŁA / TVP / EAST NEWS

DOROTA MALINA: *Na czym polega fenomen Mélissy Da Costy?*

69 W domu z Ekipą
ANNA PAJĘCKA: *Czy internetowi influencerzy przechytrzą Komisję Europejską*

74 Już pełnoletni, wciąż nieposłuszny
PAULINA FRANKIEWICZ: *Podsumowanie 18. edycji Festiwalu Conrada*

76 Figura niemożliwa
ANITA PIOTROWSKA: *film „Zobaczysz wszystko" to genialna opowieść o prawdzie i iluzji*

77 Niespieszna wędrówka
LEKTOR *o książce Roberta Walsera „Mikrogramy wybrane"*

80 Mów do swojego dziecka
MONIKA OCHĘDOWSKA ROZMAWIA Z NEUROLOGOPEDKĄ MARTĄ KORENDO: *Opowiadanie jest najważniejszym bodźcem stymulującym rozwój mowy dziecka*

■ ■ PSYCHE

86 Utul umysł
EWELINA BURDA ROZMAWIA Z NEUROBIOLOŻKĄ ASIĄ WOJSIAT: *Umysł potrzebuje mózgu, z kolei zdrowy mózg zależy ściśle od tego, w jakiej kondycji jest umysł*

KS. ADAM

Boniecki: *Sprawiedliwość i powrót do źródeł*

Mamy w numerze rozmowę z sędzią Włodzimierzem Wróblem. Rozmowę o problemie sprawiedliwości – szerszym niż kwestia obecnego kryzysu wokół Trybunału Konstytucyjnego czy budzącego kontrowersje wyroku na sprawcę śmiertelnego wypadku drogowego. Mnie podczas lektury przypomniała się np. sprawa, której rozstrzygnięcie w systemie prawnym rodziło i rodzi spory od początku istnienia III RP: sprawa aborcji.

Oczywiście trzeba tu dobierać słowa. Temat jest z pogranicza medycyny i moralności. Trzeba znać się i na jednej dziedzinie, i na drugiej. Moja wiedza jest niekompletna, wiem jednak, że Kościół – opierając się na danych medycznych, nie teologicznych – trzyma się tezy, że człowiek jest człowiekiem od chwili poczęcia. Stąd doktryna traktująca każde zabicie płodu jako zadanie śmierci.

Na zasadnicze pytanie, od kiedy „to coś" jest człowiekiem, albo nie ma jednoznacznej odpowiedzi, albo jest odpowiedź: że nie „coś", lecz „ktoś", bo to człowiek od poczęcia. Ta druga odpowiedź jest decydująca. Lub nie jest... Jeśli antropologię traktujemy teologicznie, jeśli każdy człowiek jest chciany przez Boga, jeśli jego zaistnienie jakoś – nie wiemy jak – Boga angażuje, aborcja jest wbrew temu Bożemu zamysłowi. Jednak jeśli nie ma Boga, nie ma i Jego zamysłu... Jak uzgodnić wspólne stanowisko?

Historia prawa do aborcji dobrze ilustruje labilność ludzkich praw. Oczywiście wiedza medyczna odgrywa tu



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH // TYGODNIK POWSZECHNY

EDWARD

Augustyn: *Koło miele*

Krystyna Ceynowa, wdowa po rybaku z Chałup, została oskarżona o czary i poddana „próbie wody". Nie utonęła od razu, więc uznano ją za wiedźmę i zatłuczono wiosłami, ku uciesze gawiedzi. Jej zabójstwo (190 lat temu) było ostatnim na polskich ziemiach „pławieniem czarownicy".

Dziś jednym ze sposobów piętnowania ludzi jest tropienie śladów AI w ich twórczości: literackiej, artystycznej czy naukowej. Robi się to przy pomocy, a jakże, sztucznej inteligencji, która sama staje się sędzią we własnej sprawie.

Opisuje to **SYLWIA CZUBKOWSKA** w artykule „Łowcy promptów". By uzyskać *purgatio canonica* (oczyszczenie kanoniczne), trzeba zawczasu gromadzić dowody swej niewinności – zrzuty ekranu, historię zmian w dokumencie, metadane. Mechanizm „udowodnij, że ty to sam napisałeś (namalowałeś)" jest nową odsłoną starego procederu.

Trzeba też udowadniać, że jesteśmy ludźmi. Detektory AI szukają słów, które tego dowodzą lub kwestionują. Ale to też już było. Księga Sędziów opisuje test (*szibolet*) demaskujący Efraimitów. Sycylijczycy używali słowa *ciceri*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 73

SPRAWDŹ **PROMOCYJNĄ OFERTĘ:** PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

swoją rolę, jednak chyba nie tylko ona. Bywają sytuacje moralnie tak złożone, że wymykające się prostym decyzjom i ocenom. Z pewnością czym innym jest interwencja ratująca życie matki, a czym innym przerwanie ciąży, bo po prostu dziecko zagraża naszym planom.

Nie piszę tu traktatu moralnego, zajmuję się złożonością ludzkiego doświadczenia. Problem niby uboczny, lecz ważny: kompetencja spowiednika czy doradcy. Najczęściej po prostu przestajemy chodzić do spowiedzi. Niestety. I chyba nie w tym rzecz, że na swój użytek wymyślamy własną odpowiedź, ale w tym, że z odpowiedzi rezygnujemy.

To trzeba powiedzieć jasno: punktem odniesienia dla chrześcijanina ma być zawsze nauka Jezusa, a ta – to też powiedzmy jasno – często bywa przesłonięta przez wszystko, co w uprzednich wiekach wokół niej narosło. Ogólnie chyba można powiedzieć, że ta nauka jest trudniejsza, niż nam się wydaje, ale trudność jest gdzie indziej, niż często myślimy. Zresztą zobaczmy pierwszy lepszy przykład: starannie rozliczamy się z opuszczonych mszy niedzielnych, a byle jak się rachujemy z miłości do bliźnich, zwłaszcza nieznajomych. „W Polsce zapominamy zwłaszcza o kotwicy, którą mamy w Konstytucji. To w jej preambule jest mowa o wartościach chrześcijańskich" – mówi sędzia Wróbel, przypominając, że „one przyniosły pochwałę altruizmu, nie egoizmu. Kulturę miłości, a nie nienawiści; obrony słabszego przed silniejszym; solidarności".

Mówi się o powrocie do źródeł, do pierwotnej budowy, do Jezusa, do początków. Słusznie. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego".

(cieciorka), by łapać i mordować Francuzów. A zgubą niemieckich mieszczan po buncie wójta Alberta w Krakowie stały się „soczewica, koło, miele, młyn".

Żaden detektor ani algorytm nie jest w stanie rozstrzygnąć innego, toczącego się na naszych oczach sporu o autentyczność: kto jest prawdziwym sędzią lub prezesem Trybunału Konstytucyjnego (pisze o nim **MAREK KĘSKRAWIEC**, pytamy także **WŁODZIMIERZA WRÓBLA**).

W tym przypadku także organ, który ma rozstrzygać spory o legalność, sam staje się ich przedmiotem. Tu także po słowach identyfikujemy tożsamość jednego lub drugiego plemienia – tyle że testem nie jest *szibolet* czy soczewica, tylko „zamach stanu" i „służby Tuska" albo „dublerzy" i „wydmuszka".

„Pławienie czarownic" dokonuje się dziś na falach internetu, które dawno przestały służyć do surfowania i nawigacji. Ku uciesze mediów społecznościowych topimy w nich każdego dnia tysiące osób, które inaczej myślą, piszą, mówią (lub po prostu są inne). Może jedynie politycy pławią się w nich sami – i to z lubością.

Nie musimy brać w tym udziału. Nie mówię, że rozwiązaniem jest dezaktywacja konta na Facebooku czy Instagramie. Choć może i to warto przemyśleć. Bo jak mówią badania, rezygnacja z mediów społecznościowych zwiększa nasze poczucie szczęścia. O czym również, piórem **ŁUKASZA KWIATKA**, wspominamy w tym numerze. ©℗

Dziennikarz, redaktor, kierownik działu Wiara. W latach 2019-2024 korespondent „Tygodnika Powszechnego" z Watykanu.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

Następne wydanie „TP" ukaże się we wtorek 10 listopada 2026 roku.

MICHAŁ PRZEPERSKI
Świętując 11 listopada, nie musimy jednakowo pamiętać czasu transformacji. Możemy za to uczcić fakt, że o sposób urządzenia Polski wolno się spierać, i potraktować to prawo poważnie także wobec tych, których opowieści psują nam nastrój.

ANDRZEJ LEDER W ROZMOWIE Z JUSTYNĄ DĄBROWSKĄ:
W wielu społeczeństwach emancypacja do statusu obywatelskiego czy wręcz ludzkiego odbywała się przez unarodowienie. Lewica kompletnie tego nie doceniła.

TRUMP I USA: CO DALEJ?
Wybory „połówkowe" do Kongresu USA były testem dla Donalda Trumpa. Jaka może być teraz polityka Stanów przez ostatnie dwa lata jego kadencji? Zwłaszcza zagraniczna – wobec Europy, Rosji, wojny na Ukrainie?

KAMA WOJTKIEWICZ:
Jeśli potrafię być zaskoczoną, a może nawet zachwyconą, robi się więcej miejsca – na różnorodność poglądów i kontakt z różnymi częściami siebie, nie tylko tymi dorosłymi czy kompetentnymi.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

26 PAŹDZIERNIKA–1 LISTOPADA 2026

PRZEWRÓT W TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM: tuż przed weekendem Wszystkich Świętych sędzia Anna Korwin-Piotrowska ogłosiła zawieszenie prezesa Bogdana Święczkowskiego i wiceprezesa Bartłomieja Sochańskiego, a prokurator generalny Waldemar Żurek złożył wniosek o uchylenie immunitetu tym ostatnim. W siedzibie TK pojawił się Karol Nawrocki; w trakcie jego konfrontacji z sędziami, którym odmawia zaprzysiężenia, doszło ponoć do naruszenia nietykalności osobistej prezydenta. Otoczenie budynku – gdzie gromadzą się politycy i zwolennicy opozycji – zabezpiecza policja; prezes Święczkowski uważa, że nadal jest prezesem. ■■■ **EKSPERCI PRAWNI,** np. Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka i Fundacji Batorego, kwestionują legalność działań sędzi Korwin-Piotrowskiej, a politycy są podzieleni: wspierający ją premier w telewizyjnym orędziu mówi o „niszczeniu rządów prawa" przez PiS i prezydentów Dudę i Nawrockiego; prezydent Nawrocki uważa jej działania za nielegalne; wicepremier Kosiniak-Kamysz proponuje reset konstytucyjny, który „zapewni niezależność sędziom, skończy z podważaniem orzeczeń Trybunału i zakończy trwający spór". ■■■ **SKAZANY BISKUP.** Sąd w Tarnowie uznał miejscowego ordynariusza, Andrzeja Jeża, winnym niepowiadomienia organów ścigania o wykorzystywaniu seksualnym małoletnich przez dwóch księży z jego diecezji. Wyrok jest nieprawomocny. ■■■ **10 LISTOPADA** w Abu Zabi ma dojść do spotkania negocjatorów Ukrainy, Rosji i USA. Lokalne zawieszenie broni umożliwiło ewakuację ludności cywilnej z Ołeszek. ■■■ **ROSYJSKI DRON** uderzył w dworzec kolejowy miasta Dniepr, zginęło co najmniej 14 osób. ■■■ **KATASTROFA KOLEJOWA** w Hiszpanii: po zderzeniu dwóch pociągów dużych prędkości w prowincji Toledo zginęły co najmniej 74 osoby. ■■■ **WYBORCZY PAT** w Izraelu: ani blok premiera Netanjahu (53 mandaty), ani opozycja (48 mandatów) nie zdobyły większości w 120-osobowym Knesecie. 19 mandatów przypadło dwóm listom reprezentującym arabską mniejszość – ich poparcie pozwoliłoby opozycji przejąć władzę, ale współpraca z partiami arabskimi pozostawała dotąd tabu dla większości żydowskich ugrupowań. ■■■ **WE FRANCJI** protesty na tle socjalnym trwają trzeci tydzień; co weekend na ulice wychodzą setki tysięcy (młodych w większości) ludzi. ■■■ **W 30 MIASTACH** Niemiec protestowała młodzież domagająca się m.in. większych inwestycji w edukację i sprzeciwiająca się wprowadzeniu obowiązkowej służby wojskowej. ■■■ **LITWA WPROWADZI** powszechny pobór do wojska od 2032 r. Obecnie do służby powoływanych losowo jest ponad 5 tys. osób, po wprowadzeniu powszechnego poboru liczba wzrośnie do ok. 7,5 tys. rocznie. ■■■ **ILIANA JOTOWA** będzie pierwszą kobietą-prezydentem Bułgarii. W kampanii zapowiadała dążenie do poprawy relacji z Rosją. ■■■ **EWA PAJOR** zajęła drugie miejsce w plebiscycie magazynu „France Football" na najlepszą piłkarkę sezonu 2025/26. Wygrała Alexia Putellas, a wśród mężczyzn triumfował Harry Kane. ©℗



OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

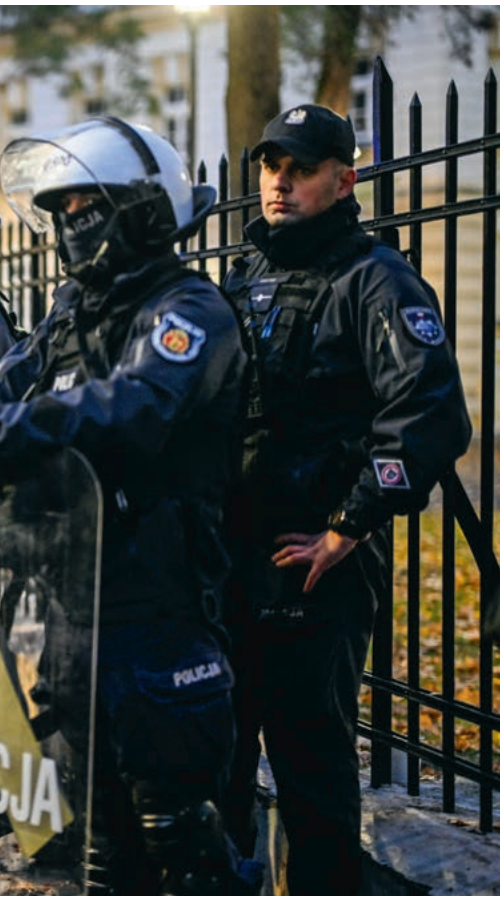
POWYŻEJ:
Przed Trybunałem Konstytucyjnym. Warszawa, 31 października 2026 r.

PRAWO SILNIEJSZEGO

Zajęcie Trybunału Konstytucyjnego tuż przed dniem Wszystkich Świętych wygląda symbolicznie. Możemy uznać tę instytucję za zmarłą, choć miało dojść do jej reanimacji.

MAREK KĘSKRAWIEC

Jeśli obecny TK przetrwa weekendowe wydarzenia, to wyłącznie jako narzędzie dla głównych sił politycznych: narzucania swej woli przeciwnikom lub też paraliżowania ich poczynań. Do tego zresztą służy on już obecnie środowisku, które nie zaakceptowało porażki wyborczej jesienią 2023 r. Główny cel istnienia Trybunału: badanie zgodności z Konstytucją uchwalanych



Jak naprawić Trybunał

SĘDZIÓW TK wybiera Sejm większością 50 procent + 1. Ich kadencje trwają 9 lat i nie powołuje się ich równocześnie, by aktualna większość nie zdominowała opozycji, obsadzając Trybunał „swoimi" ludźmi. Zasada ta została złamana przez PO, a potem – na dużo większą skalę – przez PiS, za pomocą wyboru sędziów „na zapas". Obecne orzeczenia TK nie są publikowane, a 8 z 15 sędziów nie może skutecznie podjąć pracy.

ROZWIĄZANIEM wydaje się tzw. reset konstytucyjny: likwidacja instytucji i „rozproszona kontrola" poprzez sądy, albo powołanie Trybunału na nowo – np. większością 3/5 Sejmu (co wymuszałoby kompromis), ze ślubowaniem w parlamencie i prawem publikowania wyroków przez prezesa TK (a nie premiera). Kandydatami nie mogliby być politycy, członkowie rządu, szefowie stowarzyszeń prawniczych, lecz konstytucjonaliści z dorobkiem. Taka procedura wymaga jednak „okrągłego stołu". Jest do niego dalej niż w 1989 r.

w parlamencie ustaw, od dekady jest w zasadzie tylko sloganem.

MILIONY POLAKÓW muszą dziś porzucić pragnienie wyrobienia sobie poglądów o tej instytucji na podstawie wiedzy i zdać się na wiarę. Poziom skomplikowania prawniczego sporu wokół zawieszenia w obowiązkach prezesa TK Bogdana Święczkowskiego i jego zastępcy Bartłomieja Sochańskiego jest tak wysoki, że do wspólnej konkluzji nie są w stanie dojść najwybitniejsi konstytucjonaliści. Profesorowie Stanisław Biernat, Marek Safjan, Jerzy Stępień i Andrzej Zoll są zdania, że działalność TK została przez jego prezesa sparaliżowana, więc obywatele nie mają już organu chroniącego ich prawa i wolności. Aktywnie uczestniczy w tym również prezydent, uniemożliwiający od miesięcy wraz z prezesem TK objęcie funkcji przez prawidłowo powołanych sędziów.

To zaś oznacza (zdaniem tych ekspertów), że w Polsce zaistniał stan wyższej konieczności konstytucyjnej, uzasadniający nadzwyczajne środki podjęte przez Annę Korwin-Piotrowską, najstarszą stażem sędzię TK, która zarządziła „przerwę w czynnościach" obu prezesów, po skierowaniu przez ministra Waldemara Żurka wniosku o uchylenie ich immunitetów.

PROBLEM W TYM, że zdaniem innej grupy profesorów: Macieja Gutowskiego, Marcina Matczaka, Ryszarda Piotrowskiego, Marcina Wiącka, Jacka Zaleśnego, a także kierownictwa NSA, Naczelnej Rady Adwokackiej i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka – zastosowane podstawy prawne z ustawy o sądach powszechnych są bardzo ogólne i nie mogą dotyczyć członków Trybunału, a działanie sędzi Korwin-Piotrowskiej to samowolka. Co warte podkreślenia, wspomniani eksperci są krytykami polityki Święczkowskiego w TK, a także ignorowania przez Karola Nawrockiego obowiązku odebrania ślubowania od 5 z 8 wybranych przez obecny Sejm sędziów TK.

Każdy, kto czuje się komfortowo w Polsce rozdartej przez trwającą od 21 lat wojnę między Kaczyńskim i Tuskiem, uzna zdarzenia z ubiegłego piątku po prostu za kolejny akt polaryzacji. Jednych ucieszy „agresywny osiłek" pod adresem prezydenta, innych „patologiczny kłamca" pod adresem premiera. Obie strony „pogodzi" zaś rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa, z satysfakcją komentująca chaos prawny w Polsce. Winnych wskażemy na pęczki, ale ostatecznie każdy z nas stanie się ofiarą przysłowia: „można mieć rację, ale stracić relację", czyli doprowadzić na skraj wybuchu społecznego konfliktu, w którym jedyny sens ma radykalne cofnięcie się obu stron (ramka obok).

TO NIE SYMETRYZM. Choć w wojnie o TK nikt nie ma czystych rąk, to PiS zrobił o wiele więcej, by zniszczyć niezależność tej ważnej instytucji i uczynić ją partyjną przybudówką. Ale czy zajęcie siedziby w Alei Szucha, dokonane przez sędzię Korwin-Piotrowską bocznym wejściem od strony Kancelarii Premiera, a także użycie w sporze prawnym policji można nazwać przywracaniem porządku w TK?

Jej komendant główny Marek Boroń we Wszystkich Świętych zmuszony był uspokajać funkcjonariuszy, w części oburzonych wciąganiem ich w spory na szczytach władzy, a w części zastraszonych groźbami ze strony tłumu zwolenników prawicy i posłów opozycji zebranych pod TK. To fatalny sygnał dla społeczeństwa, tak samo jak idące w świat obrazy przepychającego się przez tłum funkcjonariuszy prezydenta, który – wedle analiz Res Futura – okazał się zwycięzcą nocnego pojedynku w przestrzeni internetowej. Zawrócenie niemal znad Gibraltaru samolotu wiozącego Nawrockiego do Senegalu i wtargnięcie głowy państwa na teren sądu konstytucyjnego – większości Polaków nie oburzyło. Internetową dyskusję zdominował podziw dla prezydenta, którego premier nieumiejętnie próbował rozegrać u progu świątecznego weekendu.

NAWROCKI SKORZYSTAŁ z okazji i wzmocnił pozycję lidera na prawicy, doprowadzając do tego, że nieznoszący się szczerze Kaczyński z Morawieckim podali sobie ręce, Braun trafił do prawicowego mainstreamu, zobaczyliśmy też rzadki widok występujących wspólnie Bosaka i Mentzena.

Tusk *de facto* pomógł Nawrockiemu stworzyć zręby paktu senackiego prawicy, choć sam zapewne miał inny cel – pokazać sprawczość rządu w pojedynku z przejętym przez PiS Trybunałem i jednocześnie wzmóc polaryzację, która zawsze pomagała dwóm głównym siłom politycznym w Polsce. Premier wie, że przy kiepskich notowaniach koalicjantów, tylko jedna lista przybliża go do zwycięstwa za rok.

Jeśli przegra, Nawrocki i nowy prawicowy rząd zrobią wszystko, by to była jego ostateczna klęska – spodziewajmy się aresztu dla premiera i ministra Żurka. Jakiś paragraf się znajdzie. ©℗



Biskup Jeż uznany za winnego

ARTUR SPORNIAK

Po raz pierwszy w Polsce biskup został uznany za winnego niepowiadomienia o przypadkach wykorzystania seksualnego małoletnich przez podległych mu księży. Sąd Rejonowy w Tarnowie skazał tarnowskiego ordynariusza Andrzeja Jeża na karę dwóch lat ograniczenia wolności polegającego na potrąceniu 25 proc. wynagrodzenia miesięcznego na rzecz fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Oprócz tego hierarcha ma zapłacić 20 tysięcy złotych na Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, a także zwrócić koszty sądowe. Biskup nie przyznał się do zarzucanych mu czynów. Kuria w opublikowanym oświadczeniu stwierdziła, że nie zgadza się z rozstrzygnięciem sądu. Pełnomocniczka hierarchy zapowiedziała apelację.

Wyrok dotyczy umyślnego zaniechania zgłoszenia przestępstw dwóch księży: Tomasza K. i Stanisława P. Tego drugiego prokuratura oskarżyła o wykorzystanie seksualne co najmniej 95 chłopców, sprawa jednak została umorzona ze względu na przedawnienie.

Z oświadczenia kurii wynika, że zamiast zgłosić ks. Stanisława P. do organów ścigania – do czego od lipca 2017 r. zobowiązuje każdego obywatela znowelizowany Kodeks karny – bp Jeż dał priorytet przepisom prawa kanonicznego: najpierw (w 2019 r.) zgłosił przypadek księdza do Kongregacji Nauki Wiary, a dopiero rok później do prokuratury, gdy już watykańskie śledztwo doprowadziło do ważnych ustaleń. Ta zwłoka wystarczyła, by przestępstwa wobec niektórych osób skrzywdzonych przedawniły się, co uniemożliwiło dochodzenie sprawiedliwości.

Tarnowski biskup tłumaczył, że podczas prowadzenia postępowania kanonicznego obowiązywał go sekret papieski. Sędzia w uzasadnieniu wyroku przywołała jego słowa: „gdybym udostępnił dokumenty organom, przed wysłaniem do Watykanu, straciłbym stanowisko". Tak samo zeznał jego poprzednik, bp Wiktor Skworc. W ocenie sądu jest to przedkładanie własnego interesu nad interes pokrzywdzonych. „Od biskupa, który ma nieograniczoną władzę w diecezji, oczekuje się zdecydowanie więcej" – zauważyła sędzia. Ponadto przypomniała, że papież Franciszek w sprawach dotyczących pedofilii zniósł sekret papieski.

Ten pierwszy bezprecedensowy proces pokazał, że biskupi wciąż żyją mentalnie w innym świecie, w którym najważniejsza jest ochrona instytucji Kościoła i jej zasad. Doszło więc do sytuacji paradoksalnej: sąd musi uczyć biskupa, jak właściwie sprawować urząd. Jeśli wyrok się uprawomocni, będzie sygnałem dla innych biskupów, że za stawianie interesu instytucji Kościoła nad interes osób skrzywdzonych może spotkać ich kara. ©℗



OMAR MARQUES / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

Biskup Andrzej Jeż w Sądzie Rejonowym w Tarnowie. 18 lutego 2026 r.



Czuć gaz

MAREK RABIJ

Rząd interweniuje u progu roku wyborczego, bo dla wielu z nas może to być kosztowna zima. Już dwa tygodnie temu komisarz UE ds. energii Dan Jørgensen sygnalizował, że w nadchodzących miesiącach miliony Europejczyków mogą mieć trudności z opłaceniem rachunków za ogrzewanie z powodu rosnących cen paliw kopalnych. W ub. środę kontrakty na gaz ziemny na giełdzie w Amsterdamie (ICE Entawex Dutch TTF) przekroczyły 100 euro za megawatogodzinę. Takich cen nie widziano na rynku od końca 2022 r., czyli pierwszej zimy po wybuchu pełnoskatowej wojny w Ukrainie.

Tym razem źródło kłopotów leży w Zatoce Perskiej. Wskutek ataku Izraela i USA na Iran doszło nie tylko do blokady szlaków żeglugowych w cieśninie Ormuz, którymi oprócz ropy transportowano także skroplony gaz. Irańskie uderzenia odwetowe na arabskich sprzymierzeńców Ameryki na Półwyspie Arabskim, zwłaszcza w instalacje Kataru i Arabii Saudyjskiej, znacząco upośledziły produkcyjne i przesyłowe moce tamtejszych eksporterów gazu ziemnego. Kryzys odbił się także na cenach transportu tego surowca i stawkach ubezpieczeń dla armatorów.

Sytuację komplikuje dodatkowo fakt, że UE była na ten kryzys nieprzygotowana. Z szacunków branżowego stowarzyszenia Gas Infrastructure Europe wynika, że zapasy gazu w krajach Wspólnoty spadły w tym roku do ok. 75 proc. pojemności magazynów, podczas gdy w ostatnich pięciu latach państwa członkowskie utrzymywały ich napełnienie na średnim poziomie 89,6 proc. W okresie letnim, kiedy zapotrzebowanie na ten surowiec maleje, przerwy w dostawach nie pozwoliły uzupełnić stanów magazynowych.

W rezultacie europejskie zapasy gazu oscylują dziś na poziomie 850 terawatogodzin. To mniej więcej tyle, ile Europa zużywa w dwa i pół miesiąca. Na tle unijnej średniej Polska wypada znacznie lepiej, nasze magazyny są napełnione w 99,3 proc., ale ich pojemność jest stosunkowo niewielka. Siedem polskich rezerwuarów gazu mieści w sumie ok. 3,36 mld metrów sześciennych, czyli również tyle, ile zużywamy średnio w dwa miesiące.

Z szacunków GUS wynika, że ponad trzy miliony polskich gospodarstw domowych, czyli co piąte, używa gazu ziemnego do ogrzewania. Do końca br. na pewno nie zapłacą więcej. Urząd Regulacji Energetyki przedłużył taryfy dla odbiorców indywidualnych do 31 grudnia. ©℗

Wylogowani są szczęśliwsi



IRENE MILLER / SHUTTERSTOCK

CYWILIZACJA ▪ Tzw. media społecznościowe wpłynęły na życie wielu osób – zapewniając niektórym użytkownikom popularność, innym nowe źródło wiedzy o świecie czy przestrzeń, do której częściowo przenieśli swoje życie towarzyskie i interakcje społeczne. Wytworzyły też u użytkowników nowy typ oczekiwań, reakcji, zachowań grupowych czy sposobów przeżywania emocji.

W literaturze naukowej trwa debata na temat ich wpływu na dobrostan psychiczny użytkowników, a wielu badaczy widzi w nich jeden z głównych powodów, dla którego obserwujemy na świecie narastający kryzys zdrowia psychicznego, zwłaszcza u młodych ludzi. Stąd coraz liczniejsze inicjatywy, by regulować dostęp do tych platform.

Oddzielnym tematem analiz jest wpływ mediów społecznościowych na zachowania i decyzje polityczne oraz światopogląd odbiorców: spadek zaufania do instytucji i nauki, polaryzację społeczną, wzrost popularności radykalnych ugrupowań politycznych czy sympatii do reżimów autorytarnych.

Literatura naukowa na ten temat szybko się rozrasta, ale nie przeprowadzono dotąd zbyt wielu badań eksperymentalnych, które jednoznacznie pokazałyby wpływ tych platform na odbiorców. Dlatego opisane właśnie badania, przeprowadzone przez zespół Hunta Allcotta z Uniwersytetu Stanforda i Joshuy Tuckera z Uniwersytetu w Nowym Jorku, powinny nas zainteresować.

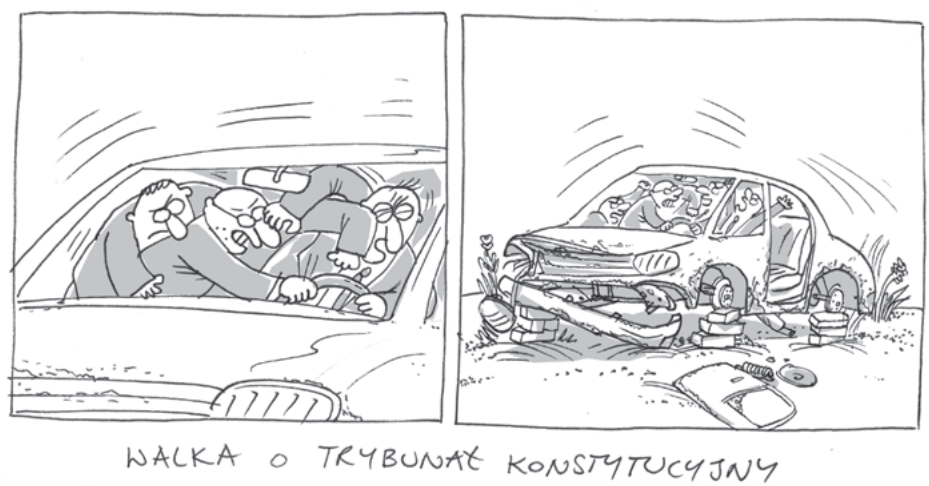
Eksperyment odbył się przed wyborami prezydenckimi w USA w 2020 r. Wzięło w nim udział ok. 20 tys. użytkowników Facebooka i 15 tys. użytkowników Instagrama. 27 proc. badanych otrzymało wynagrodzenie (150 dolarów) za dezaktywację konta na 6 tygodni – pozostali mniejszą kwotę (25 dolarów) za zawieszenie konta na tydzień. Na początku i końcu eksperymentu badacze mierzyli dobrostan użytkowników pod kątem odczuwanego szczęścia, depresji i lęku. Okres badania nie był przypadkowy: dwie trzecie dorosłych Amerykanów wskazało, że te same wybory są dla nich poważnym źródłem stresu.

Analiza wyników dała silne dowody na to, że dłuższa dezaktywacja Facebooka pozytywnie wpłynęła na dobrostan (zwiększając poziom szczęścia, a zmniejszając lęk i depresję), choć zmiana w samopoczuciu nie była bardzo duża – autorzy oszacowali ją jako kilkakrotnie słabszą od psychoterapii. Najlepsze efekty odczuły osoby po 35. roku życia. W przypadku dezaktywacji konta na Instagramie także odnotowano poprawę dobrostanu, którą najbardziej odczuły kobiety w wieku 18-24 lat.

Te największe jak dotąd badania tego rodzaju przekonują, że warto dla poprawy samopoczucia odłączyć się od mediów społecznościowych. A zaobserwowany efekt być może byłby silniejszy, gdyby użytkownicy jeszcze bardziej ograniczyli swój czas spędzany online – tymczasem spora część z nich jedne platformy zastąpiła innymi.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

ŁOWCY PROMPTÓW

Fakt: coraz trudniej odróżnić prawdziwe od wygenerowanego. Niestety, śledzenie śladów AI stało się globalnym sposobem na zdyskredytowanie każdego.

SYLWIA CZUBKOWSKA



Rozszerzenie źrenic, mikrodrżenia skóry, reakcje na pytania o krzywdę zwierząt... oto znaki, że mamy do czynienia z prawdziwym człowiekiem, a nie tylko z łudząco do niego podobnym androidem. Rick Deckard replikantkę Rachael przepytywał więc choćby o to, jak by zareagowała, gdyby spotkała małego chłopca, który pokaże jej swoją kolekcję motyli, a także słoik, w którym je zabija.

Tak skonstruowany test Voighta-Kampffa służył łowcom androidów z kultowej powieści „Czy androidy śnią o elektrycznych owcach" Philipa K. Dicka do pomiaru poziomu empatii i biologicznych odruchów u przesłuchiwanych przez nich osób. A wszystko po to, by rozstrzygnąć, czy mają do czynienia z ludźmi, czy replikantami.

Wynik mógł mieć dla egzaminowanego tragiczne konsekwencje. Nieprzejście testu kończyło się natychmiastową likwidacją, i to nawet jeżeli jego kryteria były tematem gorących dyskusji, bo przecież – jak w powieści uprzedzali leningradzcy psychiatrzy – „nie wszyscy ludzie przeszliby przez Voighta-Kampffa". W powieści Dicka i w filmie Ridleya Scotta kończy się to tym, że zamiast tropić maszyny udające ludzi, ludzie tropią innych ludzi, podejrzewanych o bycie „zbyt maszynowymi".

Do problemów z replikantami nam jeszcze bardzo daleko. Ale nasze własne testy Voighta-Kampffa już mamy. Tyle że nie oparte na jakichkolwiek badaniach, nawet mocno dziurawych i kontrowersyjnych. Zamiast testu empatii mamy detektory AI i intuicję tłumu. Zamiast oznak braku emocji, oznaki nazbyt doskonałego utworu.

Tekst jest za poprawnie napisany? Na pewno AI. Obraz za spójny? Wygenerowany. Artykuł naukowy za zwięzły? Chat GPT napisał. Grafika za bardzo dopasowana do tematu, jaki ilustruje? To chyba oczywiste, że nie jest czysto ludzka. Książka autora, który nie wszystkim się podoba. Udowodnij, że nie wypromptowałeś!

Zaczęło się istne polowanie. Dowody są często spekulatywne, a oczyszczenie się z zarzutów niemal niemożliwe. Wyrok zaś zapada równie ekspresowo i bezodwoławczo, jak u łowców androidów.

Ujawnij swojego agenta

„C'était ça ou mourir" („To albo śmierć") haitańsko-kanadyjskiego pisarza Thélysona Oréliena była istnym fenomenem. Opowieść o Jonasie Dorléonie, nauczycielu historii i geografii z Haiti, który traci cały dobytek w pożarze, przez długie tygodnie nie schodziła z list bestsellerów, zdobyła kilka nagród i znalazła się wśród nominowanych do Nagrody Goncourtów.

Nagle jednak wykreślono ją z tej listy. 21 września na anonimowym koncie X „Balance ton Claude" („Ujawnij swojego Claude'a") pojawił się wpis, że powieść została w całości wygenerowana przez sztuczną inteligencję. Autor stanowczo zaprzeczył, zapewniając, że nie korzystał z AI, bo pisanie i tworzenie zawsze były jego pasją.

Szybko wyszło na jaw, że za oskarżeniami stoi kolektyw, którego członkiem jest konserwatywny bloger i dziennikarz Samuel Fitoussi. W rozmowach z mediami przekonywał, że nie kierowały nim żadne uprzedzenia i motywacje polityczne, a jedynie obawa, że „po kilku tysiącleciach cywilizacji opartej na pisaniu AI doprowadzi do zaniku umiejętności czytania i pisania". Dlatego powieść Oréliena przepuścił przez oparty na AI Pangram i to maszyna oceniła, że tekst pisała inna maszyna.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej wydawnictwo Hachette wycofało z rynku powieść grozy „Shy Girl" Mii Ballard. Powód? Liczne zarzuty, że znaczne fragmenty książki mogły zostać wygenerowane przez AI.

„Shy Girl" zadebiutowała w 2025 r. w modelu self-publishingowym i szybko zdobyła popularność w mediach społecznościowych. Książka od początku budziła dyskusje zarówno ze względu na tematykę (młoda dziewczyna z problemami natury psychologicznej wiąże się ze starszym mężczyzną), jak i styl pisania. Szybko pojawiły się komentarze, że język powieści przypomina wypowiedzi chatbotów. Na początku 2026 r. anonimowy redaktor opublikował na Reddicie szczegółową analizę, przekonując, że książka ma wszystkie cechy tzw. „literatury AI". Autorka stanowczo zaprzeczyła, że sama używała sztucznej inteligencji przy pisaniu. Przyznała jednak, że osoba pomagająca jej w redakcji mogła korzystać z takich narzędzi.

Paradoks AI: wersja szwedzka

Podejrzenia o użycie AI dotknęły też prof. Virginię Dignum z Uniwersytetu w Umeå w Szwecji, badaczkę zajmującą się etyką sztucznej inteligencji. Sprawa dotyczy wydanej w lutym książki „The AI Paradox: How to Make Sense of a Complex Future". Do szwedzkiej państwowej Komisji ds. Nadużyć w Badaniach Naukowych (NPOF) wpłynęła skarga wskazująca sześć przypisów odsyłających do nieistniejących źródeł, które mogły być halucynacjami AI. Zakwestionowano również język publikacji, rzekomo przypominający generowany przez sztuczną inteligencję.

Dignum tłumaczyła, że błędy powstały podczas korzystania z programu LaTeX, służącego m.in. do formatowania i porządkowania przypisów. Badaczka, której językiem ojczystym jest portugalski, zapewniała, że nie pozwoliła AI pisać, ale wykorzystywała Chat GPT, Claude'a i Gemini do doszlifowania angielszczyzny. Paradoks polega na tym, że w swojej książce pisała o tym, jak ważne jest monitorowanie i kontrolowanie rozwoju sztucznej inteligencji.

4 września 2026 r. NPOF uznała, że zarzuty dotyczące książki wykraczają poza zakres kompetencji komisji i nie będą przez nią badane.

Polskie historie sufferingu

W Polsce – gdzie wydawnictwo Karakter zrezygnowało właśnie z publikacji przekładu książki Thélysona Oréliena – mamy własne afery. Raport o marce Polska, przygotowany przez Barbarę Mróz-Gorgoń, został wręcz rozjechany walcem za ewidentne wykorzystanie AI; do memoidalnego słownika trafiły „chlebowość" i „historia sufferingu".

Wcześniej ze sprzedaży wycofano książkę Karoliny Opolskiej „Teoria spisku". Tu nie chodziło już o ślady generycznego stylu: wykazano, że publikacja jest pełna wyhalucynowanych przypisów prowadzących do nieistniejących źródeł.

Opolska i jej wydawca nie wyjaśnili publicznie, jak doszło do tak poważnych błędów. Mróz-Gorgoń zapewniała z kolei, że publikacja miała charakter roboczy, a badania, na których się opierała, rzeczywiście powstały.

Niesmak pozostał, prawdziwa anatema raczej nie. Mróz-Gorgoń straciła wprawdzie stanowisko pełnomocniczki rządu ↦

PRZEMEK KOTYŃSKI DLA „TP"

↦ ds. marki Polski, a Opolska pewnie nieprędko coś nowego opublikuje, ale badaczka powoli wraca do życia publicznego, a dziennikarka wciąż prowadzi polityczne programy w TVP.

Nie miejmy złudzeń: takich skandali będzie więcej. Również dlatego, że AI jest wykorzystywana coraz powszechniej. Bo przecież do tego właśnie została stworzona.

Odciążanie czy przeciążenie

Dwa akapity mojego tekstu zostały wygenerowane przez AI. Celowo, Czytelniku, żebyś teraz poczuł impuls, by ich poszukać. Dwa inne wrzuciłam do korekty AI, zastrzegając, by poprawiła tylko literówki, błędy ortograficzne i interpunkcyjne, a ze stylem i językowymi nieścisłościami niczego nie kombinowała. I uwierzcie mi: gdybym skorygowała w ten sposób cały tekst, redaktorzy byliby mi wdzięczni.

Jako dysortograficzka potrafię popełnić każdy możliwy błąd, dowolnie przestawiać litery [co prawda, to prawda – red.], a kiedy za bardzo się spieszę lub jestem rozkojarzona, nawet wyciąć pół wyrazu. Oczywiste jest więc, że rozwój narzędzi generatywnych dla osoby, która zawodowo pisze, zmagając się z taką trudnością o podłożu neurorozwojowym, stanowi wspaniałe ułatwienie.

Jest jednak równocześnie potężnym ryzykiem. Przecież poprawienie tekstu przez korektę AI, szczególnie gdy nie jest to wewnętrzny agent wydawnictwa, tylko szeroko dostępny model, zostawia cyfrowy ślad. Ślad, który w najmniej spodziewanym momencie może zostać uznany za dowód na to, że jest się replikantką, i skazać na natychmiastową karę. Nie fizyczną likwidację, na szczęście – ale internetowe piętno.

Podwójne standardy

I nie jest to rozterka wyłącznie pisarzy, dziennikarzy czy ludzi pracujących ze słowem. Takie same zarzuty, czasem uzasadnione, a czasem oparte jedynie na domysłach, rozlewają się już po świecie grafiki, muzyki, filmu i nauki.

Pełno tu zresztą podwójnych standardów, by nie powiedzieć: hipokryzji. Kolejne analizy tego, ile AI jest w człowieku, publikowane na platformach cyfrowych, same regularnie powstają przy użyciu AI. I to już tak nie razi, bo przecież pisanie na platformach postrzegamy jako niskiej jakości. Kolejne grafiki ocierające się o *AI slop*, tworzone byle tylko przyciągnąć uwagę i podlizać się algorytmowi, wpisy na LinkedInie pełne emotikonów i punktorów, automatycznie generowane napisy w rolkach na TikToku czy tłumaczenia na YouTubie są do przyjęcia.

Ale kiedy w jednym z odcinków mojego podkastu „Techstorie" pojawił się Cory Doctorow, opowiadający o procesie gównowacenia AI, a my przygotowaliśmy polski dubbing jego wypowiedzi, oczywiście pojawiły się komentarze: „A fuj, AI!". Tak oto okazało się, że Kajetan Gołębiowski, dysponujący pięknym głosem lektorskim i doświadczeniem w czytaniu audiobooków, który podkładał głos Doctorowowi, testu na człowieczeństwo nie przeszedł.

W dolinie niesamowitości

Dolina niesamowitości to uczucie niepokoju, które pojawia się, gdy robot, awatar lub wygenerowana komputerowo postać wygląda niemal jak prawdziwy człowiek, ale jednak coś nam w niej nie pasuje. Zjawisko, z którym dziś się mierzymy, nie ma jeszcze ustalonej nazwy, ale mechanizmy, które za nim stoją, znamy.

Wystarczy podejrzenie o użycie AI, niczym podejrzenie o bycie komunistą, by rozpoczęło się polowanie godne „promptowego mccartyzmu". Raz przyklejona łatka skażenia AI staje się społecznym piętnem. A tłum chętnie wciela się w rolę inkwizytorów polujących na czarownice, choćby sam przy tym korzystał z narzędzi opartych na AI.

Po części to reakcja na przemęczenie i przebodźcowanie wywołane właśnie slopową doliną niesamowitości. Zalew generatywnych treści, wszechobecny już nie tylko na platformach cyfrowych, ale i w przestrzeni publicznej; *AI slop*, czyli niskiej jakości, rozpraszająca uwagę, często po prostu brzydka papka – prowadzą do spadku zaufania do tego, co widzimy i słyszymy. Pojawia się poczucie, że wszystko można sfałszować, że nic nie jest już autentyczne.

Oficjalnie chcemy produktów stworzonych przez ludzi, ale te wypromptowane są tańsze i bardziej dostępne, więc na masową skalę je generujemy (choć się nie cieszymy). Reakcją na ten stan rzeczy nie jest jednak oburzenie na dostawców, którzy tak zaprojektowali swoje narzędzia, by te, często wytrenowane na ukradzionych treściach, tworzyły produkty udające dzieła ludzkie.

Zamiast tego złość i zniechęcenie kierujemy przeciwko ludziom korzystającym z tej technologii. To ich oskarżamy o to, że są niewystarczająco ludzcy. Nie

REKLAMA



szukamy już prawdy o pochodzeniu dzieła ani nie próbujemy zrozumieć kulis całego systemu. Szukamy winnych i znajdujemy mikroślady, które mają nas do nich doprowadzić.

Algorytmiczna apofenia

Tak naprawdę doskonale znamy już to zjawisko. Psychologowie nazywają je apofenią, czyli dostrzeganiem wzorców i znaczeń w przypadkowym szumie. Wystarczy, że bardzo czegoś chcemy albo bardzo się czegoś spodziewamy, a zaczynamy dostrzegać znaki, które prowadzą nas do oczekiwanego wniosku.

Dziś nowa, algorytmiczna apofenia doszukuje się wzorców AI w każdej nazbyt gładkiej frazie czy powtarzalnej kompozycji. Ale tak naprawdę nie oszukujmy się: szukamy ich przede wszystkim w utworach ludzi, co do których zakładamy, że ich sukcesy, dzieła i osiągnięcia są efektem jakiegoś uprzywilejowania. Bycia przedstawicielem elity albo, przeciwnie, sztucznie promowanej mniejszości. Bycia lewakami albo prawakami.

I tu pojawia się kolejny dobrze znany mechanizm psychologiczny, który na nowe czasy można by nazwać „uprzedzeniem atrybucji generatywnej". Gdy coś nam się nie podoba, wydaje się „zbyt dobre" jak na swoje źródło czy twórcę albo po prostu jest nam obce, przypisujemy to sztucznej inteligencji. Z góry zakładamy generatywne pochodzenie, zamiast dopuścić myśl, że człowiek mógł po prostu tak napisać tekst, stworzyć rysunek czy przeprowadzić badanie.

Dowód na człowieczeństwo

Dick, pisząc „Czy androidy śnią o elektrycznych owcach?", inspirował się rzeczywiście istniejącym testem, autorstwa wybitnego matematyka Alana Turinga.

W 1950 r. Turing opisał tzw. grę w naśladownictwo. W pierwotnej wersji brali w niej udział kobieta i mężczyzna, a zadaniem osoby zadającej pytania było ustalenie, kto jest kim na podstawie odpowiedzi tekstowych. Turing zaproponował zastąpienie jednej z tych osób maszyną i zastanawiał się, czy będzie ona w stanie skutecznie naśladować człowieka.

Dziś idea testu Turinga powraca w popularnym systemie znanym jako CAPTCHA. To skrót od angielskiej nazwy *Completely Automated Public Turing test to tell Computers and Humans Apart*. System służy do odróżniania ludzi od botów, tak by do formularzy internetowych, zakładania kont na portalach czy komentowania na blogach dopuszczać jednak istoty białkowe.

> Dwa akapity mojego tekstu zostały wygenerowane przez AI. Celowo, Czytelniku, żebyś teraz poczuł impuls, by ich poszukać.

I przypomnij sobie, Czytelniku, ile razy oblałeś CAPTCHA. Ile razy nie udało Ci się za pierwszym podejściem poprawnie przepisać trudno czytelnego tekstu albo wskazać wszystkich sygnalizacji świetlnych na obrazku. Dobrze, że w prawdziwym świecie taki mikrobłąd nie oznacza utraty dostępu do usługi. Wystarczy spróbować ponownie i jeszcze raz udowodnić swoje człowieczeństwo.

Jak wygląda pisanie

Testy Turinga, CAPTCHA czy Voighta-Kampffa skonstruowano, by wyłapywać nieludzi. Dziś jednak następuje proces odwrotny. Nie chodzi już o wykrycie AI, lecz o przyłapanie człowieka na tym, że z niej korzysta.

Oczywiście, w tym celu również używa się narzędzi opartych na AI. Ulegamy złudzeniu, że algorytmy są doskonałe, bo nie obciąża ich ludzka subiektywność. Do sprawdzania prac uczniów służy m.in. bezpłatny GPT Zero, do prac naukowych Turnitin, a do kontroli książek podobno lepszy jest Pangram, którego skuteczność ocenia się na ponad 95 proc.

Tymczasem AI wciąż halucynuje, wciąż ma zaszyte uprzedzenia i nadal popełnia błędy. Takie jak w przypadku Jamira Nazira, pochodzącego z Trynidadu i Tobago pisarza i laureata Commonwealth Writers' Prize, który kilka miesięcy temu został oskarżony o korzystanie z AI. Nazirowi udało się jednak udowodnić swoją niewinność.

Pewna amerykańska studentka na Reddicie poskarżyła się, że dostała ocenę za wersję roboczą pracy i okazało się, że ma 1 punkt na 20, ponieważ system oznaczył ją jako napisaną w 60 proc. przez AI. „Najbardziej doprowadza mnie do szału to, że dosłownie mogę udowodnić, że to ja ją napisałam. Użyłam Draftback w Dokumentach Google, który zarejestrował cały proces pisania. Nad moją pracą spędziłam ponad 11 godzin, podczas których odbyło się ponad 40 sesji i wprowadzono ponad 1300 poprawek. (...) Można dosłownie obejrzeć, jak ta praca powstaje: od pustej strony aż po ostateczną wersję. Widać, jak piszę, zatrzymuję się, kasuję fragmenty, przepisuję zdania innymi słowami, przestawiam akapity, zaczynam od nowa, kiedy coś mi nie pasuje. Godziny chaotycznego pisania kolejnych wersji i ich redagowania. Po prostu... tak właśnie naprawdę wygląda pisanie". Kobieta opisuje, że wszystkie te dowody wysłała do profesora, ale i tak „czuje się, jakby krzyczała w próżnię".

Jak się obronić

Nową kompetencją czasów rewolucji AI staje się zbieranie dowodów na własny ludzki wysiłek. Piotr Olszewski, czyli Promptowy, na swoim blogu opisuje, jak przygotować się na obronę przed oskarżeniami o pisanie AI w przypadku prac naukowych. „Detektor ocenia gotowy tekst – radzi. – Ty masz coś, czego on nie ma: ślad pisania. Zbierz go od razu, bo część śladów znika po edycji, i nie poprawiaj pracy, zanim nie zapiszesz tego, co jest". Olszewski tłumaczy, jak to zbieranie śladów samodzielnego pisania powinno wyglądać: zachowaj historię wersji i zmian, zrób zrzuty ekranu z datami, miej wersje robocze i notatki, pliki z wcześniejszymi datami, konspekt, zdjęcia kartek, wiadomości, w których wysyłałeś fragmenty komuś do przeczytania. Przechowuj źródła, w tym historię przeglądarki z dni pracy, pobrane PDF-y, wypożyczenia z biblioteki, jeżeli używasz Grammarly do korekty, to sięgnij po Raport Grammarly Authorship, bo rozróżnia tekst wpisany, wklejony i wygenerowany.

AI miała nas odciążać, pomagać nam pokonywać ludzkie słabości. Eksperci technologiczni od czterech lat jak mantrę powtarzają, że to nie AI zabierze ludziom pracę, lecz ludzie, którzy lepiej potrafią z niej korzystać. Wszystkie te ↦

Badania potwierdzają: AI jest wszędzie

TO, JAK GŁĘBOKO do naszego języka weszły „halucynowanie”, „AI slop” czy „brainroty”, pokazuje nie tylko powszechność korzystania ze sztucznej inteligencji, lecz także to, jak silnie odczuwamy jej skutki uboczne. Przede wszystkim dlatego, że jest tak masowo wykorzystywana, i to nie zawsze z pozytywnym skutkiem. Co więcej: dzieje się tak w branżach, które wydawały się zarezerwowane dla ludzkiej kreatywności.

Z BADANIA opublikowanego w marcu 2026 r., przeprowadzonego wśród ponad 6 tys. niemieckich naukowców, wynika, że 25,9 proc. respondentów deklarowało codzienne korzystanie z narzędzi AI w pracy. 31,5 proc. wykorzystywało je do przeglądu literatury, 43,2 proc. do pisania kodu, a 32,9 proc. do przygotowywania maszynopisów naukowych. Z analizy, której wyniki opublikowano na początku 2026 r. w czasopiśmie „Information Processing & Management”, tym razem obejmującej naukowców publikujących w 20 krajach, wynika, że tylko trochę ponad jedna czwarta z nich nigdy nie korzystała z AI w procesach badawczych i w przygotowaniu publikacji.

JAK TO WYGLĄDA wśród pisarzy? Serwis BoD przeprowadził ankietę wśród autorów z Niemiec, Austrii i Szwajcarii. I tak w 2025 r. z narzędzi AI korzystało – a przynajmniej przyznawało się do tego – 52 proc. ankietowanych. Rok wcześniej było ich sporo mniej, bo niecałe 37 proc. Co ciekawe, spadł odsetek używających AI do generowania tekstu. W 2025 r.mówiło o tym niemalże 24 proc., a w 2024 r. blisko 30 proc.

BARDZIEJ WYMOWNE są dane, jakimi dysponujemy w świecie grafiki i muzyki. W badaniu Adobe z 2025 r., obejmującym 16 tys. twórców w ośmiu krajach, 86 proc. respondentów deklarowało aktywne wykorzystywanie generatywnej AI w pracy kreatywnej. 52 proc. używało jej do tworzenia nowych zasobów, takich jak obrazy i wideo, a 55 proc. do edycji, poprawiania jakości i skalowania materiałów. Według platformy Deezer utwory w pełni generowane przez AI stanowiły ponad 50 proc. nowych załadowań w czerwcu 2026 r., kiedy to codziennie trafiało ich na platformę ok. 90 tys. W 2025 r. Deezer wykrył i oznaczył ponad 13,4 mln utworów AI. © SC



PRZEMEK KOTYŃSKI DLA „TP”

↦ obietnice okazują się jednak w świecie twórczości coraz bardziej płonne.

W ich miejsce pojawia się nie tylko konieczność pilnowania i sprawdzania AI na każdym kroku, bo to, w czym miała nas odciążać, wciąż obarczone jest ryzykiem halucynacji. Dodatkowo, w obawie przed piętnem szkarłatnej litery AI, upowszechnia się zjawisko gromadzenia dowodów własnej niewinności.

Tego nawet pisarze *science fiction* nie wymyślili.

Co mówią pisarze

Ponieważ nie chodzi tylko o lęki przed napiętnowaniem, ale o bardzo praktyczną obawę o utratę dobrego imienia, straty ekonomiczne, spadek sprzedaży, wykluczenie z wyścigu o nagrodę, pytam pisarzy i wydawców, czy jakoś przygotowują się na ewentualne zarzuty o wspieranie się AI.

Karolina Lewestam, autorka niedawno wydanych „Szmat”, porównuje swój lęk, że ktoś ją oskarży o AI, do tego, co odczuwała po porodzie, bojąc się, że jej podmienią dziecko w szpitalu: – Postanowiłam zapisywać kolejne wersje nowej książki i siedzieć na ogonie redaktorom!

Anna Fryczkowska, autorka m.in. „Brazylijskiej gorączki”, opowiada, że po raz pierwszy w swojej najnowszej umowie z wydawcą ma zapis, zgodnie z którym powieść ma zostać napisana całkowicie bez użycia AI. – Podpisałam, bo lubię pisać moje teksty sama, po to uprawiam ten zawód, ale powiało mi jakąś grozą. Zaraz też wrzuciłam rozdział do Chata GPT, żeby ocenił, czy nie ma podejrzeń o AI. Wydawca będzie chyba oceniał podobnie. Chat ocenił, że prawdopodobieństwo użycia AI jest niewielkie (łaskawca), ale kilka zdań pachnie mu sztuczną inteligencją. Przytoczył najbardziej erudycyjne kawałki tekstu. Poczułam się jednocześnie obrażona i osaczona. No i rozbawiona, że ten dureń Chat ma się za dobrego stylistę – opowiada Fryczkowska.

Magda Grzebałkowska, autorka m.in. biografii Marii Konopnickiej, ironizuje, że ma z AI stosunki przerywane: – To jak praca z nieogarniętą asystentką, która nabałagani, a potem irytująco się kaja i przeprasza (mam ją w rodzaju żeńskim) – mówi. Przyznaje, że sztuczna inteligencja pomaga w szybszym wyszukiwaniu treści, ale zlecenie jej pisania uważa za wykluczone. – AI jest zwyczajnie pozba-

wiona talentu, więc to od razu wyszłoby na jaw. Straszny obciach. Natomiast nie zbieram żadnych dowodów na to, że sama piszę. Przy *non fiction* łatwiej udowodnić własną pracę, bo na wszystko mamy nagrania, notatki, przypisy etc. Ale tak było też i przed AI.

Joanna Kuciel-Frydryszak, autorka bestsellerowych „Chłopek", pracuje nad kolejną książką. Zapewnia, że nie planuje korzystać z AI, ale uważa, że czytelników powinno się informować o sięganiu po takie wsparcie. Zarazem zastanawia się, czy są w ogóle eksperci, którzy potrafią wiarygodnie zbadać, czy i w jakim stopniu książka jest wytworem Chata GPT. – Mam na oku dwie takie książki i chętnie bym sprawdziła, w jakim stopniu powstały dzięki AI, bo że powstały, widać gołym okiem – stwierdza.

– Jak dotąd nikt nie posądził mnie o pisanie z pomocą AI, ani gdy publikowałam po polsku, ani gdy publikowałam po angielsku – stwierdza tłumaczka i pisarka Jagoda Ratajczak, autorka książek „Luka. Jak wstyd i lęk dziurawią nam język" oraz „Językczni. Co język robi naszej głowie". Dodaje, że wręcz pewnym skrępowaniem napawa ją to, jak często łapie się na zadowoleniu, a przede wszystkim na mówieniu o tym, że nie pisze niczego z wykorzystaniem AI. – Coś, co było kiedyś oczywistością, dziś urasta do rangi wyczynu, który się podkreśla, również za pomocą swoistej deklaracji „tekst napisany przez człowieka" na platformie Substack – zauważa Ratajczak.

> Zalew generatywnych treści prowadzi do spadku zaufania w to, co widzimy i słyszymy. Pojawia się poczucie, że wszystko można sfałszować, że nic nie jest już autentyczne.

Moja rozmówczyni zawsze dbała o jakość swojej bibliografii. Gromadzi wszystkie artykuły i skany tekstów, a także ich fotografie z bibliotek, na wypadek gdyby należało dowieść, że publikacje te istnieją. – Daleko mi do paranoi. Uważam raczej, że moja dotychczasowa dbałość o bibliograficzną rzetelność i nawyki wypracowane po to, by ją zapewnić, teraz po prostu okazują się nieodzowne – opowiada.

Ratajczak dodaje, że ilekroć czyta tekst napisany przy wykorzystaniu AI, to odczuwa przemożną chęć napisania komentarza, w którym uświadomiłaby autorowi, jak bardzo pisanie nie jest obowiązkowe. – Nie potrafisz pisać samodzielnie – nie pisz w ogóle. Niestety, zapewne jedynym, co bym wtedy osiągnęła, byłoby to, że autorzy takich publikacji po prostu przestaliby się przyznawać do „twórczej współpracy" z maszyną, bo nie wierzę, że nagle mieliby chcieć rozwijać pisarskie rzemiosło.

Literówka jest specjalnie

Ratajczak podsumowuje: – Maszyna naśladuje nas, my, karmieni generowaną przez nią homogeniczną papką, zaczynamy naśladować ją. No, może nie my, piszący od wielu lat.

Doświadczona redaktorka ma jednak gorsze doświadczenia: – Odkąd dostałam do czytania tekst bardzo uznanego autora, pełen zwrotów żywcem wziętych z Chata GPT, naprawdę z drżeniem serca redaguję kolejne książki. I właśnie z tego lęku biorą się zapisy w umowach z pisarzami. Ufamy im, ale ryzyko skandali jest dziś zbyt poważne – opowiada.

Z tych wszystkich strategii wyłania się okrutna ironia. W uniwersum Dicka androidy ginęły, bo stworzono je tak, by były doskonalsze od ludzi, a zarazem nie potrafiły być wystarczająco ludzkie.

Dziś ludzie zaczynają bać się własnej sprawności. Celowo psują teksty, wstawiają literówki, rozluźniają kompozycję, dodają niedociągnięcia, które mają wyglądać naturalnie. Wszystko po to, by przejść nowy, niepisany test Voighta-Kampffa.

© SYLWIA CZUBKOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Justyna Kowalczyk-Tekieli, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Paweł Pieniążek, Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

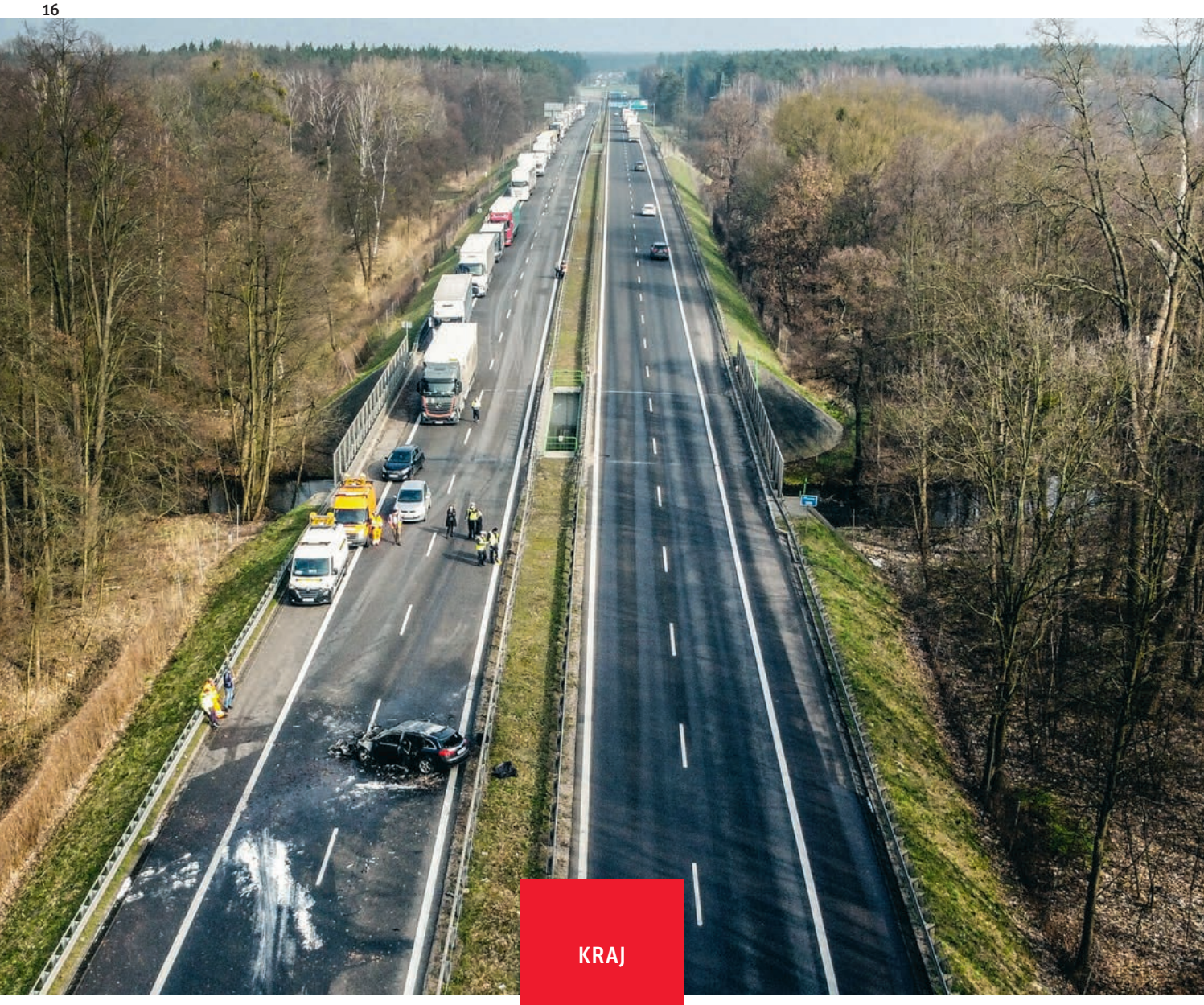
REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl



KRAJ

Miejsce wypadku na autostradzie A6 przed węzłem Szczecin Dąbie, marzec 2024 r.

SUROWO NIE ZNACZY MĄDRZE

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL, SĘDZIA SĄDU NAJWYŻSZEGO:

W surowych wyrokach chcemy widzieć sprawiedliwość, ale czy zarazem nie maskujemy też potrzeby zemsty, której się wstydzimy, chcąc, by tego aktu dokonało za nas państwo?

MAREK KĘSKRAWIEC, JACEK STAWISKI: Wyroki na sprawców śmiertelnych wypadków budzą w Polsce ogromne poruszenie. 8 lat więzienia za śmierć trzech osób dla kogoś, kto ukrywał się po wypadku za granicą i nigdy nie okazał skruchy, sprawia, że czujemy rażącą niesprawiedliwość i nieadekwatność kary do winy.

WŁODZIMIERZ WRÓBEL: Dylematy związane z wyrokiem, o którym panowie wspomnieli, można tłumaczyć rozdarciem, jakie jest obecne w naszym myśleniu o systemie sprawiedliwości. Ono ma dwa poziomy. Na pierwszym próbujemy zrozumieć i zareagować na zło, odnaleźć jego źródło, czyli np. ustalić intencję, z jaką działał sprawca. Na drugim patrzymy poprzez pryzmat skutków. Te perspektywy rodzą dylemat, bo czasami mamy do czynienia z intencją paskudną, ale ograniczonymi skutkami, np. dzięki szczęśliwemu przypadkowi. A jednak chcielibyśmy taką osobę przykładnie ukarać.

Gdy w zdarzeniu ginie dziecko czy wręcz cała rodzina, w naturalny sposób czujemy, że to ogromne zło, i wtedy mniejsze znaczenie przykładamy do intencji i okoliczności. Tymczasem – i nie odnoszę się tu do wspomnianej historii – im bliżej znamy sprawcę, im lepiej znamy akta, tym mocniej rozumiemy powody, dla których doszło do tragedii, oraz intencje sprawcy. To wszystko musi brać pod uwagę sędzia.

W przypadku Sebastiana M. mamy świadomego człowieka, który uśmiercił rodzinę, pędząc ponad 300 km/h, i nie usłyszał zarzutu o „zabójstwo z zamiarem ewentualnym", zagrożonego karą od 10 lat do dożywocia. Tylko dlatego, że hamował przed zderzeniem. Jechał też trzeźwy i nie był w kwestii wypadków recydywistą, jak Łukasz Ż., który zabił autem tylko jedną osobę, a dostał aż 20 lat.

Pamiętajmy jednak, że Sebastian M. dostał 8 lat więzienia; to maksymalny wyrok, jaki sędzia mogła wówczas orzec. By zastosować inną kwalifikację, musielibyśmy być pewni, że już wsiadając do auta, sprawca godził się na to, że może dojść do tragedii. Sąd w takiej sytuacji ma bardzo trudne zadanie, nie może kierować się swoimi przeczuciami, ale dowodami. Tu mamy kolejne rozdarcie. Tak naprawdę nie ma jasnej odpowiedzi na pytanie, jakie cele wypełnia prawo karne.

Ma ono dać nam poczucie sprawiedliwości. Świadomość, że umiemy reagować na zło i karać za nie w sposób mądry i instytucjonalny, a nie poprzez samosądy.

Słyszymy jakąś koszmarną historię, dowiadujemy się o śmierci i cierpieniu niewinnych ludzi, wyobrażamy sobie, że nas lub bliskich spotkało to samo. Kara ma być więc w jakimś sensie sprawiedliwym wyrównaniem krzywdy, choć dla bliskich ofiar nie oznacza końca cierpienia. Społeczeństwo ma mieć jednak poczucie, że zrealizowała się sprawiedliwość tu, na ziemi, a nie w niebie. Wielu twierdzi, że prawo karne wzięło się z potrzeby ucywilizowania zemsty, przeniesienia jej na mniej kierujące się emocjami państwo, reprezentujące wspólnotę.

Istnieje też cel zapobiegania powtarzaniu się przestępstw. Po to też są kary więzienia dla sprawców.

Chcemy tym sprawić, by sprawca już nigdy przestępstwa nie powtórzył, a innych odstraszył surowy wyrok; koncentrujemy się na przyszłości i celu wychowawczym. Ale weźmy przykład kobiety, która miała świetnie funkcjonujące przedsiębiorstwo, spieszyła się na podpisanie kontraktu, ale była pod wpływem alkoholu. Doszło do wypadku, a ofiara, dziewczynka, doznała ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Sprawca przyznaje się do winy, natychmiast zobowiązuje się do renty, posiada dobrą opinię. Mamy więc żal za ten czyn i pokutę. Czy taka osoba powinna pójść do więzienia, czy nie? Czy będzie mogła zza krat prowadzić firmę, płacić ofierze rentę? Pewnie nie. Ktoś inny jednak powie, że ona powinna siedzieć, gdyż po alkoholu spowodowała kalectwo dziecka.

Ktoś może też zauważyć, że przy ewentualnym wyroku z zawieszeniem inny biznesmen pomyśli: napiję się, zranię kogoś, trudno. Najwyżej stracę „prawko", a ofierze zapłacę.

Widzicie panowie, jak trudne są to dylematy. Na ile ten żal i spowiedź w sądzie czy oferta odszkodowania – są szczere. Pokuta tym się różni od kary, że jest czymś dobrowolnie na siebie przyjętym. Jest też próbą pojednania się; daje powód do wybaczenia. Czujemy, że sprawiedliwość się dokonała: ktoś wziął na siebie winę, zaproponował zadośćuczynienie. Jednym to wystarczy, innym nie, bo uznają, że nie mamy tu do czynienia ze skruchą sprawcy, ale jego komfortowym wykupieniem się od kary.

Tyle że w historii Sebastiana M. nie mieliśmy rolnika, który po całym dniu na polu w czasie żniw przejechał przypadkiem dziecko sąsiada. Trzyosobowa rodzina została unicestwiona w wyniku trzykrotnego przekroczenia prędkości do poziomu Formuły 1. Każda sekunda takiej jazdy na publicznej drodze to świadome dopuszczenie śmierci niewinnej osoby, co ciągnie za sobą traumę dla tych, co przeżyli. Niemal w centrum Krakowa pędzący autem kierowca zabił rodziców małego chłopca, a jego ranił. Ta opowieść nie skończy się w momencie wyroku, będzie się ciągnęła za tym dzieckiem. Te historie to wielkie wyrwy społeczne.

To są bardzo emocjonalne słowa, pojawia się niewinne dziecko, wyrwa społeczna. Rozumiem to, ale w praktyce sądowej trzeba do emocji podchodzić z dystansem. Weźmy np. morderstwo w melinie pijackiej, gdzie ktoś bierze nóż i zabija uczestnika balangi. Czy sędzia ma prawo rozpatrywać tę zbrodnię w kategoriach mniejszego zła i mniejszej straty społecznej niż w przypadku śmierci dziecka? Nie powinno się patrzeć na społeczną użyteczność ofiary.

Ponoszą nas emocje, bo mówimy o bulwersującej, medialnej sprawie z małym dzieckiem w tle?

Nie zakładam tego, ale proszę zauważyć, że połowa wyroków za zabójstwo w Polsce, i to umyślne, to kary poniżej 10 lat, dożywocia orzekane są bardzo rzadko. My po prostu nie znamy tych kazusów, bo nie są aż tak medialne, a okoliczności aż tak bulwersujące.

Skupmy się na kwestii umyślności. Na drodze może to oznaczać, iż ktoś świadomie robi coś bardzo ryzykownego i skrajnie niebezpiecznego, ale błędnie ocenia, że panuje nad sytuacją. Tyle że nie wiemy dokładnie, co ten człowiek ↦

MARCIN BIELECKI / PAP

↦ myślał, nie udowodnimy naszych przeczuć, że zdawał sobie sprawę, iż może kogoś zabić. Istnieje fundamentalna różnica między spowodowaniem wypadku ze skutkiem śmiertelnym a przypadkiem kogoś, kto świadomie decyduje się na zabójstwo i używa do tego np. broni. Przyjęte w społeczeństwie zasady moralne też takie sprawy rozróżniają.

Zasady ulegają korektom. W Polsce zmienił się m.in. stosunek do alkoholu, co pozwoliło Sejmowi uchwalić nocną prohibicję. Podobnie zmienia się stosunek do przestępstw drogowych. Może jednak potrzebujemy wyższych kar w prawie, na wzór USA czy Wielkiej Brytanii, ale też Włoch, Holandii i Niemiec, gdzie w szczególnych przypadkach mamy wyroki dożywocia.

Tylko że np. w niemieckich wypadkach chodziło o nielegalne wyścigi, w których udało się udowodnić zamiar ewentualny sprawców, którzy byli już wcześniej za podobne przestępstwa karani. W Polsce też mamy takie zapisy. Nie jesteśmy wyspą niskich kar na tle Europy.

Zmiany w prawie są oczywiście dopuszczalne i wprowadzane: za wypadek ze skutkiem śmiertelnym grozi dziś do 10 lat. Musimy jednak wciąż się zastanawiać, jaka kara jest konieczna, by osiągnąć minimum sprawiedliwości? Rozwój cywilizacji polega na tym, by jak najmniejszymi karami uzyskać jak najdalej idący efekt. Zwiększanie odpowiedzialności karnej jest klęską prawa karnego, a nie sukcesem.

Tylko czy społeczeństwo czuje się dobrze przy takich wyrokach? Karnista z UJ, prof. Mikołaj Małecki, apeluje o zmianę podejścia do „zamiaru ewentualnego". Uważa, że ktoś, kto jedzie ponad 300 km/h, nie jest kierowcą, ale pasażerem w pocisku, którego nikt nie kontroluje. Tymczasem widzimy wyrok 8 lat, niecałe trzy za każdego zabitego.

To jest anglosaskie podejście, w systemach kontynentalnych w ten arytmetyczny sposób nie wartościuje się życia ludzkiego. Poza tym tu mamy sprawę rodzącą potężne emocje, której wynik miał zaspokoić odruch społecznej potrzeby wymierzenia sprawiedliwości. Zawsze w takich momentach widzę kopy akt spraw, którymi pies z kulawą nogą się nie interesuje, bo nie było w nich figury niewinnej ofiary, dziecka.

Gdy ta się pojawia, część społeczeństwa żąda surowej kary, ale mija trochę czasu i o ofierze zapominamy. Może powinniśmy spojrzeć szerzej i pomyśleć o autach, które fabrycznie uniemożliwiają jazdę po alkoholu i mają ograniczniki prędkości, albo o zakazie sprzedaży wódki na stacjach paliw. To zapobiegnie bardziej tragediom na drogach niż dyskusja, czy zamiast 8 lat ktoś powinien dostać 20.

Może sędziowie powinni w takich sprawach jaśniej tłumaczyć, dlaczego wydają taki, a nie inny wyrok? Społeczeństwo często Was, prawników, nie rozumie. W efekcie domaganie się wyższych kar stało się częścią politycznej dyskusji, karmi emocje i polaryzację. A potem wynosi na szczyt ludzi, którym obce są niuanse naszej dyskusji.

Tak, umiejętność komunikacji i przekładania na zrozumiały język zawiłych przepisów to cechy niezbędne dla tryumfu racjonalności nad niskimi emocjami. Wydający wyrok sędzia musi się oderwać od języka zawartego w kodeksach. Strony mają zrozumieć istotę sprawy, a nie procedury. Człowiek ma wyjść z sali rozpraw i nawet jak się z wyrokiem nie zgadza, ma rozumieć, o czym mówił sędzia.

Jeżeli zaś sędzia wychodzi na salę rozpraw z przekonaniem, że wyrok, który wydaje, może się wydawać za niski, musi wytłumaczyć, dlaczego nie może być inaczej, np. z powodu granic ustawowych. A co do samego prawa karnego, to ono już przeżywa zmiany w związku z rosnącym populizmem, od 2015 r. Idąc w tym kierunku dalej, możemy nawet wprowadzić karę dożywocia za zabójstwo drogowe dokonane przy „rażących okolicznościach", np. jeśli ktoś o 150 km/h przekroczy prędkość. Wtedy 1 km/h zdecyduje o tym, czy będziemy mieć występek, czy zbrodnię zagrożoną dożywociem.

Panie Profesorze, nadal nie jesteśmy przekonani do Pańskich wyjaśnień. W cywilizowanym świecie trudno jest zrozumieć 8 lat za zabicie rodziny i to, że sprawca za 12 lat będzie znowu prowadził auto.

Dyskusja nad wysokością kar może trwać, ale czy podniesienie ich sprawi, że będziemy na drogach bezpieczniejsi? Odstraszymy potencjalnych sprawców? Badania ukazują, że taki mechanizm nie działa. On daje nam tylko złudną satysfakcję. Tymczasem już przy obecnym prawie obserwujemy znaczny spadek przestępstw drogowych i osiągamy stopniowo zakładane cele. Ja rozumiem, że chcemy sprawiedliwości, ale czy zarazem nie maskujemy w sobie też potrzeby zemsty, której się wstydzimy, chcąc, by tego aktu dokonało państwo?

Oczywiście, jest problem koherencji systemu. Tu mamy 8 lat za śmierć trzech osób, a z drugiej strony znam sprawę człowieka, któremu udowodniono 10 kradzieży wódki ze sklepów, za co dostał 3,5 roku więzienia. Dla mnie to absurdalnie wysoka kara, wynikła ze zmian wprowadzonych za Zbigniewa Ziobry.

Najgorsza jest sytuacja, kiedy ktoś idzie siedzieć z głębokim przekonaniem, że jest ofiarą wymiaru sprawiedliwości. On się wtedy usprawiedliwia ze zła, którego dokonał, i jest otwarty na nowe zło. Takie skutki przynosi populizm.

Czy mamy rozumieć, że prawo karne ma być w pewnym sensie hamulcowym dla naszych rządz i pragnień zemsty, więc powinno iść kilka kroków za społeczeństwem?

Dobrze udokumentowana teza kryminologiczna mówi, że dolegliwość kary więzienia odczuwa się przez trzy lata, a później następuje proces adaptacji do warunków. Wobec tego wysoki wyrok jest raczej symbolicznym komunikatem dla społeczeństwa niż dla sprawcy. Ale zadajmy sobie pytanie: kto odczuwa z tego satysfakcję moralną?

Publiczność, społeczeństwo, wspólnota. Choć pewnie tylko przez chwilę.

W Wielkiej Brytanii orzeka się wysokie wyroki, po czym niemal obligatoryjnie więzień jest zwalniany po odbyciu połowy kary. Odgrywa się ten teatr surowości, ale wiadomo, że tylu ludzi system nie zaabsorbuje, więc się to towarzystwo wypuszcza.

Pamiętajmy też, że to nie sędziowie tworzą ostatecznie nasze prawo, lecz politycy. Tu nie będzie racjonalności. Skoro atmosfera jest skażona populizmem, ła-

godzenia kar nie będzie. Racjonalności w tworzeniu prawa też, czyli dyskusji, że gdzieś karzemy za słabo, a gdzieś jednak za bardzo. To już padło łupem populizmu. Musi być surowo i już. Niektórzy mogą się cieszyć.

Widać to nie tylko w sprawach wymiaru sprawiedliwości. W kwestii imigracji obecnie rządzący przyjęli język swoich poprzedników. Nie twierdzą przy tym, że zmienili zdanie. Oni się wręcz wypierają poglądów z czasu kryzysu na granicy z Białorusią.

To się nazywa hipokryzja. Wystarczyło zdarzenia na granicy nazwać wojną hybrydową i już wiele bezprawnych działań zyskało usprawiedliwienie. Poza tym, ja naprawdę nie wiem, jakie oni mają poglądy. Gdyby one były osadzone na mocnym systemie wartości, nie byłoby tak prosto je zmienić.

Mam wrażenie, że politycy abdykowali ze swojej podstawowej funkcji: objaśniania świata. Oni nie wierzą w to, że potrafią ludzi przekonać do swych poglądów. Wolą płynąć z prądem, np. lęku przed „obcymi", tak jest bezpieczniej.

Zawsze mogą powiedzieć, że przecież „tamci" zrobią dwa razy gorsze rzeczy, więc warto „naszym" wybaczyć szczyptę hipokryzji.

Tylko że ktoś, kto przestaje być sobą, nie wygrywa. Można zmienić pod wpływem sondaży zdanie o Ukraińcach, a i tak przegrać wybory.

Mam wrażenie, że jeszcze kilka lat temu te wszystkie emocje przechodziły przez filtr autorytetów w różnych dziedzinach i wiarygodnych zespołów dziennikarskich. Dziś tych filtrów komunikacyjnych brakuje, dużo trudniej w internecie i mediach społecznościowych dotrzeć do prawdy.

Ofiarą tego świata jest Trybunał Konstytucyjny. Czy po tym, co w ostatnich dniach wydarzyło się w jego siedzibie, widzi Pan szanse na uratowanie go dla obywateli?

Żeby Trybunał mógł pełnić swe konstytucyjne role, musi być akceptowany przez wszystkie ważne strony politycznego sporu, w końcu jest on głównie dla polityków: rozsądza konflikty między władzami i sprawdza zgodność ustaw z Konstytucją. Dziś mamy oczywiście sytuację, w której ta akceptacja wygasła, ale muszę przyznać, że dostrzegam sens decyzji pani sędzi Korwin-Piotrowskiej o zawieszeniu prezesa Święczkowskiego.



GRAŻYNA MAKARA

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL jest sędzią Izby Karnej Sądu Najwyższego, kierownikiem Katedry Prawa Karnego UJ i przewodniczącym Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Karnego przy Ministrze Sprawiedliwości.

Wielu ekspertów widzi to inaczej.

Prawnicy nie są nieomylni. Wydając decyzję, sędzia zgadza się na jej weryfikację przez stosowne organy odwoławcze, w tym przypadku sąd dyscyplinarny przy TK. Jeśli ją anuluje, pani sędzia będzie się temu musiała podporządkować. Nie mamy więc do czynienia z niczym wyjątkowym, a tym bardziej z zamachem stanu, jak zdążyli już ogłosić niektórzy.

To, co zrobiła pani sędzia, ma moim zdaniem sens, bo jest odważną, może wręcz desperacką próbą ograniczenia szkód, które w polskim systemie prawnym czyni funkcjonowanie pozornie niezależnego, a w praktyce opanowanego przez jedną partię Trybunału.

Od dawna mówi Pan, że trzeba ten organ wymyśleć na nowo. Tylko jak?

Istnieje kilka modeli, w których Trybunał mógłby mądrze funkcjonować, ale na koniec każdy wymaga politycznej zgody, także ze strony ugrupowania, które w Sejmie najmocniej przyczyniło się do likwidacji jego niezależności. Oczywiście można powiedzieć: „Co nas to obchodzi? Idziemy do przodu". Karzemy jednych, innych usuwamy jako neosędziów lub przenosimy w stan spoczynku z wysokimi emeryturami. Tyle że to też będzie budzić poczucie niesprawiedliwości u wielu obywateli.

Czyli temat zamknięty. Nie ma dziś atmosfery na okrągły stół dla TK.

Wśród polityków brakuje osób, które potrafią nas przekonać, dlaczego opłaca się nam silny TK. Panuje raczej przekonanie, że im większy konflikt wokół tej instytucji, tym lepiej. Na dodatek ten „przebrany w szaty rzeczywistości" twór wydaje orzeczenia, które blokują państwo – dla potrzeb jednego środowiska. Nawet przy sprzyjających okolicznościach, co oznacza równy dystans do wszystkich partii, jego odbudowa zajęłaby 10 lat.

Czy mógłby Pan porównać sytuację Trybunału Konstytucyjnego do Sądu Najwyższego, w którym zasiada Pan od 15 lat?

Są ciągle przestrzenie w Sądzie Najwyższym, które funkcjonują według zapisanych wzorów. Gdyby tak nie było, mnie również by tam nie było. Wydajemy wyroki, których nie można za bardzo kwestionować, bo nie ma wokół nich problemów natury konstytucyjnej. Wynika to ze specyfiki SN, który rozstrzyga głównie w indywidualnych sprawach, mających mniejsze znaczenie ustrojowe – nie możemy uchylać ustaw. Możemy natomiast wpływać na linię orzeczniczą sądów i tak się stało np. w przypadku definicji gwałtu. Dlatego wciąż uważam, że mogę tam pracować w zgodzie z własnym sumieniem i Konstytucją.

Podoba się Panu współczesny świat i Polska: z pogardliwym językiem, z rosnącym populizmem?

Gdybym szukał dla tych zjawisk wspólnego mianownika, to byłaby nim gloryfikacja egoizmu, zarówno osobistego, jak i grupowego, z narodowym w szczególności. W Polsce zapominamy zwłaszcza o kotwicy, którą mamy w Konstytucji. To w jej preambule jest mowa o wartościach chrześcijańskich, o wolności i sprawiedliwości, które są podstawą naszej tradycji i kultury prawnej. One przyniosły pochwałę altruizmu, nie egoizmu. Kulturę miłości, a nie nienawiści; obrony słabszego przed silniejszym; solidarności. Chcę wierzyć, że te wartości nie są już tylko sloganami, nawet jeśli sam Kościół w tej kwestii częściowo abdykował. To jest sens mojej moralności.

©℗ Rozmawiali MAREK KĘSKRAWIEC i JACEK STAWISKI, współpraca MAREK RABIJ



LEONID JASTREMSKYI / ADOBE STOCK

Jest mnie coraz mniej

ANNA KORYTOWSKA

PSYCHOLOGIA | Najpierw zmniejszają się porcje, potem giną całe posiłki i kilogramy. Niepostrzeżenie myśli o jedzeniu, wadze i wyglądzie zaczynają pochłaniać życie. Na anoreksję chorują coraz młodsze dzieci.

To tkwi cały czas w głowie. Nie potrafisz się ucieszyć, że zjadłaś obiad z rodziną. Myślisz tylko o tym, ile miał kalorii i co teraz musisz zrobić, by go spalić. To zajmuje tak naprawdę cały dzień – mówi Kinga. Ma 19 lat, mieszka w Siedlcach, a na TikToku opowiada o swojej walce z zaburzeniami odżywiania. Na anoreksję zachorowała, mając 13 lat, gdy trafiła do klasy sportowej.

– Od zawsze dużo się ruszałam. Lekkoatletyka, pływanie, taniec. Byłam szczupła i nie zwracałam uwagi na to, co jem – wspomina. Tak było do czasu, gdy zaczęła dojrzewać. Wtedy po raz pierwszy usłyszała od kolegów, że ma „dużą pupę". Jej wygląd skomentował też nauczyciel WF-u. – Po powrocie ze świąt usłyszałam od niego, że z oponką nie będę robiła dobrych wyników. Wybiegłam z sali z płaczem. Wszyscy dookoła się śmiali – wspomina.

W tym samym czasie Kinga chodziła też na zajęcia taneczne. Trafiła do najbardziej zaawansowanej grupy, gdzie była jedną z najmłodszych. Starsze dziewczyny rozmawiały o żywieniu, wyglądzie. Kinga też zaczęła zwracać na to uwagę. Podczas lockdownu rozpoczęła pierwszą dietę. – Chciałam wrócić do szkoły piękna, odmieniona, żeby każdy był zachwycony – opowiada.

Chcieli, by była brzydka

Najpierw ograniczyła słodycze i zaczęła więcej ćwiczyć. Potem jej posiłek zaczął składać się niemal z samych owoców i warzyw. – Po miesiącu jadłam jedno jabłko dziennie, co godzinę jeden kawałek, żeby trochę oszukać organizm. A gdy nie zostało już nic, szłam spać. Głodna – przyznaje.

Rodzice Kingi szybko zauważyli, że coś jest nie tak. Prosili, żeby jadła więcej, a ona tylko potakiwała. Po lockdownie wróciła do szkoły o 15 kg lżejsza – nauczycielka tańca od razu zadzwoniła do jej mamy. Tak trafiła do psychologa, później do psychiatry. Pojawiły się regularne posiłki, przygotowywane przez dietetyczkę, oraz terapia.

Kingi pilnowała mama, która wzięła wolne z pracy, więc dziewczynka stopniowo odzyskała siły i przytyła do bezpiecznej wagi. Wróciła do dawnego towarzystwa, zaczęła wychodzić z domu. – Wtedy zrezygnowałam z terapii. Byłam przekonana, że już wszystko jest w porządku. To był błąd – stwierdza.

Rozpoczęła wtedy naukę w liceum i przez kilka miesięcy było dobrze. Aż trafiła na imprezowych znajomych. – Nieregularne posiłki, słone przekąski. Chciałam trochę dokopać chorobie. Tyle lat mi zabrała, to „teraz ja jej pokażę" – wspomina, dodając, że gdy poznała pierwszego poważnego chłopaka, jego komplementy dały jej poczucie bezpieczeństwa. Z czasem było ich jednak mniej. – W tamtym czasie przytyłam i od razu to połączyłam, choć zapewniał mnie, że mój wygląd i waga nie mają znaczenia – opowiada.

Wróciły ćwiczenia, kontrolowanie jedzenia, a z nimi obsesyjne myślenie

o kilogramach. – Niższa waga to był mój największy cel. Nic innego się nie liczyło. Nawet jak wszyscy już mi mówili, że jestem za chuda, to ja myślałam, że są okropni i zazdrośni. Chcą, żebym przytyła i była brzydka – tłumaczy Kinga.

Coraz rzadziej wychodziła z domu, pogarszały się jej też relacje z bliskimi. – Rodzice próbowali mnie namówić na wizytę u specjalisty, ale był to czas przed maturą, więc ustaliliśmy, że zdrowiem zajmę się po egzaminach – wspomina. – Tylko że ze mną było już źle. Kiedyś mogłam przeczytać temat i wiele z niego zapamiętać, a wtedy już nic. Totalna pustka w głowie – mówi.

Była skrajnie wyczerpana, a choroba pochłaniała niemal całą jej uwagę. – Co godzinę wchodziłam na wagę i za każdym razem miałam nadzieję, że pokaże mniej. Nie jadłam prawie nic, a to, co w siebie wmuszałam, zwracałam. Nawet wodę traktowałam jak zagrożenie – wspomina.

Mama zaczęła płakać

Po jednym ze świątecznych spotkań, na którym zjadła pół kawałka ciasta, wzięła miskę oraz papier, i poszła na klatkę sąsiedniego bloku. – Nie chciałam, żeby rodzice widzieli, jak wymiotuję. Aż nagle zobaczyłam na schodach za sobą mamę. Zaczęła płakać, a ja spojrzałam na nią, na to wszystko dookoła i zaczęłam się zastanawiać, co ja robię ze swoim życiem – przyznaje.

Kinga wiedziała, że sama już nie da rady, ale znalezienie pomocy nie było proste. Psycholożka, do której chodziła wcześniej, powiedziała, że na tym etapie został Kindze albo szpital psychiatryczny i karmienie sondą, albo prywatny ośrodek. To jednak też okazało się trudne, bo miała bradykardię i zbyt niskie BMI, wręcz na skraju wygłodzenia. W końcu trafiła do kliniki, w której spędziła dwa miesiące. Codziennie uczestniczyła w terapii grupowej, dwa razy w tygodniu spotykała się z psychologiem. Była też edukacja żywieniowa, muzykoterapia, filmoterapia i tzw. zajęcia somatyczne.

Kinga zaczęła dostrzegać, jak działa anoreksja i do jakiego stanu ją doprowadziła. – Na początku mój organizm odrzucał każde jedzenie; wagę zaczęłam odzyskiwać dopiero pod koniec pobytu w ośrodku – opowiada. Tam właśnie poznała inne osoby z zaburzeniami odżywiania. I choć wzajemnie się wspierały, porównywanie się było nadal częścią ich codzienności. – Choroba robi swoje. Sprawdzałyśmy, która ma węższe nadgarstki. To było straszne – zaznacza.

Kinga ukończyła wiosną szkołę średnią, ale nie podeszła do matury. Chce zdawać za rok, po kolejnej terapii. Prywatne leczenie kosztowało jej rodzinę bardzo dużo, więc chcą teraz skorzystać z NFZ. Niestety, w jej mieście na liście oczekujących jest 400 pacjentów. – Miałam ogromne szczęście, że rodzice mogli sfinansować mi pomoc, ale jest mnóstwo osób, które nie mają takich pieniędzy – przyznaje. To właśnie dla nich opowiada o swojej historii publicznie, w mediach społecznościowych. – Chcę wyzdrowieć. Nie chcę mieć tych męczących myśli, które potrafią być silniejsze niż wszystko inne. Widzę problem i wiem, że chcę się z nim uporać – dodaje z nadzieją.

Ma być idealnie

W Londynie zdiagnozowano anoreksję u 6-letniego dziecka, ale i w Polsce lekarze obserwują zaburzenia odżywiania u coraz młodszych osób, nawet 8-, 10-latków. Powodów jest wiele, ale – jak mówi Magdalena Błaszczyk, psychodietetyczka z Fundacji helpED – jeden rozwija się bardzo szybko i wiąże się ze scrollowaniem mediów społecznościowych i nieustannym porównywaniem wyglądu. – Dzieci od najmłodszych lat mają dostęp do tego, co idealne, ale przy okazji fikcyjne, bo przerobione i poprawione. Do tego zmagają się z problemami w relacjach społecznych, mniej się ze sobą widują i mniej rozmawiają, więc te braki uzupełniają w internecie – tłumaczy ekspertka.

Dzieci narażone są zwłaszcza na ofensywę różnych cudownych diet oraz na przekaz utożsamiający szczupłość ze zdrowiem. – Wszyscy mają być fit i wysportowani. Żyją więc pod ogromną presją wyglądu, ubioru oraz stanu posiadania – tłumaczy Błaszczyk.

Gdy ulubiona influencerka twierdzi, że zjada jeden posiłek dziennie, dzieci chcą ją naśladować i uważają głodzenie się za osiągnięcie, co oczywiście jest nieprawdą. Szczególnie narażone mogą być dzieci o określonych cechach osobowości. – W mojej pracy bardzo często spotykam osoby perfekcjonistyczne, ambitne. Kontrolowanie jedzenia daje im poczucie, że robią coś naprawdę dobrze. Zwłaszcza wtedy, gdy w innych obszarach życia przestaje się układać – wyjaśnia psychodietetyczka.

Ile sonda ma kalorii

– Myśli o odchudzaniu przesłaniały mi cały świat. Kłopot w tym, że ja i tak cały czas się sobie nie podobałam. Zupełnie nie dostrzegałam, że jestem za chuda – mówi Agata Borkowska. Ma 22 lata, pochodzi z Bydgoszczy, studiuje prawo na paryskiej Sorbonie. Na anoreksję zachorowała osiem lat temu.

– Zawsze przejmowałam się opinią ludzi. Nie byłam skupiona na sobie, tylko na tym, jak inni na mnie patrzą. Właściwie dopiero pod koniec podstawówki miałam koleżanki – wspomina. Agata bardzo dobrze się uczyła, ale coraz częściej czuła się niewystarczająca. Wewnętrznie i zewnętrznie. Wtedy pojawiła się myśl o poprawie wyglądu. – Zaczęłam mniej jeść. Początkowo mi to nie wychodziło, bo trudno było mi zrezygnować ze słodyczy czy kolacji – opowiada.

Z każdym dniem coś jednak ucinała. Później dowiedziała się, że jedzenie można ważyć, a kalorie liczyć. – Zainstalowałam aplikację i cały czas starałam się, by było ich coraz mniej. W krótkim czasie doszłam do tragicznego stanu. Ledwo mogłam wejść po schodach czy do wanny – zaznacza.

Miała 16 lat, kiedy pierwszy raz trafiła do szpitala, gdzie lekarze zdiagnozowali anoreksję. Ale nawet wówczas Agata pragnęła szczupłości i nie miała świadomości, że jest chora, więc po wyjściu ze szpitala w niedługim czasie schudła kolejne kilogramy. Drugi raz trafiła do szpitala, już na granicy życia i śmierci. Ważyła wtedy 28 kg. – Podłączyli mi sondę, a ja pytałam lekarki, ile ona ma kalorii. Bałam się przytycia i nieważne było, czy umrę. Chciałam tylko być chuda, tak działa chory mózg – tłumaczy.

W szpitalu stan fizyczny Agaty nieco się poprawił, zaczęła terapię i współpracę z psychodietetykiem, pilnowała regularnych posiłków. Później kilka razy zmieniała specjalistów, do których czekała w długich kolejkach na NFZ. Napisała nawet petycję do Ministerstwa Zdrowia, w której apelowała o dofinansowanie leczenia chorób psychicznych i usprawnienie systemu opieki. Przełomowy okazał się jednak wyjazd do Francji na studia, w którym pomogli jej rodzice. ↦

↦ – Kiedy już byłam daleko od domu, zdana na siebie, pomyślałam, że tak nie może być. Że nie chcę więcej sytuacji, w których nie mam siły, żeby chociaż dom odkurzyć – opowiada Agata. Zawzięła się, ale ciężkie myśli o tym, że nie da rady, wciąż kłębiły się w głowie. Potem zaczęła czuć głód, z czasem coraz większy i większy. Na koniec przytyła do 80 kg, co oznaczało nadwagę. – W końcu byłam najedzona. A potem waga zaczęła naturalnie spadać, bez mojej ingerencji – zaznacza.

Od pół roku Agata czuje się zdrowa, ale pamięta, jak łatwo wpaść w kłopoty i jak trudno z nich wyjść. – Pół roku temu szłam brzegiem rzeki. Był piękny dzień, słońce odbijało się od wody i świeciło mi w oczy. Patrzyłam na ludzi, na zwierzęta i pomyślałam sobie, że to wszystko mogło mnie ominąć. Cieszę się, że żyję. Jestem szczęśliwa – dodaje.

Radio pod czaszką

Najpierw jest zdrowsza dieta. Kilka produktów znika z jadłospisu, pojawia się większa uwaga poświęcana wadze oraz sylwetce, liczenie kalorii. Koleżanki i koledzy reagują pozytywnie, nikt nie widzi choroby. Tymczasem granica między kontrolowaniem jedzenia a anoreksją niebezpiecznie się zaciera.

– To choroba złożona i nie ma jednej przyczyny. Zwykle jest to szereg czynników: genetycznych, osobowościowych oraz społecznych, bo znaczenie ma też środowisko, w którym dziecko dorasta, oraz to, jakie wzorce dotyczące jedzenia i wyglądu obserwuje – mówi psycholożka i psychoterapeutka Katarzyna Gaber-Kasprzyk z Fundacji helpED.

Choroba dotyka osoby o niskiej samoocenie (często zapatrzone w internetowych idoli), a także perfekcjonistów; może też towarzyszyć stanom lękowym i depresji. Początek nie zawsze jest łatwy do zauważenia i może nawet uradować rodzinę. Dziecko zaczyna jeść mniej słodyczy, więcej się rusza. Z czasem pojawiają się jednak kolejne ograniczenia. Wykluczanie produktów, zmniejszanie porcji, rezygnacja z całych posiłków, a także kompulsywne myśli o wadze i wyglądzie. – Kiedy pojawiają się zmiany w sposobie odżywiania, naturalnie zaczyna spadać masa ciała, co z kolei wzmaga koncentrację na wyglądzie. Do tego dochodzą reakcje otoczenia. Komplement dotyczący utraty wagi może stać się niezamierzonym wzmocnieniem chorobowych zachowań – tłumaczy psycholożka.



EVA VONS

KATARZYNA GABER-KASPRZYK, PSYCHOTERAPEUTKA:

Myśli wokół odżywiania jest tak dużo, że pacjent często nie potrafi się od nich w ogóle uwolnić. Są jak radio, którego nie da się wyłączyć, a którego dźwięk coraz bardziej wyniszcza.

W pewnym momencie jedzenie przestaje być tylko jedzeniem. Staje się tematem, wokół którego krąży niemal wszystko, bo wszystko zaczyna się kojarzyć z pożywieniem, wagą i wyglądem. Co można zjeść, a czego już nie; co ma ile kalorii i co w związku z tym trzeba ograniczyć. Do tego dochodzi zaburzone postrzeganie: „jak widzą mnie inni". – Myśli jest tak dużo, że pacjent często nie potrafi się od nich w ogóle uwolnić – zaznacza Gaber-Kasprzyk, porównując tę gonitwę umysłu do radia, którego nie da się wyłączyć, a którego dźwięk coraz bardziej wyniszcza.

Test obszernego ubrania

Anoreksji towarzyszy zaburzone postrzeganie własnego ciała, czyli tzw. dysmorfofobia. Osoba chora, niezależnie od rzeczywistej wagi, może postrzegać siebie jako zbyt dużą lub niedoskonałą. – Pierwsze sygnały często zauważają rodzice. Oprócz spadku masy ciała obserwują zmianę nastroju, problemy z koncentracją, wycofywanie z relacji, jedzenie w samotności. Często znajdują też nieskonsumowane przez dziecko posiłki. Myśli o pożywieniu bywają tak natrętne, że trudno skupić się na czymkolwiek innym – mówi Magdalena Błaszczyk.

Gdy młoda i chora osoba zaczyna chronić się przed światem, przestaje np. chodzić na basen czy WF. – Zaczyna wybierać obszerne ubrania, choć wcześniej tego nie robiła. Niepokoić może również narastająca samokrytyka i niska samoocena. Pojawić się może nawet zatrzymanie miesiączki związane z niedoborem masy ciała – dodaje Katarzyna Gaber-Kasprzyk.

Według danych NFZ w 2024 r. stwierdzono anoreksję u niemal 2700 osób – to niemal trzykrotnie więcej niż w 2010 r. Wszystkich chorych w Polsce może być niemal 30 tys., z czego 90 proc. to młode dziewczęta, najczęściej skazane na długie kolejki w NFZ lub na kosztowne leczenie prywatne.

Jednak takie ośrodki nie przyjmą pacjenta z bardzo niskim BMI; wówczas konieczna jest hospitalizacja na całodobowym oddziale psychiatrycznym, a niekiedy też w innym miejscu – długotrwałe niedożywienie może bowiem prowadzić do poważnych problemów kardiologicznych, neurologicznych, hormonalnych i gastroenterologicznych.

– W NFZ brakuje pieniędzy na leczenie zaburzeń odżywiania, dlatego ośrodki specjalizujące się w takiej terapii są w pełni płatne. Kilkutygodniowe turnusy kosztują od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy złotych – informuje Gaber-Kasprzyk, dodając, że anoreksja często wymaga współpracy kilku specjalistów: psychoterapeuty, dietetyka lub psychodietetyka i psychiatry. W przypadku dzieci i nastolatków często potrzebna jest również terapia rodzinna. Chociaż leczenie bywa długie i wymagające, choroba nie musi pozostać z nami na zawsze.

– Są pacjenci, którzy mierzą się z anoreksją przez całe życie, ale wielu wychodzi z niej i ma się dobrze. Często wracają do normalnego życia i dzielą się swymi doświadczeniami – opowiada psychoterapeutka, apelując, by rodzice starali się rozmawiać często z dziećmi, a jeśli zauważą niepokojące objawy związane z odżywianiem, udali się po profesjonalną pomoc. Nie warto czekać, aż piękna linia i dieta zamienią się w chorobę, stając się dyktatorem dla naszego dziecka.

© ANNA KORYTOWSKA



ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP

Oddział Noworodkowy w Szpitalu im R. Czerwiakowskiego w Krakowie, marzec 2023 r.

Krajobraz po szpitalnej bitwie

PATRYK SŁOWIK

OCHRONA ZDROWIA | Samorząd lekarski utknął w okopach i chce ograniczać liczbę studentów. Rząd z kolei przygotował ustawy, które tylko pozorują uzdrawianie ochrony zdrowia. Z afery, która mogła być początkiem głębokiej reformy, uszło powietrze.

Gdy szef prosektorium mówił do lekarza wykonującego sekcję zwłok pacjenta zmarłego w szpitalnej łazience, że trzeba zrobić tak, „żeby syfu nie było" – nie chodziło o najlepsze możliwe działanie. Najważniejsze było to, żeby skandal w Warszawskim Szpitalu Południowym posprzątać z wierzchu, tak by nie kłuł wszystkich po oczach.

To najlepsze podsumowanie publicznego systemu ochrony zdrowia w Polsce, jakie usłyszałem. Niczego fundamentalnie nie zmieniać, tylko zamieść „syf" pod dywan i udawać, że jest czysto. Niestety, afery wokół szpitala i młodego lekarza Dawida K., którego nazwisko już trzeba skracać wskutek decyzji prokuratury, nie da się tak łatwo odhaczyć. Patologie narosły bowiem nie tylko w tej jednej placówce. Tę po prostu dziennikarze prześwietlili z góry na dół.

Mądrością państwa – pisałem o tym już wielokrotnie – jest umiejętne wykorzystywanie kryzysów. Taka okazja nadarzyła się pięć miesięcy temu, i to w ochronie zdrowia, której reformowanie jest zazwyczaj bardzo trudne i politycznie nieopłacalne. Jednak rządzący dostali tym razem wyraźny glejt od obywateli, zbulwersowanych skalą patologii i gigantycznymi kontraktami lekarzy w publicznych placówkach: róbcie wszystko, żeby było lepiej.

Lepiej nie będzie

Pakiet ustaw zdrowotnych, który uchwalił Sejm – przewidujący ograniczenia w zarobkach medyków, lepszą kontrolę dyżurów lekarskich, zaostrzenie kar wobec oszustów w kitlach – nie zaszkodzi polskiej ochronie zdrowia. Wbrew kasandrycznym narracjom kreowanym przez samorząd lekarski – szpitale z tego powodu nie upadną, a lekarze nie przejdą masowo z systemu publicznego do prywatnego.

Kłopot z tym pakietem jest inny: on nie zaszkodzi, ale też wielu problemów nie rozwiąże. Rządzący wzięli się bowiem za zmiany proste, mające pokazać społeczeństwu, że władza reaguje na afery. Tak naprawdę oddano jednak walkowerem walkę o kwestie kluczowe dla pacjentów, jak choćby zajęcie się strukturą własnościową szpitali, tak by placówki leżące blisko siebie nie miały dwóch różnych publicznych właścicieli (najczęściej starostów) i nie podkupowały sobie personelu.

Skupienie dyskusji na pieniądzach jest dla rządu wygodne. Można pokazać wyborcom lekarza milionera i zarazem przedstawić się jako obrońcę ludzi czekających w gigantycznych kolejkach. Tyle że pacjent potrzebuje przede wszystkim czegoś innego: lekarza, który jest dostępny, wypoczęty oraz kompetentny. A do tego potrzebne są kadry, sprawna organizacja oraz uczciwe finansowanie. Tylko w ten ↦

↦ sposób polskie państwo będzie potrafiło zapewnić przyjęcie chorego na badanie w ciągu dwóch miesięcy, a nie dwóch lat.

Obecna „reforma" w ogóle nie dotyczy dostępności do świadczeń medycznych. Te bowiem kilka miesięcy temu Ministerstwo Zdrowia w przypadku wielu badań ograniczyło, poszukując oszczędności. Według wrześniowych danych Fundacji Alivia, na rezonans magnetyczny w trybie zwykłym czekało się w Polsce średnio 137 dni, wobec 85 dni jeszcze pół roku temu. Na kolonoskopię bez znieczulenia – 336 dni zamiast 237.

Przywileje pod ochroną

Test bez wątpienia oblał również samorząd lekarski. Ludzie, którzy byli aktywni i skuteczni w walce o przywileje swojego środowiska, stali się zupełnie bezsilni, gdy trzeba było zająć się bulwersującymi zachowaniami niektórych lekarzy.

Stało się tak, mimo że izby lekarskie mają szczególne zobowiązania. Państwo powierzyło im nadzór nad wykonywaniem zawodu zaufania publicznego, co powinno wiązać się z uczciwą oceną pracy medyków, ale też zapewniać pacjentom skuteczną reakcję na nadużycia. Tę drugą część zadania łatwo pominąć, kiedy troska o wizerunek środowiska zaczyna przesłaniać wszystko.

Najlepszym dowodem jest fakt, że w czerwcu 2026 r. prezes Naczelnej Rady Lekarskiej (NRL) Łukasz Jankowski publicznie zapowiedział złożenie wniosku o zawieszenie prawa wykonywania zawodu przez Dawida K., podejrzanego dziś o oszustwo na 583 tys. zł. Mamy listopad i taki wniosek od rzecznika odpowiedzialności zawodowej wciąż nie wpłynął do sądu lekarskiego.

System pozostał niewydolny mimo bardzo dużych nakładów.

Obywatele efektów nie widzą i odnoszą wrażenie, że pieniądze idą głównie na wynagrodzenia kadr medycznych.

Prezydium NRL starczyło za to czasu, by już w lipcu 2026 r. przyjąć stanowisko dotyczące projektu rozporządzenia ministra zdrowia w sprawie limitu przyjęć na studia medyczne. Rządzący zaproponowali, by zwiększyć nabór na kierunkach lekarskich o 201 miejsc w skali całego kraju. Jednak prezydium stwierdziło, że „przy aktualnych trendach dotyczących ustalania liczby miejsc na studiach już w 2032 r. liczba lekarzy w Polsce przekroczy prognozowany popyt na świadczenia".

Napiszę brutalnie: gdyby okazało się, że nie będzie potrzeba w Polsce tylu lekarzy, ilu wykształcimy, choć to mało prawdopodobne – część będzie mogła pracować w innych miejscach niż szpitale, poradnie i przychodnie. Jedni przydadzą się w firmach farmaceutycznych, inni wyjadą z kraju lub rozwiną biznesy okołomedyczne, kolejni – wybiorą nową drogę kariery, tak jak ogrom prawników czy ekonomistów pracuje poza zawodem, wykorzystując nabyte podczas studiów kompetencje.

Zresztą, skoro dziś środowisko lekarskie – protestując przeciwko planom ustawowego ograniczania jego zarobków – powołuje się na to, że do wolnego zawodu lekarza państwo nie powinno się mieszać – to trudno zrozumieć, dlaczego chce zarazem sztucznie ograniczać liczbę fachowców w tym zawodzie? Konkurencja pacjentom nie zaszkodzi.

Padło wiele słów

Publiczny system ochrony zdrowia zbliża się na sam skraj przepaści. Stał się skrajnie niewydolny, mimo że w ostatnich latach zaczęliśmy przyzwoicie go finansować. Obywatele nie widzą jednak efektów tych nakładów i odnoszą wrażenie, że idą one głównie na wynagrodzenia kadr medycznych. I jest to prawda: przypadło na nie 69 proc. nominalnego wzrostu publicznych nakładów na zdrowie w latach 2018-2024.

Równocześnie wciąż postępuje w ochronie zdrowia prywatyzacja: zagraniczne fundusze inwestycyjne przejmują przychodnie, międzynarodowe korporacje zakładają szpitale, w których wykonują tylko te procedury, które są najbardziej opłacalne.

Jako społeczeństwo o wiele bardziej potrzebujemy sprawnego, publicznego systemu ochrony zdrowia. Solidaryzm społeczny nakazuje leczyć chorych na raka, którzy nie mają pod poduszką setek tysięcy złotych, oraz dbać o przedwcześnie urodzone dzieci, które muszą spędzić dwa miesiące na oddziale intensywnej opieki dla noworodków.

Niestety – publiczna analiza systemu, która rozpoczęła się od sprawy Szpitala Południowego, ograniczyła się do tego, że dużo wszyscy gadaliśmy. Zrobiliśmy niewiele. © PATRYK SŁOWIK

Autor jest dziennikarzem portalu Zero.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep „Tygodnika Powszechnego"





DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA

SPRAWDŹ sklep.TygodnikPowszechny.pl

Edukacja, która otwiera możliwości. Stypendia Akademeia High School

AKADEMEIA HIGH SCHOOL

Czy szkoła może pomóc młodemu człowiekowi nie tylko dobrze zdać egzaminy, lecz także odkryć, w czym jest naprawdę dobry i jak chce wykorzystać swoje talenty? W Akademeia High School edukacja opiera się na przekonaniu, że ambitne cele akademickie i wszechstronny rozwój nie wykluczają się, lecz wzajemnie wzmacniają.

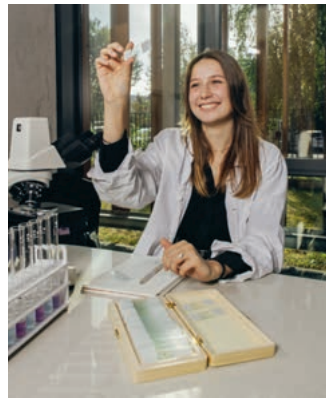
Akademeia to międzynarodowe liceum w Warszawie, dla młodzieży w wieku 13-18 lat, z prestiżowymi akredytacjami HMC, BSO i COBIS, realizujące brytyjski program nauczania, w którym uczniowie uczą się samodzielnie myśleć, argumentować, prowadzić badania i szukać własnych odpowiedzi. Zajęcia w grupach liczących maksymalnie 12 osób sprzyjają dyskusjom i indywidualnej pracy z nauczycielem. W ostatnich dwóch latach młodzież wybiera przedmioty zgodne ze swoimi zainteresowaniami i przygotowuje się do matury A Levels. Obok wymagających zajęć akademickich ważną rolę odgrywają projekty badawcze, sztuka, sport, debaty, wolontariat i opieka mentorska.

Efekty tej filozofii widać w wynikach. W 2026 roku 63 proc. ocen z egzaminów A Levels stanowiły najwyższe stopnie A* i A, a niemal połowa absolwentów uzyskała co najmniej trzy takie oceny. Spośród maturzystów wybierających studia w Wielkiej Brytanii 81 proc. dostało się na uczelnie z brytyjskiej pierwszej dwudziestki. Absolwenci Akademei kontynuują naukę na najbardziej prestiżowych uczelniach na świecie, między innymi na Cambridge, Oxford, Imperial College London, London School of Economics, Stanford czy Bocconi. Za tymi osiągnięciami stoi nie tylko intensywna nauka, ale też rozwijanie ciekawości, wytrwałości i odpowiedzialności za własne wybory.



CHRIS ATHANASIOU x5









SZANSA DLA AMBITNYCH I UTALENTOWANYCH

Od lat Akademeia prowadzi konkurs stypendialny, by dostęp do takiej edukacji mieli również utalentowani młodzi ludzie, dla których pełne czesne stanowiłoby barierę. Szkoła przyznaje zarówno stypendia pełne, jak i częściowe, pokrywające od 5 do 100 proc. czesnego.

Stypendium może obejmować cztery lata liceum albo dwa ostatnie lata zakończone maturą A Levels. Konkurs jest otwarty dla osób z osiągnięciami naukowymi, a także rozwijających talenty artystyczne. Komisja bierze pod uwagę zarówno dotychczasowe wyniki, jak i potencjał kandydata oraz rezultaty procesu rekrutacyjnego. Kandydaci stypendialni są zwolnieni z opłat rekrutacyjnych i rejestracyjnych.

Ważna wiadomość dla rodzin spoza Warszawy: Akademeia oferuje komfortowy internat z całodobową opieką wychowawczą i ochroną. Uczniowie mają zapewnione wyżywienie, wsparcie psychologiczne, a także życie we wspólnocie rówieśników z różnych krajów. W ramach programu stypendialnego można ubiegać się również o dodatkową pomoc w pokryciu kosztów internatu i posiłków.

JAK UZYSKAĆ STYPENDIUM?

Aplikacje na rok szkolny 2027/28 przyjmowane są do 18 stycznia 2027 roku. Pierwszym krokiem jest wypełnienie formularza zgłoszeniowego na stronie szkoły; formularz właściwej aplikacji kandydat otrzymuje e-mailem. 22 lutego 2027 roku szkoła ogłosi listę finalistów zaproszonych do drugiego etapu. 19–20 marca odbędą się w Warszawie dni rekrutacyjne, podczas których kandydaci będą mogli zaprezentować swoje umiejętności i sposób myślenia. 19 kwietnia 2027 roku zostaną ogłoszone wyniki końcowe.

Konkurs stypendialny Akademei to zaproszenie dla rodzin, które traktują edukację jako inwestycję w przyszłość, ale szukają szkoły dostrzegającej w uczniu coś więcej niż świadectwo. Bo dobry start to nie tylko szansa na prestiżowy uniwersytet. To przede wszystkim możliwość odkrycia, kim chce się być – i odwagi, by tę drogę wybrać. ©

Szczegóły i zgłoszenia:

akademeia.edu.pl/pl/konkurs-stypendialny

MATERIAŁ PROMOCYJNY

OLGA

Drenda:

Za czym kolejka ta stoi? Za mocą tajemną



Pierwsza moja wyprawa z zaprzyjaźnioną grupą młodzieży Śląska i Zagłębia specjalnie do czakramu wawelskiego miała ekscytujący posmak wtajemniczenia. Musiał być to przełom tysiącleci, gdy łatwo było poczuć się obdarowanym dostępem do hermetycznej wiedzy, kupując sobie amulet na stoisku z pamiątkami.

Mówię to być może żartobliwie, ale tylko trochę, bo naprawdę czuliśmy, że wstępujemy na wyższy wymiar przygody. Zabytki zabytkami, ale przecież my wiedzieliśmy, że prawdziwym skarbem Wawelu jest pewna anonimowa ściana. Pod nią rzekomo znajduje się czakram, innymi słowy punkt nasycony szczególnie duchową mocą – tak przynajmniej twierdzili ezoterycy dwudziestolecia międzywojennego, czasu szczególnego wzmożenia na tle wiedzy tajemnej.

Niebawem po naszej wizycie miejsce, w którym rzekomo znajduje się czakram, zasłonięto tablicą informacyjną. Można zrozumieć ten ruch, gdy spojrzy się na dawne fotografie – emanująca mocą ściana jest na nich szara od licznych nieumytych rąk. Teraz zdecydowanie nie można czuć się już dysponentem tajemnicy. Trudno o to, gdy takie samo zdanie podziela z nami cała wycieczka Portugalczyków czekających na swoją kolejkę do poboru mocy. Wszystko stało się jawne, a czakram to po prostu atrakcja, choć na miejscu nie ma o tym informacji ani oficjalnych zachęt. Mimo oblężenia przez spragnionych obcowania z mocą, ściana nie jest już pobrudzona – świadczy to albo o wysokich standardach zabezpieczania powierzchni, albo o lepszym poziomie higieny ogółu.



Absorbujemy moc (być może)

OLGA DRENDA

Miałam okazję ostatnio odwiedzić na chwilę Wawel, by zobaczyć malutką wystawę „Lary i penaty" z polskiego pawilonu na Biennale w Wenecji, poświęconą praktycznym i magicznym, czyli oddziałującym *de facto* na nasz spokój ducha, metodom zaklinania bezpieczeństwa w domostwie. Jest na niej i mój miniaturowy obiekt – gadżet zwany odpromiennikiem, który dostałam w prezencie od przyjaciółki jako sympatyczną ciekawostkę. Postanowiłam sprawdzić, jak dzielnie strzeże naszego Wawelu, a przy okazji po latach przerwy przekonać się, jak wygląda dziś czakram, do którego dane mi było niegdyś pielgrzymować. Nie spodziewałam się, że zastanę tam nie tylko kolejkę, ale też że będzie ona międzynarodowa. Ludzie pod ścianą wyglądali na zachęcająco zrelaksowanych, jedna z pań chyba nawet drzemała na stojąco, a na pewno zapomniała o całym świecie.

Postanowiłam dołączyć do grona czekających, trochę dla solidarności, a trochę po to, żeby sprawdzić, jak sama się poczuję. Swoją postawę nazwałabym może życzliwym sceptycyzmem – sądzę, że najprawdopodobniej nic realnie mierzalnego tam nie ma, podobnie jak mój odpromiennik z wystawy to odpowiednik, powiedzmy, słonika na szczęście. Realna moc amuletów czy tajemniczych miejsc najpewniej polega na zmienianiu postawy korzystającego na bardziej spokojną czy sprzyjającą dbaniu o zdrowie, czyli owszem, działają – ale psychologicznie na wierzącego.

Jednocześnie zakładając, że prawdopodobnie nic tam nie ma, nie uważam, żeby wiarę taką trzeba było z gruntu krytykować. Czasami, jak dowodzą liczne analizy, ludzie skłaniają się ku niej z powodu rozczarowania światem czy wyczerpania innych możliwości pomocy w dotkliwym problemie, i jest to rzecz, której bagatelizować nie należy. Ale jest coś jeszcze. Być może większość takich fenomenów społecznych, jak wspominała niegdyś w swoich badaniach prof. Dorota Hall, opiera się nie na negacji namacalnej rzeczywistości czy nauki, a na postawie „co mi szkodzi". Nie trzeba deklarować wielkiej wiary, a można nawet sobie żartować, ale jeśli odwiedzając jakieś miejsce mocy czy nosząc talizman, możemy dodatkowo skorzystać, to dlaczego by tego nie uczynić.

Jak się niebawem okazało, stanie w kolejce, a potem już pod właściwą ścianą tworzy między ludźmi przyjemną nić porozumienia, co jest być może najbardziej pożyteczną stroną takiej wizyty. Starszy pan uśmiechnął się i powiedział do mnie znajomym tonem wtajemniczonego, że to nie jest jedyne takie miejsce w Krakowie. Brzmiał jak ktoś bardzo zadowolony, że zna tyle tajemnic i że wie coś szczególnego. Mieć takie poczucie na co dzień – to jest najprawdziwszy i godny pozazdroszczenia luksus (i to na ogół całkiem darmowy)! ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 45/2026

BONUS NOMINACJE

Dla tych, którzy łączą, nie dzielą

MAREK BEDNARZ

VISIT GDANSK

DOBRA PORA NA GDAŃSK

Gdy letnie tłumy znikają, Gdańsk nabiera wyjątkowego klimatu. Jesień to idealny czas, by odkrywać różne oblicza miasta – od surowych, postindustrialnych przestrzeni dawnych terenów stoczniowych po szerokie plaże, idealne na spacer i chwilę wytchnienia. To także świetny moment, by poznać Gdańsk od kulinarnej strony – od lokalnych smaków po ich nowoczesne interpretacje.

Pobierz darmowy e-book

na visitgdansk.com
i zaplanuj jesienny city break
w Gdańsku





DO ZOBACZENIA w Gdańsku!

REKLAMA

Nadzieja dla złaknionych

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

**„Bonus” po łacinie to „dobry”.
Chociaż na co dzień to słowo oznacza coś dodatkowego: premię, korzyść, nagrodę.
Wbrew jego etymologii, bo przecież dobro nie powinno być nagrodą za coś.
Powinno być celem samym w sobie.**

Gdyby czynienie dobra było proste, zapewne nie zwracalibyśmy na nie uwagi. Przechodzilibyśmy obok, traktując je uprzejmie, nie zastanawiając się zbytnio nad jego naturą. Dobro zwraca uwagę, staje się wyraźne, gdy dookoła zapada mrok. Właśnie teraz, w czasach wojen, społecznego niepokoju, polaryzacji i załamywania międzyludzkich więzi, najbardziej go łakniemy. Potrzebujemy osób, które przypominają nam, że wspólnie możemy zmieniać rzeczywistość, nawet gdy się między sobą różnimy. Że nie jesteśmy skazani na izolację i bierność. Że nadzieję można znaleźć w aktywności i działaniu na rzecz drugiego człowieka.

W drugiej edycji Nagrody BONUS w „Tygodniku Powszechnym” nagradzamy osoby, które w przestrzeni publicznej budują wspólnotę, unikając uproszczeń, polaryzacji i sensacji. Wyróżniamy twórców, dziennikarzy, osoby działające społecznie, innowatorów, filantropów i przedsiębiorców. Osoby, których praca nie kończy się na odpowiedzialności za słowo i wykracza daleko ponad zawodowe obowiązki. Takie, które nie boją się innowacyjnych rozwiązań czy poruszania się w gąszczu trudnych tematów, nawet jeśli wymaga to drążenia skały. Doceniamy ich odwagę, empatię, rzetelność i szacunek wobec różnic. Umiejętność prowadzenia dyskusji ponad podziałami, słuchania, zdolność argumentowania i wyrażania wątpliwości.

Ta wartość jest nam w „Tygodniku” szczególnie bliska. Jedna z laureatek ubiegłorocznej Nagrody BONUS, socjolożka i publicystka Karolina Wigura, tak mówiła w pokonkursowym wywiadzie: „Warto, abyśmy byli po prostu ciekawi, dlaczego ludzie myślą i zachowują się tak, jak się zachowują. To jest chyba podstawowe socjologiczne zainteresowanie. Dopiero potem można powiedzieć: »nie zgadzam się«, a czasem nawet: »uważam, że to jest złe«. Ale pierwszym krokiem jest zawsze zrozumienie. Dlatego warto rozmawiać. Szczególnie z tymi, z którymi się nie zgadzamy”.

Wiemy, co znaczy słowo „bonus” i jaką ma łacińską etymologię. Ale też posługujemy się nim na co dzień, mówiąc o czymś dodatkowym: premii, korzyści czy właśnie – nagrodzie. Trochę wbrew powszechnemu użyciu, bo przecież dobro nigdy nie powinno być ledwie dodatkiem czy nagrodą za coś. Powinno być celem samym w sobie. Tegoroczni finaliści zostali nominowani do Nagrody BONUS w pięciu kategoriach: Kultura, Media, Działalność Społeczna, Technologia, Mecenat/Dobroczynność. Niech każda z ich historii, przedstawiona w tym dodatku, będzie dla nas inspiracją i nadzieją, że można inaczej.

Zwycięzców tegorocznej edycji Nagrody BONUS poznamy 7 listopada. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 45/2026
REDAKCJA: Karolina Przewrocka-Aderet | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

ORGANIZATORZY GALI

TYGODNIK POWSZECHNY
Fundacja Tygodnika Powszechnego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
75 NARODOWE CENTRUM KULTURY

Projekt zrealizowano we współpracy z Narodowym Centrum Kultury. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY GALI

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Mazowsze. serce Polski
Kraków
GDAŃSK
ERGO HESTIA
TERLAN

PARTNERZY MEDIALNI GALI

Albatros travel
HERBEWO INTERNATIONAL S.A.
Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
65 TVP 3 KRAKÓW
TVP I info_
Trójka POLSKIE RADIO

Dla twórców, którzy otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw.

MARCEL BALIŃSKI

Za Współgłosy – porywającą, pełną wyobraźni i twórczej energii muzykę, w której głosy osób z niepełnosprawnościami wybrzmiewają w pełni i na równych prawach.



FOT. ALICJA KOZAK

Marcel Baliński Jest pianistą, kompozytorem i animatorem kultury. Założył w 2021 r. w Łodzi zespół Współgłosy dla swojej siostry Adeli, osoby z niepełnosprawnością intelektualną, która marzyła o śpiewaniu. Chór tworzą uczestnicy Warsztatów Terapii Zajęciowej „Frajda". Obok nich występują muzycy jazzowi Rafał Różalski i Bartosz Szablowski oraz aktorzy Magdalena Koleśnik i Bartosz Bielenia. Baliński komponuje dla zespołu utwory łączące piosenkę, jazz, muzykę współczesną i improwizację. Debiutancki album z 2024 r. zdobył rok później Fryderyka w kategorii Album Roku – jazz eksperymentalny / współczesna muzyka improwizowana. 9 września 2026 r. ukazała się płyta „Współgłosy II". Współgłosy to zespół, w którym głos osób z niepełnosprawnościami jest pełnoprawny, donośny i porywający. Jak mówi sam Baliński: „Za sprawą nowych piosenek niepełnosprawność schodzi na drugi plan, a na pierwszy wychodzi muzyka".

KAPITUŁA: Michał Kuźmiński (przewodniczący), Olga Drenda, Paulina Frankiewicz, Monika Ochędowska, Anita Piotrowska, Ziemowit Szczerek

ANJA FRANCZAK

Za „Żabę" – książkę artystyczną, która znajduje sposób, by opowiedzieć o żałobie dzieciom (i nie tylko im), oraz za otwieranie przestrzeni rozmowy o śmierci, którą tak często spychamy na margines.



FOT. SZYMON ROGIŃSKI

Anja Franczak jest prezeską zarządu Fundacji Instytut Dobrej Śmierci, która tworzy przestrzeń do rozmowy i edukacji o umieraniu, śmierci i żałobie. Jest też autorką „Żaby", artystycznej książki o żałobie, adresowanej do dzieci, ale nie tylko do nich. „Żaba" odnajduje sposób, by mówić o stracie z najmłodszymi, czyli z tymi, których głos w rozmowie o śmierci najłatwiej przeoczyć. Mamy za sobą doświadczenie pandemii, a tuż za naszą granicą toczy się wojna – dzieci spotykają się w swoich klasach, sąsiedztwie i mediach z rówieśnikami i ich rodzinami doświadczającymi żałoby. W takich czasach ta praca jest nie do przecenienia.

ELWIRA NIEWIERA

Za nagradzane filmy dokumentalne i za niestrudzoną, prowadzoną od początku wojny pomoc dla Ukrainy, do której potrafi przekonać ludzi dobrej woli z wielu krajów.



FOT. LESZEK ZYCH

Elwira Niewiera, dokumentalistka mieszkająca od lat w Berlinie, jest współtwórczynią (wraz z Piotrem Rosołowskim) filmów „Efekt domina" (2014), „Książę i dybuk" (2017) i „Syndrom Hamleta" (2022), nagradzanych w kraju i na świecie. Jej najnowszy dokument pt. „Kobiety i wojna" właśnie dostał się do konkursu festiwalu filmów dokumentalnych IDFA w Amsterdamie.
Od początku wojny w Ukrainie prowadzi na imponującą skalę zbiórki na sprzęt dla ukraińskiego wojska, od dronów i stacji zasilania po specjalistyczne wyroby medyczne. Organizuje też warsztaty teatralne dla ukraińskich dzieci. Jeździ do Ukrainy, zabiera głos publicznie i angażuje w pomoc ludzi z różnych krajów, a przy tym wciąż tworzy ważne filmy. Wyróżniamy ją za twórczość i działalność, które otwierają przestrzeń dla doświadczeń ludzi dotkniętych wojną.

JURIJ ZAWADSKI

Za budowanie mostów między polską i ukraińską kulturą – jako wydawca, tłumacz, animator i autor piszący po polsku – oraz za to, że wszędzie, gdzie się pojawia, kultura zaczyna żyć spotkaniami.



ARCHIWUM PRYWATNE

Jurij Zawadski, ukraiński poeta, tłumacz, wydawca i animator kultury, od lat łączy polskie i ukraińskie życie literackie. Założył niezależne wydawnictwo Krok, które przybliża ukraińskim czytelnikom polską literaturę, także taką, o której często nie wiedzą polscy czytelnicy. Tłumaczy polską poezję na ukraiński i współredaguje portal Posestry. W 2026 r. jego napisany po polsku tom „Jak poczuć się samotnym w zatłoczonym pociągu" (Ha!art) znalazł się wśród dwudziestu książek nominowanych do Nagrody Literackiej Nike. Łączy ludzi i inicjatywy, często poza oficjalnymi instytucjami. Dziś częściej mówi się o tym, co nas dzieli. Zawadski pokazuje, że polsko-ukraiński dialog można budować codziennie, z ciekawością i otwartością – i że nawet Syzyfowi może się udać.

Nominacje: MEDIA

Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Za pokazywanie z pasją i konsekwencją różnym odbiorcom ważnych i nieoczywistych spraw politycznych i cywilizacyjnych współczesnego świata.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / / AGENCJA WYBORCZA.PL / MATERIAŁY PRASOWE

Agnieszka Lichnerowicz od lat prowadzi programy o sprawach międzynarodowych na antenie radia TOK FM, obecnie pracuje w Programie III Polskiego Radia, gdzie prowadzi audycje „Mapa myśli", „Audycja międzynarodowa", „Klub Trójki" oraz „Centrum świata". W 2012 r. została laureatką Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Była także nominowana do nagrody Grand Press. W 2026 r. otrzymała Odznakę Solidarności i Praw Człowieka ECS. Jest autorką książki „Idzie wojna" – w której rozmawia z ekspertami o możliwym nadchodzącym konflikcie i o tym, jak się przygotować na konflikt. Wraz z posłem Pawłem Kowalem jest współautorką książki „Spokojnie już nie będzie". Agnieszka Lichnerowicz jako reporterka relacjonowała różne konflikty, w tym przebieg wojny w Ukrainie.

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Za kierowanie „Więzią" i za to, że jest w wielu środowiskach autorytetem, pomagającym zrozumieć złożone problemy społeczne i religijne.

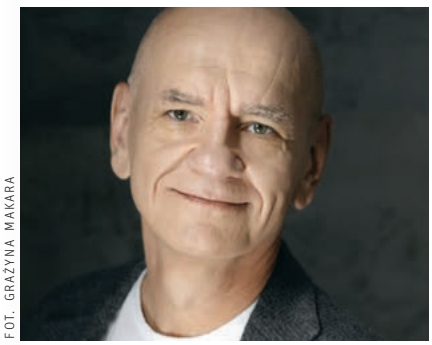


FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ

Od 1989 r. redaktor „Więzi", od 2001 r. – redaktor naczelny. Dyrektor programowy Laboratorium „Więzi". Jest autorem wielu książek, w tym „Parami do nieba. Małżeńska droga świętości", „Szare a piękne. Rekolekcje o codzienności", „Polski rachunek sumienia z Jana Pawła II", „Krytyczna wierność. Jakiego katolicyzmu Polacy potrzebują". Jest też autorem i współautorem programów telewizyjnych, m.in. cykli „Boskie i cesarskie" oraz „Dzieci Soboru zadają pytania". Zbigniew Nosowski był świeckim audytorem Synodu Biskupów w Watykanie oraz konsultorem Papieskiej Rady ds. Świeckich. Przez szereg lat związany z Polską Radą Chrześcijan i Żydów. Zaangażowany w upamiętnienie Żydów otwockich i karczewskich. Przez kilka lat był członkiem zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Zaangażowany w działalność Inicjatywy „Zranieni w Kościele". Zbigniew Nosowski jest doktorem honoris causa Uniwersytetu Szczecińskiego.

DARIUSZ ROSIAK

Za stworzenie popularnego podkastu „Raport o stanie świata", który dla tysięcy Polek i Polaków jest jednym z głównych źródeł wiedzy o sprawach międzynarodowych.



FOT. GRAŻYNA MAKARA

Dariusz Rosiak – dziennikarz radiowy, reportażysta, autor podkastu, artykułów prasowych oraz książek. Był dziennikarzem Radio France Internationale (RFI) w Paryżu oraz w Sekcji Polskiej BBC w Londynie. Przez wiele lat związany z „Życiem Warszawy", „Newsweek Polska" oraz „Rzeczpospolitą". Jest autorem „Tygodnika Powszechnego". Współtwórca i prowadzący audycji „Raport o stanie świata" w Programie III Polskiego Radia. Program w formie podkastu jest kontynuowany od 2020 r. Dariusz Rosiak jest autorem książek „Oblicza Wielkiej Brytanii", „Żar. Oddech Afryki", „Człowiek o twardym karku", „Wielka odmowa", „Ziarno i krew", „Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha", „Bauman". Jest laureatem nagrody Dziennikarz Roku 2020, Nagrody im. Beaty Pawlak oraz Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego.

TOMASZ TERLIKOWSKI

Za zdecydowaną obecność w dyskursie publicznym oraz takie prowadzenie debat, które pozwala rozumieć i poznawać wrażliwość różnych stron dyskusji.



ARCHIWUM PRYWATNE

Tomasz Terlikowski – filozof, dziennikarz, publicysta, pisarz i tłumacz. Jest doktorem nauk humanistycznych na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Współpracował m.in. z „Rzeczpospolitą" oraz „Newsweekiem". Był redaktorem naczelnym kwartalnika „Fronda". Przez kilka lat związany z Telewizją Republika. Prowadził także programy w Telewizji Polskiej. Obecnie prowadzi programy w radiu RMF FM oraz w telewizji TVN24. Jest autorem książek, w tym „To ja, Judasz. Biografia apostoła", „Szaweł. Historia prawdziwa", „Jasna Góra. Duchowa stolica Polski. Biografia", „Ludowa historia polskiego katolicyzmu".

KAPITUŁA: Jacek Stawiski (przewodniczący), Marcin Giełzak, Brygida Grysiak, Karolina Wigura

Nominacje: DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA

Dla osób, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic.

MAGDALENA BIGAJ

Za działalność na rzecz higieny, kultury i edukacji cyfrowej – za wspieranie rodziców, wychowawców i dzieci, na równi zagubionych w wirtualnym świecie.



FOT. PATMIC

Magdalena Bigaj jest działaczką społeczną, edukatorką higieny cyfrowej. Założycielka i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, autorka książek „Wychowanie przy ekranie" oraz „Twój telefon, twoje zasady", w których bez moralizowania, z naukową rzetelnością, analizuje wpływ technologii na rozwój dzieci, młodzieży i relacje rodzinne. Jest inicjatorką i współautorką pionierskich Ogólnopolskich badań higieny cyfrowej oraz narzędzia badawczego Skala Zachowań Higieny Cyfrowej. Inicjatorka raportu „Internet dzieci". Przypomina, że higiena cyfrowa to nie walka z technologią (choć nie unika konfrontacji z przedstawicielami Big Techów), lecz troska o zdrowie psychiczne, poczucie bezpieczeństwa oraz budowanie dojrzałych relacji międzyludzkich poza ekranem.

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ

Za obronę praw, godności i bezpieczeństwa najmłodszych – również w wymiarze państwowym – i ze świadomością, że ochrona dzieci zaczyna się od ich wysłuchania.



ARCHIWUM PRYWATNE

Konrad Ciesiołkiewicz jest działaczem społecznym, politologiem, psychologiem i wiceprzewodniczącym Państwowej Komisji ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich. Od ponad dwóch dekad angażuje się w budowanie społeczeństwa obywatelskiego, rozwój edukacji cyfrowej oraz ochronę praw dzieci i młodzieży (jest m.in. współautorem książki „Dojrzewanie w sieci"). W pracy społecznej i państwowej systemowo dba o to, by głos najmłodszych był traktowany podmiotowo i słyszany w debacie publicznej. Pokazuje, że bezpieczeństwo dzieci wymaga nie tylko sprawnych procedur prawnych i państwowych, lecz przede wszystkim kultury uważności, budowania zaufania oraz wychowywania opartego na szacunku i godności.

ANJA FRANCZAK

Za przywrócenie przestrzeni publicznej jednego z najbardziej wypartych tematów naszych czasów, za mądre towarzyszenie odchodzącym i pogrążonym w żałobie.



FOT. SZYMON ROGIŃSKI

Anja Franczak jest założycielką i prezeską Instytutu Dobrej Śmierci, edukatorką, autorką książek oraz pionierką towarzyszenia w odchodzeniu i żałobie w Polsce. Jako autorka artystycznej książki „Żaba" znajduje język, by o stracie i śmierci rozmawiać także z najmłodszymi. Tworząc interdyscyplinarny Kolektyw Instytutu Dobrej Śmierci, przełamuje społeczne tabu wokół umierania. Szkoli personel medyczny i humanistycznych celebrantów pogrzebowych, wspiera bliskich w procesie pożegnania.

MARINA HULIA

Za „Dzieci z Dworca Brześć" i wieloletnią pracę na rzecz wykluczonych społecznie, zmieniającą dotychczasowe miejsca marginalizacji w przestrzenie godności.



FOT. JACEK TARAN

Marina Hulia to pedagożka, pisarka i aktywistka społeczna o białorusko-ukraińskich korzeniach, od trzech dekad działa na rzecz osób wykluczonych. Zasłynęła stworzeniem nieformalnej szkoły demokratycznej na Dworcu w Brześciu dla dzieci czeczeńskich uchodźców oraz licznymi akcjami wspierającymi osoby w kryzysie bezdomności, więźniów, seniorów i uchodźców. Pracuje tam, gdzie państwowe systemy zawodzą. Udowadnia, że empatia to nie jednorazowy gest dobroczynności, lecz codzienna decyzja o budowaniu wspólnoty i przywracaniu godności drugiemu człowiekowi.

KAPITUŁA: Michał Okoński (przewodniczący), Bogdan de Barbaro, Aleksander Kardyś, Ryszard Koziołek, Joanna Kuciel-Frydryszak, Marcin Napiórkowski

Nominacje: TECHNOLOGIA

Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające.

ANDRZEJ BYSZEWSKI, CYBERSPRAWNI CYBERMOCNI

Za otwieranie drzwi, które wydawały się zabarykadowane na zawsze; za pokazanie, że dzięki technologii osoby z niepełnosprawnościami mogą w pełni korzystać ze swoich możliwości.



ARCHIWUM PRYWATNE

Nowe technologie powinny być czymś więcej niż gadżetami. Andrzej Byszewski, który porusza się na wózku, stworzył inicjatywę CyberSprawni CyberMocni oraz Sieć Asystencji Nowych Technologii. Powstające w ich ramach rozwiązania mają dawać osobom z niepełnosprawnościami możliwość pełnego wykorzystania ich potencjału. Służą temu zarówno urządzenia, takie jak cyberbiurko, jak i narzędzia oparte na sztucznej inteligencji, szkolenia oraz audyty dostępności stron internetowych. W 2026 r. powstało Konsorcjum CyberSprawni CyberMocni, którego celem jest upowszechnianie dostępności cyfrowej i architektonicznej, wdrażanie nowoczesnych technologii asystujących oraz przeciwdziałanie wykluczeniu cyfrowemu osób ze szczególnymi potrzebami i seniorów.

SEBASTIAN KONDRACKI, BIELIK

Za stworzenie otwartego modelu językowego, który wzmacnia polską niezależność technologiczną, i pokazanie, ile można osiągnąć dzięki bezinteresownej, oddolnej współpracy.



ARCHIWUM PRYWATNE

Kto będzie kontrolował sztuczną inteligencję, z której korzystają polskie firmy, urzędy i instytucje? Sebastian Kondracki postanowił, że nie musimy być zdani wyłącznie na zagraniczne koncerny. Był pomysłodawcą projektu SpeakLeash (Spichlerz), wokół którego zgromadził społeczność programistów, naukowców i pasjonatów. Zainicjował też stworzenie Bielika, polskiego modelu sztucznej inteligencji wytrenowanego na superkomputerach Cyfronetu AGH. Potrafi on rozumieć i tworzyć teksty po polsku, a przy tym można go bezpłatnie uruchomić na własnym serwerze, bez przekazywania poufnych danych firmom zewnętrznym. Dla banków, szpitali czy administracji ma to ogromne znaczenie. Bielika pobrano już ponad milion razy.

JACEK SIADKOWSKI, TECH TO THE RESCUE

Za stworzenie sieci, która połączyła setki firm z organizacjami pomagającymi ludziom – za umożliwienie najlepszym specjalistom od technologii, by wykorzystali swoje umiejętności do rozwiązywania problemów społecznych.



FOT. RAFAŁ BOM

Co się stanie, gdy najlepsi specjaliści od technologii zaczną wykorzystywać swoje umiejętności do rozwiązywania problemów społecznych? Od tego pytania zaczęła się historia Tech To The Rescue – inicjatywy, którą Jacek Siadkowski współtworzył w 2020 r. i którą dziś kieruje. Początkowo było to dziesięć firm gotowych nieodpłatnie pomagać organizacjom pozarządowym. Z ich współpracy powstały m.in. platforma łącząca uchodźców z osobami oferującymi nocleg, uruchomiona tuż po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, system wczesnego ostrzegania przed klęskami żywiołowymi w zdemolowanej wojną Syrii, programy wspierające afrykańskich rolników i organizacje społeczeństwa obywatelskiego w Polsce, czy pierwsza aplikacja o zdrowiu seksualnym dla młodych Latynosek. Dziś Tech To The Rescue to ruch obejmujący ponad 2,5 tys. organizacji i firm z ponad 80 krajów, które zawarły ponad 1,1 tys. partnerstw *pro bono*. Wartość nieodpłatnie wykonanej pracy przekroczyła 18 mln euro.

JAN SZUSTER, TOTUPOINT

Za wynalazek, dzięki któremu budynki i przestrzeń publiczna zaczynają mówić, pomagając osobom niewidomym poruszać się po tysiącach miejsc w całej Polsce.



ARCHIWUM PRYWATNE

Jan Szuster, inżynier elektronik, jeszcze jako nastolatek dowiedział się, że choruje na barwnikowe zwyrodnienie siatkówki – chorobę prowadzącą do utraty wzroku. Dziś jego wynalazek ułatwia codzienne życie osobom niewidomym i słabowidzącym. TOTUPOINT wykorzystuje niewielkie znaczniki Bluetooth montowane w kluczowych punktach, takich jak wejścia, schody czy przystanki. Gdy zbliża się do nich osoba korzystająca z bezpłatnej aplikacji lub aktywatora na białej lasce, urządzenie emituje sygnał dźwiękowy albo komunikat głosowy. System działa bez dostępu do internetu i nie wymaga rejestrowania użytkowników. W całej Polsce zamontowano już ponad 6,5 tys. znaczników w ponad 2,1 tys. obiektów, m.in. na uczelniach, w urzędach, na Lotnisku Chopina i we wszystkich oddziałach Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (PFRON). Dzięki nim osoby niewidome mogą łatwiej poruszać się samodzielnie, bez konieczności proszenia innych o pomoc.

KAPITUŁA: Agata Kaźmierska (przewodnicząca), Katarzyna Bąkowicz, Grzegorz Błażewicz, Grzegorz Brona, Wojciech Brzeziński, Tadeusz Gadacz, Dariusz Jemielniak, Artur Kurasiński, Przemysław Kuśmierek, Dariusz Mazurkiewicz

Nominacje: MECENAT/ DOBROCZYNNOŚĆ

Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagradzamy tych, którzy poprzez swoją hojność czynią dobro – mądrze i długofalowo wspierają inicjatywy kulturalne, naukowe i pomocowe.

IGOR CZERNECKI

Za łączenie refleksji naukowej z systemową i dalekowzroczną filantropią, dzięki której edukacja, demokracja i społeczeństwo obywatelskie w Polsce oraz Europie Środkowo-Wschodniej zyskują trwałe wsparcie.



ARCHIWUM PRYWATNE

Igor Czernecki jest historykiem idei, badaczem zajmującym się filozofią polityczną i filozofią edukacji oraz adiunktem na Wydziale „Artes Liberales" Uniwersytetu Warszawskiego. Od 2009 r. nieprzerwanie kieruje Edukacyjną Fundacją im. Romana Czerneckiego (EFC), na której kapitał założycielski jego ojciec, przedsiębiorca Andrzej Czernecki, przeznaczył większość swojego majątku. Pod przewodnictwem Igora Czerneckiego EFC stała się jedną z najważniejszych instytucji filantropijnych w Polsce, wyrównującą szanse edukacyjne młodzieży z małych miejscowości i wspierającą innowacje w edukacji. Czernecki jest również współtwórcą Philanthropy for Impact – pionierskiego programu i sieci filantropów z naszego regionu Europy. W swojej pracy udowadnia, że filantropia nie jest jednorazowym gestem, lecz strategiczną inwestycją w kapitał społeczny, demokrację i sprawcze społeczeństwo obywatelskie.

JOANNA, PAWEŁ I MICHAŁ GŁADYSZOWIE

Za wieloletnie, rodzinne zaangażowanie w ochronę pamięci o ofiarach Auschwitz-Birkenau oraz bezcenny wkład w zachowanie prawdy historycznej i autentyzmu miejsca dla przyszłych pokoleń.

Joanna, Paweł i Michał Gładyszowie od lat tworzą wyjątkowy w polskim krajobrazie filantropijnym przykład międzypokoleniowego, rodzinnego mecenatu. Znajdują się

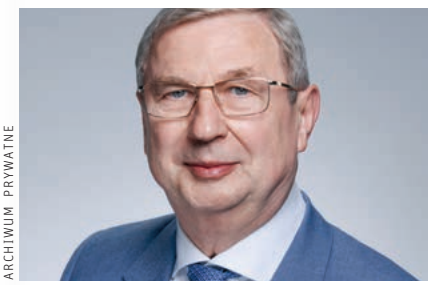


ARCHIWUM PRYWATNE

w ścisłym gronie darczyńców prywatnych wspierających Kapitał Wieczysty Fundacji Auschwitz-Birkenau – instytucji powołanej do dbania o zachowanie autentycznych pozostałości byłego niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady. Troszcząc się o bezpieczeństwo substancji materialnej Miejsca Pamięci oraz cześć dla ofiar, pokazują, jak prywatne zasoby i rodzinne wartości mogą tworzyć trwałą tarczę chroniącą prawdę historyczną oraz fundamenty etyczne współczesnego świata przed zapomnieniem.

WOJCIECH PAWŁOWSKI

Za budowanie polskiej gospodarki z klasą, odpowiedzialnością i wyobraźnią – w którym sukces rynkowy konsekwentnie idzie w parze z zaangażowaniem w rozwój społeczeństwa obywatelskiego oraz z wieloletnim, hojnym wspieraniem polskiej kultury.



ARCHIWUM PRYWATNE

Wojciech Pawłowski przez wiele lat pełnił funkcję prezesa i współwłaściciela Huty Szkła „Warta" w Sierakowie, a następnie stał na czele Warta Glass Group (obecnie w strukturach międzynarodowej grupy BA Glass). Jako lider biznesu był współzałożycielem Polskiej Izby Opakowań i wieloletnim przewodniczącym jej Rady, a także od lat aktywnie uczestniczy w pracach Polskiej Rady Biznesu oraz Business Centre Club. W swojej wieloletniej działalności konsekwentnie łączy dojrzałe, etyczne przywództwo gospodarcze z mądrym mecenatem. Przeznacza prywatny kapitał oraz wiedzę menedżerską na długofalowe wsparcie inicjatyw kulturalnych, edukacyjnych i obywatelskich. Pokazuje przy tym, że wybitny sukces rynkowy zyskuje pełną wartość dopiero wtedy, gdy służy budowaniu dobra wspólnego i wzmacnianiu tkanki społecznej.

EWA VOELKEL-KROKOWICZ

Za nowatorskie i pełne pasji łączenie biznesu, kultury i projektowania oraz budowanie przestrzeni, w których kreatywność i filantropia stają się siłą



ARCHIWUM PRYWATNE

społecznej zmiany.

Ewa Voelkel-Krokowicz to poznańska przedsiębiorczyni i przedstawicielka drugiego pokolenia rodziny Voelkelów, która od ponad ćwierćwiecza konsekwentnie wyznacza nowe standardy łączenia biznesu z mecenatem sztuki i edukacji. Od 2013 r. zasiada w radzie rodzinnej Fundacji Voelkel (dawniej VOX Artis), wspierając sztukę współczesną, projekty społeczne oraz rozwój przestrzeni miejskich. Prowadzi Concordia Design w Poznaniu i Wrocławiu – centra kreatywności, designu i biznesu, stanowiące unikalną platformę spotkania dla przedsiębiorców, artystów i projektantów. Jest także współzałożycielką Future For Poland - inicjatywy liderów biznesu młodszego pokolenia finansujących długofalowe, systemowe projekty rozwojowe w Polsce. Jej działalność udowadnia, że nowoczesny mecenat potrafi łączyć estetykę z odpowiedzialnością społeczną, czyniąc z kultury i innowacyjnego myślenia dźwignię dla pozytywnych przeobrażeń cywilizacyjnych.

KAPITUŁA: Jacek Ślusarczyk (przewodniczący), Andrzej Betlej, Piotr Cywiński, Dobrosława Gogłoza, Aleksandra Kamińska

REKLAMA



Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

Kraków narodowej sztuce, czyli tryumf miernoty

SPEKTAKL AGATY DUDY-GRACZ

teatrwkrakowie.pl

PREMIERA: 23 PAŹDZIERNIKA 2026 | DUŻA SCENA
NAJBLIŻSZE SPEKTAKLE: 25, 26, 27 LISTOPADA 2026,
27, 28, 29, 30 STYCZNIA 2027

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
KULTURALNA MAŁOPOLSKA
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PARTNERZY TEATRU
BMW M-Cars Group
Bielenda
PATRONI MEDIALNI TEATRU
onet KULTURA
Radio Kraków
65 TVP3 KRAKÓW
TEATR DLA WSZYSTKICH
PARTNER PREMIERY
TRIBE
SASKI



PLEMIONA SIĘGAJĄ PO MIECZ

Długo wyczekiwanych wyborów w Izraelu nie uratowały nawet dziesiątki tysięcy Izraelczyków, którzy przylecieli z zagranicy, by zagłosować. Netanjahu jak był, tak zostaje. Niespodzianek nie ma. Poza jedną.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Ich wynik zaskoczył wszystkich, nawet samych wyborców: w wyborach do Knesetu z 27 października arabskie partie – czyli Zjednoczona Lista i Ra'am – zdobyły 19 mandatów, co jest dla nich historycznym sukcesem. Rekordowa okazała się też 80-procentowa frekwencja w tej grupie wyborców, najwyższa w historii Izraela.

Izraelscy Arabowie – czyli palestyńscy obywatele Izraela, stanowiący 20 proc. ludności tego kraju – pokazali swoją siłę i potencjał. A przede wszystkim swój sprzeciw. Bo to, jak traktowani byli w ostatnich latach przez nacjonalistyczny rząd Beniamina Netanjahu, nie mogło ujść płazem.

WYBORY JAK ŚWIĘTO | Gilad Mulyan jest księgowym. A po godzinach – aktywistą organizacji Standing Together, łączącej Żydów i Palestyńczyków w działaniach na rzecz pokoju i koegzystencji.



BAZ RATNER / AP PHOTO / EAST NEWS

Gdyby lider opozycji Gadi Eisenkot zdecydował się na współpracę z arabskimi posłami do Knesetu, mógłby odsunąć Netanjahu od władzy.
Na zdjęciu: Eisenkot w wyborczy wieczór, 27 października 2026 r.

Na co dzień mieszka z rodziną w Krakowie (w rozmowie naciska, by podkreślić, że jest tutaj szczęśliwy), a firmę, którą ma w Izraelu, prowadzi online. Jednak teraz, na czas wyborów, poleciał do rodzinnej Hajfy – nie tylko po to, aby dopilnować interesów, ale przede wszystkim aby móc zagłosować (izraelska ordynacja nie przewiduje możliwości oddania głosu poza krajem, np. w ambasadach).

Gilad Mulyan dołączył do akcji przekonywania do udziału w wyborach, którą Standing Together zorganizowała w miejscowościach arabskich i beduińskich. – Zobaczyli Żyda mówiącego w ich języku, co jest dość rzadkie, i od razu się otwierali. Ściskałem im ręce, mówiłem: jestem z Hajfy, proszę, idźcie głosować, razem nasz głos jest silniejszy – wspomina.

– To, co w dniu wyborów zobaczyłem w Rahat, Lakii, Hurze i Kusejfie, po prostu mnie zachwyciło. Atmosfera na ulicach była niesamowita, radosna, ludzie zachęcali się nawzajem do głosowania. To było święto demokracji po czterech niezwykle trudnych latach dla tej społeczności – mówi Mulyan „Tygodnikowi".

GORSI OBYWATELE | Po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. izraelscy Arabowie doświadczyli nieufności od żydowskiej większości. Cierpieli za sprawą politycznych oszczerstw, szerzonych głównie przez polityków izraelskiej skrajnej prawicy.

To wszystko pomimo tego, że w grupie zabitych i porwanych do Gazy przez Hamas byli też izraelscy Arabowie, w tym Beduini, którzy pracowali w zaatakowanych kibucach. To część społeczeństwa izraelskiego szczególnie pokrzywdzona po 7 października 2023 r.: byli wśród ofiar, tracili członków rodzin w bombardowanej Gazie, doznawali skutków wojny w Izraelu, a przez jego rząd byli traktowani jak kozioł ofiarny.

Ale społeczność arabska była marginalizowana także przed 7 października 2023 r. Partie prawicowe przez ostatnie dekady prowadziły politykę pozostawiającą ją w poczuciu frustracji i braku wpływu na rzeczywistość. Choć przecież na co dzień społeczność arabska funkcjonuje równolegle z żydowską, zasilając istotne branże: izraelscy Palestyńczycy pracują w szpitalach, aptekach, budownictwie, gastronomii.

ODRUCH ODDOLNY | Ich sytuację pogorszyła polityka rządu, w tym działania Itamara Ben-Gwira, ministra bezpieczeństwa narodowego. Problemem stał się też gwałtowny wzrost przestępczości w arabskich miejscowościach. Szukając jego przyczyn, organizacje pozarządowe wskazywały na wieloletnie zaniedbania państwa w zapewnianiu bezpieczeństwa ich mieszkańcom.

– Złość z powodu tej sytuacji sprawiła, że wiele organizacji obywatelskich i oddolnych inicjatyw wewnątrz arabskiej społeczności w Izraelu zmobilizowało ludzi do udziału w wyborach – mówi mi Gilad Mulyan.

Opowiada on o szczególnej roli kobiecych organizacji w Rahat oraz innych dużych skupiskach Beduinów na Negewie. Zauważa, że przed wyborami organizowały się, by zachęcać do głosowania, i robiły to bardzo oddolnie – rozmawiając w domach ze swoimi dziećmi, kuzynami, sąsiadami.

– To kobiety wzięły sprawy w swoje ręce, nie mężczyźni. Społeczność beduińska jest oczywiście bardzo konserwatywna, ale to w niczym nie przeszkadzało. Ustalono, że kobiety pójdą głosować rano, a mężczyźni po południu lub wieczorem, wyznaczono też osobne strefy do głosowania dla kobiet i dla mężczyzn. Wszystko po to, aby ludzie się pojawili. I tak się stało – mówi Mulyan.

DWA PLEMIONA | Dr Assaf Shapira, politolog z jerozolimskiego Israel Democracy Institute, w rozmowie z „Tygodnikiem" przyznaje, że dobry wynik arabskich partii to ważny sygnał dla całego izraelskiego społeczeństwa.

– Arabowie chcą uczestniczyć w życiu społecznym, w procesie demokratycznym, a nawet w rządzie. To, czy ta gotowość zostanie zaakceptowana przez społeczeństwo żydowskie, zależy już od niego samego. Oraz od tego, czy będzie gotowe przyjąć nurty i idee, które w programach partii arabskich wydają mu się problematyczne – mówi Shapira.

Te wybory pokazały również dobitnie, jak głęboko podzielone jest społeczeństwo izraelskie. Dwa główne „plemiona" tak radykalnie się od siebie różnią, że czasem trudno uwierzyć, iż odnoszą się do tej samej rzeczywistości.

Z jednej strony mamy tzw. „bibistów", obóz Netanjahu (w wyborach uzyskał 53 mandaty w Knesecie, liczącym 120 miejsc). To blok zdominowany przez ugrupowania prawicowe, narodowo-konserwatywne i religijne. Część z nich żąda zmiany izraelskiego systemu sądownictwa i dalszej rozbudowy osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu, który nie należy do państwa Izrael.

Z drugiej strony jest obóz przeciwników „Bibiego". Jego liderem w tych wyborach był Gadi Eisenkot, emerytowany generał i były szef sztabu armii. Blok ten, obejmujący liberałów, centrowców, część prawicy i lewicę, dostał 48 mandatów. ↦

↦ Środowiska te łączy przede wszystkim sprzeciw wobec dalszych rządów Netanjahu, ale niekoniecznie wspólna wizja państwa. Samo pragnienie odsunięcia „Bibiego" od władzy to może być za mało, by stworzyć trwały rząd.

KRYZYS ORTODOKSÓW | Assaf Shapira zwraca uwagę na jeszcze jedną istotną okoliczność, która ujawniła się, jego zdaniem, przy okazji tych wyborów.

– Partie ultraortodoksyjne, a właściwie cała społeczność ultraortodoksyjna oraz jej przywódcy polityczni, znajdują się w głębokim kryzysie. Uzyskały one mniej mandatów, niż oczekiwano, mimo że mowa o grupie społecznej, która, jak wiadomo, demograficznie stale rośnie – ocenia politolog.

Skąd taki wynik? – Wyborcy ortodoksyjni okazali brak zaufania wobec swoich przywódców politycznych, a być może nawet także wobec tych religijnych – mówi Shapira.

Sytuację tę można, jego zdaniem, interpretować na dwa sposoby: – Brak zaufania wśród ortodoksów wobec ich elit politycznych i religijnych może wynikać z przekonania, iż nie walczyły one wystarczająco skutecznie o utrzymanie zwolnienia ultraortodoksów ze służby wojskowej. Ja jednak skłaniam się ku innej interpretacji: być może sama społeczność ultraortodoksyjna jest dziś bardziej otwarta na integrację ze społeczeństwem izraelskim, w tym także na podjęcie służby wojskowej. Tak czy inaczej nie ma jednak wątpliwości, że mamy tam do czynienia z kryzysem.

PODMIENIONE SERCA | Niewiarygodne, że po ataku Hamasu z 7 października 2023 r., który okazał się także wielką klęską dla izraelskiego rządu, wojska i wywiadu – gdyż nie zdołano zapobiec największej masakrze Żydów od czasów powstania państwa – Netanjahu wciąż utrzymuje się u władzy, dostaje teraz szansę na dalsze rządzenie, a jego partia, Likud, mimo utraty części poparcia, znów zdobywa najwięcej głosów z wszystkich startujących partii (26 z 53 mandatów, jakie uzyskał blok Netanjahu, przypada na Likud).

Co to mówi o izraelskich wyborcach? Że wielu z nich gotowych jest, dla względnego poczucia bezpieczeństwa, zaufać człowiekowi, który ma na koncie afery korupcyjne i fiasko 7 października 2023 r. Oraz że akceptują oni jakiś szczególny rodzaj ślepoty na rzeczywistość, także w szerszym kontekście krwawej wojny, którą Netanjahu prowadził z Hamasem na terenie Gazy, niszcząc ją i zabijając dziesiątki tysięcy cywilów.

> Izraelscy Arabowie, stanowiący jedną piątą ludności kraju, pokazali w tych wyborach swoją siłę. **Zaskoczyli tym wszystkich.**

Dla tych Izraelczyków nie jest nawet istotne, że kluczowe problemy, które „Bibi" obiecywał rozwiązać, wciąż pozostają nierozwiązane: Hamas nadal istnieje, Iran wciąż zagraża Izraelowi, podobnie jak libański Hezbollah. Nierozwiązany pozostaje też wewnętrzny fundamentalny konflikt między ultraortodoksyjnymi Żydami (*haredim*) a resztą społeczeństwa.

Nie posunę się chyba zbyt daleko, pisząc, że Netanjahu – wespół z Hamasem, który swoim atakiem z 7 października 2023 r. kompletnie pogrzebał w Izraelczykach zaufanie do Palestyńczyków – podmienił ludziom serca. To premier sprawił, że społeczeństwo podzieliło się na zwalczające się „plemiona", ze skłonnością do wrogości wewnątrz i na zewnątrz kraju.

POWYBORCZE WARIANTY | Wybory z 27 października, zamiast rozwiązać kryzys polityczny, tylko go zatem pogłębiły. To, komu uda się uformować większość rządową (potrzeba do niej 61 mandatów) i jaki będzie kształt Izraela, nie jest dziś jasne. Nietrudno jednak przewidzieć zażarty konflikt między poszczególnymi grupami społecznymi.

Assaf Shapira: – Najbardziej prawdopodobny scenariusz widzę taki, że nie uda się sformować rządu, co doprowadzi do kolejnych wyborów, tak jak miało to miejsce dwukrotnie w 2019 r. Oczywiście Netanjahu wraz z blokiem prawicowym może próbować utworzyć nowy rząd, dysponując 53 mandatami.

Jest też scenariusz rządu jedności narodowej. Shapira: – Gdyby taka sytuacja miała miejsce 10-20 lat temu, taki rząd powstałby bez trudu, ale dziś podziały są zbyt wielkie. Bo kto miałby zostać premierem, a jeśli w grę wchodziłaby rotacja, kto objąłby urząd jako pierwszy? Czy Eisenkot wszedłby do rządu pod przywództwem Netanjahu? Trudno w to uwierzyć. A czy Netanjahu zgodziłby się zasiąść w rządzie kierowanym przez Eisenkota? W to już naprawdę nie sposób uwierzyć.

Jest też jeszcze inny wariant, zdaniem Shapiry mało prawdopodobny – to rząd pod przywództwem Eisenkota z udziałem partii ultraortodoksyjnych lub z ich wsparciem z zewnątrz.

KOALICJA Z ARABAMI? | Co więc pozostaje? Shapira: – Rząd mniejszościowy pod wodzą Eisenkota, wspierany, z zewnątrz lub od wewnątrz, przez posłów arabskich.

Blok demokratyczny miałby szansę na osiągnięcie większości, gdyby zgodził się na współpracę z partiami arabskimi. Bez wątpienia izraelscy Arabowie – wyborcy i politycy – pokazali, że są na to gotowi, choć na swoich warunkach.

W każdym razie piłka jest teraz po stronie Eisenkota i jego bloku. Taka decyzja wymagałaby sporej odwagi, bo postulaty części polityków arabskich – krytykujące definicję Izraela jako „narodowego państwa żydowskiego" (stosowną ustawę Kneset przyjął w 2018 r.) i wzywające do utworzenia państwa palestyńskiego – nie są łatwe do przełknięcia. A politycy Likudu zwiększają tu presję na Eisenkota, rozpowszechniając dziś pogłoski, jakoby arabscy wyborcy otrzymali pieniądze z Kataru w celu zmiany władzy.

Na ten moment stworzenie koalicji z partiami arabskimi przez blok Eisenkota wydaje się więc mało prawdopodobne. Pytanie też, czy niechęć do Netanjahu to wystarczający fundament dla takiej koalicji.

NIEZATAPIALNY? | A co z samym Beniaminem Netanjahu? Ma już 77 lat i jeśli zostanie znów wybrany na premiera – lub jeśli będzie rządzić nadal komisarycznie w sytuacji, gdy nie uda się wyłonić nowej większości i nowego rządu – będzie jedną z najstarszych osób na tym stanowisku w historii Izraela.

Był on też najmłodszym premierem, gdy obejmował stanowisko 30 lat temu. Najdłużej sprawuje swój urząd – w sumie to już 19 lat. Biorąc pod uwagę ostatnie lata jego urzędowania, powierzenie mu – być może po raz ostatni – rządów w tym kraju może być niebezpieczne, a jego dziedzictwo będzie ciągnęło się przez pokolenia.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



AFP / EAST NEWS

Prezydent Korei Południowej Lee Jae Myung i premier Japonii Sanae Takaichi grają na perkusji szlagiery z koreańskich seriali. „Nawet jeśli nasz timing nieco się różnił, to mieliśmy intencję, by znaleźć ten sam rytm" – powiedział potem Lee. Przełomowe spotkanie miało miejsce w Nara, rodzinnej miejscowości pani Takaichi. 13 stycznia 2026 r.

Warsztaty z pojednania

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

AZJA POŁUDNIOWO-WSCHODNIA | Historia XX wieku dzieliła je długo i fundamentalnie. Dziś Japonia i Korea Południowa znajdują jednak wspólny język. Co się stało?

Nie ma w Japonii miejsca bardziej kontrowersyjnego niż szintoistyczna świątynia Yasukuni, położona w sercu Tokio. Czci się tu miliony Japończyków, którzy od XIX w. polegli za ojczyznę. Złą sławę miejsce to zawdzięcza czternastu politykom i wojskowym z czasów II wojny światowej, których po 1945 r. międzynarodowy Trybunał Tokijski uznał za tzw. zbrodniarzy kategorii A (sprawców zbrodni przeciw pokojowi).

W 1978 r. ówczesny przełożony świątyni, mnich Nagayoshi Matsudaira, włączył ich dusze do grona ofiar. Odtąd nikt z rodziny cesarskiej nie odwiedził Yasukuni. Z elity politycznej zachodzą tu głównie politycy z konserwatywnego skrzydła rządzącej Partii Liberalno-Demokratycznej.

Absencja premier Takaichi

Co roku świątynia celebruje różne wydarzenia, a najważniejszy jest 15 sierpnia: Dzień Pamięci o Końcu Wojny. Zjawiają się wtedy tłumy. Wzrok przykuwają czarne uniformy skrajnej prawicy i starsi mężczyźni w mundurach armii cesarskiej. Co roku media spekulują też, który polityk odwiedzi tego dnia Yasukuni. Przez lata pewniakiem była Sanae Takaichi. Ostatnio zjawiła się latem 2025 r. Wkrótce potem wybrano ją premierem, jako pierwszą kobietę w dziejach Japonii. Zdawało się więc naturalne, że zjawi się również w tym roku – choćby po to, by pokazać stałość przekonań. Jednak 15 sierpnia 2026 r. pani premier nie zjawiła się w Yasukuni.

Teoretycznie można by to tłumaczyć presją zagranicy. W przeszłości na tyle silną, że ostatnim urzędującym premierem, którego tu widziano, był Shinzō Abe w 2013 r. (Pekin i Seul wtedy protestowały, a USA były „rozczarowane"). Ale dziś w Białym Domu jest Trump, który lubi Takaichi i nie przywiązuje wagi do gestów na drugim końcu świata. Zarazem relacje Tokio–Pekin są już tak chłodne – zwłaszcza po tym, jak Takaichi wyraziła możliwość wsparcia Tajwanu w razie ataku Chin – że jej wizyta w Yasukuni nie mogła tu wiele zmienić.

Wychodzi na to, że pani premier wzięła wzgląd na reakcję Seulu. To coś, co wcześniej zdziwiłoby pewnie ją samą. ↦



ISSEI KATO / REUTERS / FORUM

Koreańczycy uwielbiają japońskie komiksy i anime, a Japończycy zapełniają stadiony na koncertach koreańskiego popu. Na zdjęciu: fani boysbandu BTS, najlepiej sprzedającego się zespołu muzycznego w historii Korei Południowej, przed koncertem w Tokio, 17 kwietnia 2026 r.

Lee Jae Myung łagodzi ton

↦ Dzień 15 sierpnia to także święto w Korei Południowej, gdzie koniec II wojny światowej w Azji upamiętnia się jako wyzwolenie z japońskiego kolonializmu.

Okres ten (1910-1945) do dziś rzuca cień na wzajemne relacje. Wielu Koreańczyków uważa, że Tokio nie chce okazać szczerej skruchy za eksploatację i japonizację ich kraju. Obolałą kwestią są „pocieszycielki": kobiety zmuszane, jak twierdzi Seul, do świadczenia usług seksualnych dla armii cesarskiej. Dziś żyje ich garstka. W tym roku, 15 sierpnia, 98-letnia Par Pil-geun wezwała rząd Japonii do wypłacenia reparacji i oficjalnych przeprosin.

Dzień wyzwolenia byłby więc okazją dla urzędującego prezydenta Korei Południowej, by przypomnieć tę bolesną historię. Zależnie od aktualnego stanu relacji, jego wystąpienie mogłoby być bardziej lub mniej antyjapońskie. Istotne byłoby też, którą formację prezydent reprezentuje: koreańska lewica jest zwyczajowo bardziej niechętna Japonii, a spolegliwość prawicowych rywali wobec Tokio tłumaczy m.in. współpracą ich przodków z kolonizatorem.

Emblematyczną figurą jest tu Park Chung Hee, dyktator z lat 1961-1979 i architekt cudu gospodarczego Korei Południowej (a wcześniej, jako młody człowiek, oficer japońskiej armii). Jego córka, Park Geun-hye, kilkanaście lat temu była głową państwa. Tym bardziej godne jest uwagi, że obecny prezydent Lee Jae Myung – lewicowiec, z długą listą wypowiedzi wrogich Japonii – zaprezentował dziś ton pojednawczy, relacje z Tokio uznając za „ważniejsze niż kiedykolwiek". Nie znaczy to, że jego wystąpienie 15 sierpnia było wolne od historycznych akcentów. Tyle że kierował je do rywali wewnętrznych, np. zapowiedział wznowienie prac komisji, która ma konfiskować majątki uzyskane drogą kolaboracji z Japończykami.

Kolaboracja w rodzinie

Ta ostatnia zapowiedź trafiła na podatny grunt wobec skandalu, który chwilę wcześniej ogarnął Koreę Południową.

Zaczęło się niewinnie: 7 sierpnia znana aktorka Ahn Ha-young oznajmiła dziennikarzowi, nie bez dumy, że wywodzi się z czteropokoleniowej rodziny lekarskiej, a nestor rodu, pradziadek Ahn Sang-ho, po studiach w Japonii otworzył pierwszą na terenie Korei klinikę zachodniej medycyny, gdzie leczył się także koreański cesarz Gojong.

Kilka dni później koreański internet rozgrzała wieść, że Ahn Sang-ho kolaborował z Japończykami. Wkrótce potem aktorka przyznała się do ignorancji i „jako potomkini" poprosiła o wybaczenie. Mimo to korporacje wstrzymały reklamy z jej udziałem.

Tymczasem zwykli Koreańczycy, zaintrygowani, nagle zainteresowali się swoją genealogią. Internetowa wyszukiwarka, która pozwala namierzyć kolaborantów, wykazała pięćdziesięciokrotny wzrost użytkowników (*sic!*).

Emocje wokół Ahn Ha-young wynikać mogły tyleż ze wstydliwej historii jej rodu, ile z zazdrości wobec ślicznej dziewczyny, która odziedziczyła uprzywilejowaną pozycję społeczną. Jednak skandal odsłonił też wstydliwą przeszłość, o której wielu Koreańczyków woli nie pamiętać: podważony został czarno-biały wizerunek uciemiężonego, ale dzielnego narodu, gdzie tylko garstka sprzedawczyków miałaby pójść na współpracę z kolonizatorem.

Nieoczywista historia okupacji

Najobszerniejszą jak dotąd, niejako oficjalną listę kolaborantów zawiera trzytomowa publikacja z 4389 nazwiskami, przygotowana przez stosowny instytut badawczy. Pradziadka pani Ahn na niej nie ma, choć był postacią prominentną i ewidentnie sprzyjał Japonii. Widnieje on choćby w składzie komitetu pogrzebo-

wego Hirobumi Ito, japońskiego gubernatora Korei, który zginął w 1909 r. w zamachu (jego sprawca, 30-letni Ahn Jung-geun, zaliczany jest dziś do panteonu bohaterów narodowych). Kolonialna gazeta „Maeil" stawiała pradziadka aktorki za wzór asymilacji, twierdząc, że w domu mówi tylko po japońsku. Widocznie jednak dla autorów publikacji ten poziom kolaboracji nie spełniał kryteriów osoby „aktywnej, spójnej i powtarzalnej w działaniu", by włączyć go do tej listy.

W istocie Koreańczyków, którzy tak jak Ahn szli na jakiś rodzaj współpracy z Japonią, było znacznie więcej. Wstępowali do policji, wojska, administracji kolonialnej. Niejedna miejscowa fortuna wyrosła na takich kontaktach. Wielu z tych ludzi było rozdartych: przywiązani do swej tradycji, uznawali jednak słabość swojego kraju i potęgę kolonizatora.

Japończycy mieli tu wyższy status, potrafili być brutalni. Ale mogli też imponować nowoczesnością, którą aplikowali na Półwyspie Koreańskim w postaci budowanych dróg, kolei czy wielkomiejskiego stylu życia. Poza tym, jak pisał wielki poeta Seo Jeong-ju, również oskarżony o kolaborację: „Nie wiedziałem, że Japonia przegra".

Zarzut zniesławienia oddalono

Tym rozdarciem Koreańczyków i nieoczywistościami lat 1910-1945 zajmuje się profesor Park Yu-ha. Jej najbardziej znana książka „Comfort Women of the Japanese Empire" dotyczy losu „pocieszycielek".

Park Yu-ha, dziś 69-letnia, dowodzi, że proceder rekrutacji był domeną miejscowych „brokerów": mamili oni kobiety pracą w fabrykach i hotelach, a w istocie trafiały do domów publicznych. Wspomina o sprzedaży córek przez ojców. Twierdzi też, że niektóre dziewczęta robiły to z własnej woli. Takie ujęcie, negujące zero-jedynkową narrację, autorka przypłaciła wieloletnią batalią sądową; zarzuty zniesławienia finalnie oddalono.

Jakkolwiek by oceniać okres kolonizacji i krzywd doznanych przez Koreańczyków, trudno zestawiać to z losem Żydów czy Polaków w czasie II wojny światowej. Tymczasem od takich porównań (np. „pocieszycielek" z Holokaustem) nie stroni koreańska debata. Po sieci krąży wypowiedź znanego japońskiego germanisty Nishio Kanjiego z lat 90. XX w., który polemizował z taką wykładnią. „Celem Niemców było wybicie polskich elit, a z reszty społeczeństwa uczynienie niejako niewolników, którym wystarczy umiejętność liczenia do 500. (...) Tymczasem najważniejsza uczelnia Korei, uniwersytet Keijo [ówczesna nazwa Seulu – red.], został założony przez Japonię" – mówił Kanji.

I dalej: „Koreańczycy byli nierówno traktowani, ale twierdzenie, że późniejszy rozwój ich kraju pozostaje zupełnie bez związku z okresem kolonizacji, jest nieprawdą".

Zmarłego niedawno naukowca kojarzono z japońską prawicą i może być posądzany o stronniczość. Kto wie jednak, czy większą tragedię lat 1910-1945 stanowią nie wyrządzone wtedy krzywdy, lecz pokłosie tego okresu w wolnej już Korei: pęknięte społeczeństwo i skażona debata publiczna.

Kwestia zadośćuczynienia

Nie podważa to zupełnie ani arogancji, ani postkolonialnej mentalności Japończyków wobec Korei, wyzbycie się czego zajęło im sporo czasu. Dość powiedzieć, że gdy przedstawiciele obu krajów spotkali się w latach 50. XX w., by na nowo ułożyć relacje, strona japońska wysunęła... żądanie odszkodowań za zmodernizowanie Korei i zostawiony tam majątek.

Wzburzenie Koreańczyków było wtedy tak wielkie, że grając niedługo później eliminacje do mundialu, woleli spotykać się z Japonią dwa razy na wyjeździe, byle tylko stopa wroga nie dotykała więcej ich ziemi.

Tym bardziej warto odnotować, że Japończycy, na mocy traktatu z 1965 r., wypłacili jednak swoim sąsiadom przyzwoite pieniądze, o łącznej sumie bliskiej dwukrotności budżetu Korei Południowej; znacząco wsparło to rozwój kraju.

Traktat ten zamyka również kwestie reparacji („całkowicie i ostatecznie") – zapis, na który Japonia wciąż się powołuje. Jeśli później wypłacano Koreańczykom jakieś pieniądze, choćby dla „pocieszycielek", z półprywatnych funduszy, to tylko jako akt dobrej woli. Tarcia na tym tle trwają do dziś. Seul twierdzi bowiem, że o niewolnictwie seksualnym świat dowiedział się później i że traktat z 1965 r. pomijał kwestie indywidualnych odszkodowań, także za pracę przymusową. Niektórzy Koreańczycy twierdzą nawet, że został on zawarty wbrew woli społeczeństwa w czasach dyktatury Parka.

Wzajemne okładanie

Faktem jest, że otwarta debata historyczna między Seulem a Tokio stała się możliwa dopiero z końcem lat 80. XX w., po demokratyzacji Korei Południowej.

Do głosu doszli wtedy dawni opozycjoniści i krytycy kolaboracji. Bolesna przeszłość, spór terytorialny o wysepki (przez Koreę zwane Dokdo, a przez Japonię – Takeshima) czy tokijska świątynia regularnie rozpalały emocje. Gdy Jun'ichirō Koizumi, premier z lat 2001-2006, pojechał z wizytą do Seulu, przywitał go protest, podczas którego 20 Koreańczyków uciętło sobie po małym palcu (Koizumi był znany z tego, że co roku odwiedzał Yasukuni).

W 2015 r. zdawało się, że przynajmniej kwestia „pocieszycielek" została uregulowana, i to „definitywnie oraz nieodwracalnie". To słowa z umowy zawartej podczas rządów premiera Shinzō Abe i pani prezydent Park Geun-hye. Japończycy zobowiązali się wtedy do wypłaty poszkodowanym kobietom blisko 9 mln dolarów.

Tymczasem dokument ten uruchomił kaskadę zdarzeń, po której z chwilowego ocieplenia nie było co zbierać. Południowokoreańska lewica, przejmując wkrótce potem władzę, odrzuciła te uzgodnienia. Nowy prezydent Moon Jae-in stwierdził, że raniły one uczucia ofiar, których nikt nie pytał o zdanie. Ponadto sąd w Seulu zarządził wypłatę odszkodowań przez japońskie firmy za pracę przymusową, grożąc konfiskatą ich majątku na terenie Korei. Japonia protestowała, cytując traktat z 1965 r.

Później zaś okładano się wzajemnie sankcjami, a Koreańczycy zaczęli nawet bojkotować japońskie produkty. Około roku 2020 relacje Seul–Tokio znalazły się w czarnej dziurze. Nie było widać dla nich ratunku, mimo prób godzenia stron przez USA.

2022-2026: czas przełomu

Zmiana, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nastąpiła dwa lata później, gdy w Seulu prezydentem został Yoon Suk Yeol z prawicy, a premierem Japonii był umiarkowany Fumio Kishida. Obaj zainaugurowali serię kontaktów, zresztą ↦

↦ zakrapianych suto alkoholem. Ten karnawał zawisł na włosku pod koniec 2024 r., gdy Yoon zaszokował świat, wprowadzając stan wyjątkowy. Przypłacił to utratą stanowiska i więzieniem, a pierwotny wniosek o jego impeachment obejmował też zarzut „projapońskiej dyplomacji". Do przejęcia władzy po nim szykował się już wrogi Japonii lewicowiec Lee Jae Myung, w Tokio zaś premierem miała zostać Takaichi – bardziej konserwatywna niż Abe czy Koizumi, której nieobcy był wcześniej historyczny rewizjonizm.

Kroiła się katastrofa. Tymczasem zaszło coś niezwykłego. Jesienią 2025 r., tuż po swej inauguracji, Takaichi stwierdziła, że jest fanką koreańskich seriali i kosmetyków, a Seul to „kluczowy partner". Z kolei Lee, lecąc z pierwszą wizytą zagraniczną do USA, zatrzymał się w Tokio, czego żaden jego poprzednik wcześniej nie zrobił. Dziennikarzom przyznał wtedy, że zdarzało mu się krytykować sąsiada, ale zgłębiając jego historię i kulturę, dostrzega dziś u Japończyków przede wszystkim skromność, troskę o dobro wspólne i pracowitość.

Na początku 2026 r. oboje spotkali się znów – tym razem w Nara, rodzinnej miejscowości pani Takaichi. Świat obiegły zdjęcia, jak grają na perkusji szlagiery z koreańskich seriali. „Nawet jeśli nasz timing nieco się różnił, to mieliśmy intencję, by znaleźć ten sam rytm" – napisał Lee na platformie X.

Szacunek, K-pop i zagrożenie

Co kryje ta chęć współbrzmienia, która trwa między nimi do dziś? Zbiegło się tu kilka czynników.

Pierwszy to boom koreańskiej gospodarki w ostatnich dekadach, czemu towarzyszyła japońska stagnacja. Wcześniej, do końca XX w., przepaść materialna między oboma krajami była gigantyczna. Umacniało to kompleksy Koreańczyków wobec Japonii, która z kolei traktowała Koreę nie jak partnera, lecz naprzemiennie z obojętnością, wyższością lub współczuciem. Dziś koreańskie zarobki są górą, a produkty rozrywkowe, seriale i muzyka, podbijają globalne rynki na skalę nieosiągalną dla Japończyków. Może ich to drażnić, lecz budzi też szacunek, bez którego trudno o realne pojednanie.

Rzecz druga to obopólna fascynacja popkulturą, zwłaszcza u młodych. Koreańczycy uwielbiają japońskie komiksy i anime; co roku 10 milionów z nich odwiedza turystycznie Japonię. Japończycy zaś, podobnie do swojej premier, śledzą koreańskie seriale i zapełniają stadiony na koncertach K-popu. Wzajemna sympatia społeczna przekracza dziś 50 procent, co jest wynikiem rekordowym. W takiej atmosferze trudniej politykom rozniecać animozje.

Jest jeszcze jedna okoliczność: ktoś trzeci, kto zagraża im obu. Dopóki USA gwarantowały na sto procent bezpieczeństwo regionu, łatwiej było w polityce grać historią. Trump nie daje takiej gwarancji. To zaś uświadamia dwóm drącym dotąd koty sąsiadom, że lepiej trzymać się razem. Także z obawy przed Chinami i Koreą Północną.

Dwa klaśnięcia i ukłon

Za wcześnie, aby rozstrzygać, czy to zbliżenie jest wstępem do trwałego pojednania. W obu krajach są środowiska temu niechętne, a politycy muszą brać na nie wzgląd, zwłaszcza przed wyborami, gdy pokusa reaktywacji dawnych zatargów jest silniejsza. Na razie jednak obie strony z tego rezygnują, co czasem wymaga stąpania po cienkiej linii.

Przykładem znowu 15 sierpnia. W Tokio oficjalną sceną państwowych uroczystości była tego dnia hala widowiskowa Nippon Budōkan. Pani premier, przed wejściem do środka, zatrzymała się i obróciła w kierunku Yasukuni, leżącej kilkaset metrów dalej. Jak doniosły skrupulatnie media, wykonała pełny, trwający minutę, rytuał Yōhai, czyli oddania czci z dystansu: dwa ukłony, dwa klaśnięcia, jeden ukłon.

Dla skrajnej prawicy mógł być to przejaw tchórzostwa. Dla innych dyplomatyczny pragmatyzm. Ale jej zachowanie można odczytać także jako akt dobrej woli. Oraz troskę o relacje z krajem, który jest dziś partnerem naprawdę kluczowym.

© PIOTR BERNARDYN

POŻEGNANIE

14 października 2026 r.
zmarł opatrzony Świętymi Sakramentami

prof. dr hab.
Krzysztof Głombiowski

absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego,
uczeń profesora Jerzego Łanowskiego,
związany potem z Wydziałem Historycznym
i Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu Gdańskiego,
kierownik Zakładu Hellenistyki UG,
znawca języka, literatury i kultury starożytnej Grecji,
który pierwszy w Polsce dostrzegł wartości artystyczne
i głęboko humanistyczne w prozie Ksenofonta z Aten.

Pochowany został na Cmentarzu Katolickim w Sopocie
obok Rodziców i Żony Bożeny.

Requiescat in pace.
W bolesnym smutku, ale z wiarą i nadzieją

SIOSTRA, DZIECI I WNUK

ELIZA

Kącka: *Ruch ruszył*



Wieczorny powrót ze Stawek, żmudny – czekamy długo na tramwaj. Ktoś wzywa taksówkę, inny konsultuje z czekającymi: „Ja nietutejszy. Jaki wziąć autobus na dworzec?". Gość w jesionce: „Panie, tramwaj lepszy...". „Pewnie tak, ale nie jedzie". „Nie moja wina". „A czy mówię, że pańska?". Jesionkowy do naszej grupy koczującej: „Widzicie? W moim mieście mnie będzie atakował!". Nietutejszy: „Atakował? Co pan!". Jesionkowy znów do nas: „I jeszcze dyskutuje". „Ja chcę tylko wiedzieć, jak dojechać na dworzec!". „Pan nie stąd". „W tym rzecz". „To co się ludziom wtryniać? Niech pan wsiada i da nam spokojnie czekać". „W co mam wsiadać, człowieku?!". Jesionkowy do nas: „Rzuca się i myśli, że doradzimy". Do Jesionkowego: „Niech pan już stąd jedzie". „Chętnie! Jakim autobusem?". Włączam się: „157 pan może, ale z przesiadką...". Jesionkowy strofująco: „Ohoho, ktoś nie wytrzymał". Do pozostałych: „Ta pani też na dworzec". Ja: „Akuratnie nie". Jesionkowy złowrogo: „To tylko kwestia czasu".
Stoimy jeszcze chwilę. Nietutejszy skruszał i bezradnie łypie na boki. A tu wyłania się tramwaj i na ekranie zapowiedź: „1 minuta". Jesionkowy z dumą: „Patrzcie państwo, jakie szybkie miasto. Ani się człowiek obejrzy...". „...a już się znalazł na dworcu" – Nietutejszy kapitulacyjnie. Wsiadamy. Staję przy siedzeniu starszej. A ta w komórkę na cały wagon: „Wnuniu, wnuniu, ruch ruszył! Pal gaz". Pauza. „Pal gaz, bo mnie kluski wystygły". Pauza. „Jak to nie chcesz? Ciepłe, ale zimne, bo tramwaj nie przyjechał". Pauza. „Jak to zamówiłeś? Co zamówiłeś?!". Dłuższa pauza. Starsza matowo w komórkę: „Wnuniu, tramwaj jednak nie przyjechał. Dziadek dziś zje kluski". Wysiadła, przeszła na przystanek w powrotną. Nim ruszyliśmy, widziałam, że płacze.

Tramwaj 14, siedzę tuż przy ojcu z córką w wieku podstawówkowym wczesnym. Mała wyciąga kartkę: „Patrz, nie wygrałam, przez dziadów. Miałam punkt mniej niż Kuba". Ojciec: „Jak to?". „Nooo, dyktando. Napisałam »odprawić dziadów«, a pani dała minusa". „No tak. Mówi się »odprawić dziady«. Dziady to obrzęd". „Jak msza?". „Nie do końca". Mała patrzy w kartkę: „Czyli miałam źle?". „Tak". „A kto to jest dziad?". Ojciec myśli: „No, to jest taki, wiesz, brudas, stary. Z brodą i kijem". „Mój dziadek ma brodę". „Dziadek nie jest dziadem!". „Bo jest czysty?". „Mamy środki, dziadek myje się, je". „A dziady nie jedzą?". „Nie, trzeba im dać jedzonko. O tym pisze Mickiewicz". „On też był dziadem?". „Pewnie tak". „To dlaczego on ma nazwisko?". „?". „W mojej szkole ma tablicę". „Bo był wieszczem". „Ale mówisz, że to dziad". „Wiesz, kiedyś pewno sobie pisarze nie radzili...". „Może go nikt nie karmił. Trza było karmić!". „Pewnie tak". „Bo on by nie musiał dziadzić, jakby go kto karmił". „Racja". Mała na frustracji: „Ja bym mu oddawała wasze śniadania".

Skwer, ranek, galopuję z torbą na tramwaj. Mijam ławkę, gdzie o różnej porze stacjonuje gość pod pięćdziesiątkę z puszką piwa, czasem kanapką. Nadużyty, ale niesklosz-działy. W porze obiadowej miewa towarzystwo apatycznej dwójki: równolatka i starszej z psem. Pies staruszek z przodozgryzem i uszami gremlina przystawia się z trudem do miski. „Bobuś, tobie też polejemy, co będziesz o suchym siedział". Bobuś, słabiutki, próbuje chłeptać, przycinając zębami język. Odchodzi, zwija się w kłębek – i znów po kilku minutach przystawia się w asyście podrwiwań i chichotów z ławki. Nieraz załapałam się na ten teatr z jednym scenariuszem. Rankami Ławkowy miewa samotną odsiadkę. Śledzi smętnie, jak biegniemy z plecakiem, siatą z zakupami. Milczy. Równam truchtem z ławką, słyszę: „Ja tam nie jestem taki nerwowy". Następnego dnia wracam z torbą. Siedzi, sączy. Uśmiecham się, głównie do siebie. Mijam ławkę. I: „Było tak gonić, i tak się wróci na skwerek". Zerkam przez ramię, patrzy w niebo.

Autobus 180, przede mną babcia z wnuczkiem. „Babciaaa, a dlaczego my mówimy »zaduszki«?". „Bo modlimy się za duszki". „Czyli tylko za małe dzieci? Jak Antosia?". „Nienie, twoja mama dała na wypominki za całą naszą rodzinę". „Czyli nasze trupki?". „Jak ty możesz!". „No ale żeby dusza poszła sama, musi być najpierw trup". „Dusza opuszcza ciało i idzie do Boga". „Ale babcia, jak są duszki, muszą być trupki". „Kto cię zrodził, to ja nie wiem". „A te duszki z zamku Lego? Tosia tak wygląda?". „Zwariuję". „A dziadek?". „Ludzie nas słuchają, nie kompromituj mnie". Chwila ciszy. „Babcia, a dlaczego to się nazywa »wypominki«?". „Bo się nazywa". „Ale ty masz żal do dziadka? Bo ja do Tosi nie mam, że nie pożyła". „Co znowu?". „No, bo mama płaci, żeby ksiądz mógł im wypomnieć". „Wspomnieć, wspomnieć! Modlimy się, żeby poszli do Boga". „Ale mówiłaś, że poszli". „Bo poszli, ale musimy im pomóc!". Pauza. Mały: „To Bóg ich straszy?". Cichy jęk babci.

Dzwoni staruszka od ciśnienia: „Pani Elizo, gdzie się pani poniewiera?". „Hehe, dusza pokutująca, tu i tam". „Nie znoszę listopada, proszę mi z grobem nie wjeżdżać. Serio pytam". „W trasie". „Objazd cmentarny też będzie". „Nieco". „Wiem, ma pani świeże mogiły, że się tak wyrażę. Ale proszę mi obiecać, że się pani nie da zaaresztować na długo". „Proszę bardzo". „Wie pani, żeby nie było: mam szacunek, ale znam pułapki". „?". „Miałam rodzeństwo. Gdy zmarli na ciężkie zapalenie płuc – tak mi mówiono – miałam pięć lat. Matka zapadła na ciężką obsesję mogilną. Codziennie chodziły z babką na cmentarz. Nie mogłam zbyt szybko biegać, za głośno się śmiać. Obrażałam śmierć. Dlatego nie chcę wizyt na moim grobie, ot co". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

OPINIE

WSZYSTKIE LĘKI TEGO ŚWIATA

Obecna fala młodzieżowych protestów nie będzie powtórką z maja ’68. Demonstranci z pokolenia Z nie wychodzą na ulicę, żeby walczyć o lepsze jutro, bo nie wierzą, że nadejdzie.

MATEUSZ MAZZINI



W samej tylko Europie pojawiły się w Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, Albanii i w Grecji. Od miesięcy, choć z przerwami wymuszonymi brutalnymi represjami ze strony rządu, toczą się w Indiach. W ubiegłym roku przykuły uwagę obaleniem władz w Nepalu, zmianą ustroju na Madagaskarze, starciami z policją w Paragwaju.

Postronni odbiorcy informacji mogliby łatwo stwierdzić zatem, że oto pokolenie Z, wielokrotnie deprecjonowane przez komentatorów określeniami w typie „płatków śniegu”, przechodzi właśnie swój polityczny chrzest ognia. Mieli być skupieni na sobie, odcięci od realnego świata przez cyfrowe uzależnienia i przede wszystkim zbyt lękliwi, żeby skonfrontować się z coraz trudniejszą rzeczywistością. Tymczasem bez problemu wchodzą w konflikt z policją, rzucają koktajlami Mołotowa, wygłaszają przemowy na wiecach.

Taki zestaw obrazków podsuwa skojarzenia z młodzieżowymi rebeliami: roku 1968, kiedy pierwsze powojenne pokolenie chciało wyswobodzić się z ciasnego kaftana norm moralnych i hierarchicznego społeczeństwa, oraz roku 1989, kiedy młodzi w Europie Wschodniej i Ameryce Łacińskiej pokazywali w praktyce, co dla nich oznacza wolność jednostki. Łatwo więc o konkluzję, że prawie sześć dekad po tym, jak uwiecznieni przez Bertolucciego w „Marzycielach”, zakochani w filmach Nowej Fali młodzi Francuzi domagali się wolnej miłości, rozpolitykowane nastolatki znowu same chcą kształtować swoją przyszłość.

Tyle że taka konkluzja byłaby błędna.

Iluzja maja

Ze strukturalnego punktu widzenia wspomniane wyżej protesty więcej dzieli, niż łączy. Mają miejsce w skrajnie różnych kontekstach politycznych i ekonomicznych, nawet wewnątrz Europy motywują je inne problemy. Trudne, choć nie niemożliwe, jest też generalizowanie na poziomie pokoleniowym – przy dzisiejszych nierównościach materialnych, postępie technologicznym i atomizacji społeczeństwa ciężko w ogóle posługiwać się taką kategorią jak pokolenie, bo doświadczeń unifikujących światopogląd konkretnych grup wiekowych jest coraz mniej.

Krótko mówiąc, świat i życie przeżywamy już osobno, a bardziej niż wiek łączą nas warunki bytowe. Choćby z tego powodu nie można mówić o kolejnym maju ’68 – który był przecież zrywem studenckim, czyli pokoleniowym właśnie.

Jeśli doszukiwać się wspólnego mianownika wydarzeń z Limoges, Paryża, Aten, Lizbony, Asunción i Antananarywy, prędzej można by go znaleźć na płaszczyźnie filozofii politycznej, która wyjaśni, w jaki sposób młodzi patrzą dziś na świat. Przytłoczeni mnogością kryzysów egzystencjalnych, obciążeni nadmiarem bodźców technologicznych, dojrzewający w świecie bez wspólnot, z wymierającymi kanałami mobilności społecznej, demonstranci z pokolenia Z nie wychodzą na ulicę, żeby walczyć o lepsze ju-



LIONEL BONAVENTURE / AFP / EAST NEWS

Rozproszony gaz podczas demonstracji uczniów szkół średnich w Tuluzie. Francja, 13 października 2026 r.

tro. Niespecjalnie mają w ogóle nadzieję na coś takiego. Bardziej motywuje ich desperacja – bo wielu z nich czuje, że tego jutra może w ogóle nie być.

Razem, choć osobno

Nie ma wątpliwości, że perspektywy życiowe młodych w Europie i Azji Południowo-Wschodniej są zupełnie inne – tak samo jak problemy, z którymi się zmagają. Wyczerpujący się model szerokiego i hojnego państwa może być przyczyną zamieszek we Francji, ale nie jest na pewno powodem mobilizacji na Bałkanach – bo tam takiego państwa po prostu nie ma.

Nawet pomiędzy Madrytem a Lizboną, gdzie pokolenie Z wyszło na ulice, różnice są znaczące, pomimo teoretycznie wspólnego postulatu, jakim jest dostępność tanich mieszkań. W Portugalii obok młodych protestowali też milenialsi, których nie stać na pokrycie czynszu. Oni akurat doskonale wiedzą, czemu tak jest – powodem są cyfrowi nomadzi, którzy masowo sprowadzili się w ostatnich latach do stolicy, windując ceny nieruchomości.

Lizbona jest wymieniana w większości rankingów przychylności dla zagranicznych startupów jako idealna lokalizacja. Co więcej, taką migrację ułatwia rząd Portugalii, oferując specjalny format wizowy dla cyfrowych migrantów. Wystarczy nie być notowanym, mieć prywatne ubezpieczenie, nawet krótki kontrakt freelancerski i wynagrodzenie na poziomie co najmniej 3480 euro miesięcznie, by dostać prawo pobytu. Zdecydowana większość pracowników sektora technologicznego nie ma żadnych problemów ze spełnieniem tych kryteriów.

Jeśli dodać do tego tzw. airbnbizację rynku nieruchomości, czyli przeznaczanie lokali na najem krótkoterminowy, wskutek czego nie da się ich wynająć na dłużej, widać gołym okiem, że adresatem gniewu jest rząd. Ale nie dlatego, że jest ↦

↦ niewydajny, tylko z powodu złych regulacji prawnych.

Bez perspektyw

Z kolei w Hiszpanii młodzi protestują głównie w dużych miastach, w których mieszkań zwyczajnie się nie buduje, a te istniejące są przejmowane przez fundusze inwestycyjne i korporacje. W Madrycie trwa namiotowa okupacja centralnego Placu Puerta del Sol, ale transparenty tam rozwieszone nie są manifestem pokoleniowym, tylko klasowym. Demonstranci mieszają hasła o mieszkaniach będących prawem, a nie towarem, z poparciem dla Palestyny, wyższymi podatkami dla bogatych i prawami mniejszości seksualnych. Ich nemezis jest lewicowy premier Pedro Sánchez, który po prostu nie spełnił obietnic.

Jak przypomniał niedawno portal Politico, po utworzeniu rządu w 2023 r. Sánchez obiecał budowę 144 tys. tanich mieszkań komunalnych. W pierwszym roku projektu powstało ich zaledwie 14 tys., a potem rząd przestał w ogóle publikować statystyki – prawdopodobnie dlatego, że nie było się czym chwalić. Tu więc znowu chodzi o stosunek do władzy, ale takiej, która kłamie. Jeśli już szukać paraleli, to młodzież lizbońska ma więcej wspólnego z tą w Atenach, gdzie też miały miejsce protesty i gdzie rynek mieszkaniowy jest tak samo zdominowany przez zagranicznych najemców tymczasowych.

Walka o szkołę

Francuskie nastolatki na tym tle wyróżniają się jako najlepiej zorganizowane i prawdopodobnie też najbardziej przywiązane do swojego wieku. Ich żale dotyczą bowiem tej jedynej pewnie płaszczyzny, która wciąż dotyczy ich wszystkich z racji tego, ile mają lat – czyli szkoły właśnie.

A mają na co narzekać. Przeludnione sale lekcyjne, gdzie średnia liczba uczniów to 29, o 3 więcej niż w krajach OECD. Braki w kadrze pedagogicznej i wyposażeniu szkół – protestujący opowiadają dziennikarzom, że w klasach brakuje ławek i krzeseł, a w toaletach mydła, papieru toaletowego, czasem nawet wody. Są natomiast szczury, także w szkołach paryskich. Dodając do tego więcej godzin lekcyjnych w krótszym o dwa tygodnie od średniej globalnej roku szkolnym, widać od razu, że nad Sekwaną problemy są naprawdę systemowe.

Mediana wieku osób kupujących pierwszą nieruchomość w USA w 1987 r. wynosiła 27 lat, dzisiaj wzrosła do 40.

Koszty dziennej opieki nad dziećmi są cztery razy wyższe.

W Albanii młodzież domaga się skuteczniejszej walki z korupcją, tak samo jak miało to miejsce rok temu w Nepalu. Protesty na Madagaskarze to w ogóle inny wymiar, bo mówimy o kraju bardzo biednym, w którym według danych Banku Światowego na granicy ubóstwa lub pod nią żyje trzy czwarte populacji. Tam pokolenie Z domagało się... regularnych dostaw prądu i wody. Jeśli więc gdziekolwiek można mówić o niefunkcjonującym państwie, to prędzej tam, a nie w Unii Europejskiej.

Pożywka dla radykałów

Unifikujące, na siłę upraszczające rzeczywistość narracje są nie tylko błędne, ale i niebezpieczne. Jak zauważył na łamach „Guardiana" Alberto Alemanno, włoski prawnik, wykładowca Harvardu i HEC Paris, prosta opowieść o bliskich implozji europejskich państwach to doskonałe paliwo dla wrogów tutejszego porządku.

Jeśli pokaże się światu, że Europa stoi w płomieniach, bo nic tu nie działa, stworzy się żyzne podglebie dla skrajnej prawicy, domagającej się silniejszego aparatu przymusu i o wszystko obwiniającej imigrantów. Ten wątek podłapał zresztą Trump, próbując wmówić Amerykanom, że jeśli Demokraci wygrają wybory połówkowe, ich kraj czeka ten sam los. Z drugiej strony czyha skrajna lewica, mniej lub bardziej dosłownie wzywająca do rewolucji i sugerująca bojkot zobowiązań finansowych państwa.

Zwłaszcza ta ostatnia jest wspierana w internecie przez reżimy autorytarne. Badanie komentarzy o francuskich wydarzeniach na największych platformach, przeprowadzone przez grupę Alliance4Europe, pokazało wpływ dziesiątek tysięcy botów podających dalej fałszywe informacje o protestach i podgrzewających narracje antysemickie. Boty te były generowane przez irańskich hakerów, rozprowadzane przez Rosjan, a kolektywy związane z amerykańskim ruchem MAGA monetyzowały wywołany przez nie ruch.

Lęk i stres

Choć konkluzje wiążące protesty pokolenia Z w spójną całość są błędne albo przynajmniej przedwczesne, nad kondycją współczesnej młodzieży trzeba się pochylić – i tu akurat widać sporo zbiorów wspólnych. Bo właśnie podskórne lęki i wizje przyszłości są do siebie niepokojąco podobne.

Po pierwsze, młodzi są znacznie bardziej od starszych pokoleń świadomi egzystencjalnych zagrożeń dla całej ludzkości. Po części to funkcja czasów, w których żyją – milenialsi czy boomersi w swojej nastoletniości nie musieli się martwić sztuczną inteligencją, która w scenariuszu umiarkowanym zabierze im pracę, a w drastycznym – po prostu zabije. Podobnie z katastrofą klimatyczną, która jest nie tylko bardziej odczuwalna, ale też lepiej przestudiowana.

To akurat ma olbrzymie przełożenie na dobrostan protestującej młodzieży. Magazyn „The Lancet" w 2021 r. zbadał zdrowie psychiczne osób w wieku 16-25: okazało się, że aż 75 proc. z nich cierpi na „stres klimatyczny" – lęki o przyszłość wywołane pogarszającymi się warunkami środowiskowymi. W krajach tzw. Globalnego Południa, gdzie ekstremalne wydarzenia pogodowe są częstsze niż w Europie, takie badania prowadzi się rzadziej – ale można założyć, że ich wynik byłby podobny.

Od AI do Zet

Nie inaczej jest ze sztuczną inteligencją. Według badań pracowni Gallup aż 30 proc. członków pokolenia Z w USA na myśl o tej technologii odczuwa przede wszystkim złość. Inne badanie, przeprowadzone latem przez Pew Research Centre na 42 tys. respondentów w 36 krajach, pokazało, że tylko 18 proc. osób z tej generacji jest „bardziej podekscytowanych niż zmartwionych" rozwojem AI. W dodatku aż w ośmiu krajach wzrost odsetka młodych „zatroskanych" między


WASZ ŚWIAT NIE JEST NASZ

„Dlaczego młodzi Polacy wierzą w spiski i fejki, a nie wierzą w demokrację? Skąd miłość do Mentzena i Zandberga? Po co im wybory i państwo?” – na te i inne pytania dotyczące pokolenia Z odpowiadaliśmy w nr. 39 „TP” w tekście okładkowym Przemysława Wilczyńskiego.

2024 a 2026 r. był dwucyfrowy. Dotyczy to państw tak różnych jak Japonia, Brazylia, Hiszpania i Polska.

Pokazuje to bezprecedensowe w najnowszych dziejach zjawisko – generacja Z jest pierwszą, która nie patrzy z optymizmem na trwającą w jej czasach rewolucję technologiczną. Boomersi z radością witali nadejście społeczeństwa konsumpcyjnego i pierwszą elektronikę konsumencką. Generacja X kochała internet, a milenialsi dali się porwać obietnicom Marka Zuckerberga, że platformy społecznościowe staną się katalizatorami globalnej zmiany technologicznej.

Tymczasem zetki na całym świecie AI się po prostu boją. Jej koszty energetyczne i środowiskowe dokładają się do i tak szerokiego wachlarza konsekwencji katastrofy klimatycznej. Jej wdrożenie zabiera miejsca pracy niewymagające doświadczenia i eksperckiej wiedzy. A na końcu tej wyliczanki są luminarze z Doliny Krzemowej, którzy zapowiadają, że sztuczna inteligencja może równie dobrze zabrać życie wszystkim na planecie.

Finansowy nihilizm

Dzisiejszej młodzieży ciężko myśleć z optymizmem o przyszłości, bo przyszło jej dojrzewać w czasach, w których kanały awansu społecznego po prostu nie działają. Edukacja i praca najemna nie gwarantują prawie żadnej stabilności, więc młodzi porzucają te obszary, lokując nadzieje na materialne przetrwanie w gospodarce hazardowej, traktując internet jak kasyno.

To nie jest tylko czcze gadanie o kawie na mieście i tostach z awokado. Młodym naprawdę jest coraz trudniej. W 2025 r. „New York Times” przebadał wzrost cen dóbr i usług uznawanych za markery dorosłości – wyniki były szokujące. Mediana wieku osób kupujących pierwszą nieruchomość w USA w 1987 r. wynosiła 27 lat, dzisiaj wzrosła do 40. Koszty dziennej opieki nad dziećmi są cztery razy wyższe, wzrosły również ceny samochodów i czesne za studia. Podwyżki płac nie nadążały za żadną z tych rzeczy.

Większość społeczeństw Europy Zachodniej ma podobne problemy. W rezultacie młodzi nie wierzą już w mantrę o uczeniu się i ciężkiej pracy. Wolą ryzykować na giełdzie, w handlu kryptowalutami, w tzw. dropshippingu – sprowadzaniu tanich produktów, najczęściej z Chin, które potem sprzedają z marżą w internecie. Popularna amerykańska influencerka ekonomiczna Kyla Scanlon określiła to zjawisko mianem „finansowego nihilizmu”.

Dla młodych nie ma bowiem znaczenia, skąd biorą pieniądze – czy jest to handel chińską tandetą, spekulacja na kryptowalutach, czy sprzedawanie własnych nagich zdjęć w sieci. Choć to w oczywisty sposób fałszywa obietnica zysku, upatrują w niej większe szanse na zarobek niż w tradycyjnej pracy etatowej, coraz rzadziej dla nich dostępnej. W rezultacie, zauważa Scanlon na łamach „Wall Street Journal”, młodzi w praktyce wycofują się ze społeczeństwa. Praca to przecież nie tylko pensja na koniec miesiąca, ale też poznawanie nowych ludzi, samorozwój, interakcja i tworzenie społeczności, nie mówiąc już o misji czy wkładzie w budowę lepszego świata dla innych. Nic z tych rzeczy nie jest udziałem coraz większej liczby zetek, pogłębiając atomizację współczesnych społeczeństw.

Hiperpolityka

Rezultatem jest polityczny paradoks, opisany w popularnej zwłaszcza na lewicy książce „Hyperpolitics” belgijskiego filozofa Antona Jägera. Wykładający na Oksfordzie naukowiec diagnozuje bieżącą erę w debacie publicznej właśnie jako czas „hiperpolityki”. Z jednej strony wszystko jest polityczne, od seksu po ubiór, od korzystania z technologii po wakacyjne destynacje i relacje z rodzicami. Z drugiej jednak na nic się to nie przekłada, zwłaszcza w dłuższej perspektywie.

Jäger zauważa bowiem, że rozpolitykowanie nie jest w stanie przynieść trwałej zmiany społecznej bez wsparcia w postaci trwałych, zbiorowych form organizacji życia publicznego i kolektywnego wyrazu poglądów. Bez klubów, organizacji charytatywnych, wspólnot religijnych, związków zawodowych, drużyn harcerskich to, czy frekwencja w wyborach jest wysoka, a liczba demonstracji rośnie, nie będzie mieć znaczenia.

Społeczne nieposłuszeństwo, jakie widzimy na ulicach Paryża czy Aten, wynika z frustracji, ale jest skanalizowane w destrukcji także dlatego, że nie ma instytucji, które mogłyby tę energię przekuć w coś innego.

Na zgliszczach

Jedyną nadzieją na wyjście z tego samonapędzającego się negatywnego cyklu jest stworzenie przez młodych własnych trwałych struktur – co jest trudne bez doświadczenia, a przede wszystkim wymaga olbrzymich pieniędzy.

Trudne nie oznacza jednak niemożliwe, czego dowodem sukces w niedawnych wyborach parlamentarnych serbskiej wspólnej Listy Studenckiej, narodzonej z ponad dwóch lat protestów przeciwko autorytarnym rządom Aleksandara Vučicia. Ich uczestnicy nie zapisali się do istniejących partii, tylko zbudowali własną platformę. Czas pokaże, na ile przyczynią się do trwałej zmiany w swoim kraju.

Z rebelii roku 1968 narodziło się wiele podmiotów, które trwają do dziś – chociażby partie z rodziny Zielonych. Rebelie lat 2025-2026 mogą zostawić po sobie destrukcję i relacje na platformach internetowych, ale niewiele więcej. Nie jest to wina ich uczestników. Nie oni umeblowali świat, w którym apokalipsa jawi się bardziej prawdopodobną niż awans społeczny.

© MATEUSZ MAZZINI

WIARA

GDY KSIĄDZ NIE UDŹWIGNIE

MONIKA BIAŁKOWSKA:

W Kościele w Polsce nie ma żadnego pomysłu systemowego, co robić w sytuacji kryzysu psychicznego księdza. Jak jest chory i nie daje rady – odsuwamy go, bo parafia nie może być zaniedbana.



MIKOŁAJ KAMIEŃSKI / FORUM

EDWARD AUGUSTYN: Ilu księży w Polsce cierpi na depresję?

MONIKA BIAŁKOWSKA: Nie wiemy. Nikt u nas skali tego zjawiska nie badał. Ani depresji, ani szerzej – kryzysów psychicznych czy wypalenia zawodowego.

Co jakiś czas słyszymy o samobójstwach księży. To jest chyba jakiś wskaźnik problemu?

Ale też nie znamy jego skali. Nie ma pełnych danych o liczbie samobójstw księży, opinia publiczna nie o wszystkich jest informowana, mamy tylko pojedyncze doniesienia.

Tak naprawdę o skali zjawiska, jak również jego przyczynach, mogą nam powiedzieć więcej badania przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych.

Co pokazują?

Że poziom depresji, wypalenia, kryzysów wśród duchowieństwa jest bardzo wysoki. Badania „Depression and Contributors to Vocational Satisfaction in Roman Catholic Secular Clergy" z 2005 r. poświęcone były relacji depresji i satysfakcji zawodowej księży. Według niego wskaźniki depresji wśród księży były aż siedmiokrotnie wyższe niż w populacji ogólnej.

Kilka dni temu ks. Jerzy Szymik, profesor teologii, opublikował na łamach „Gościa Niedzielnego" swój „List do młodego księdza". Padają tam słowa: „Sprzeczności i komplikacji życia nie rozwiąże żadna terapia, żadna nauka, żaden *work-life balance*. Jedynie łaska". Ty swoją książkę o depresji i kryzysach psychicznych księży zatytułowałaś „Bóg sam nie wystarczy". Wątpisz w Bożą łaskę?

Absolutnie nie. Po prostu jestem wierna teologii katolickiej. Św. Tomasz z Akwinu mówił, że łaska buduje się na naturze. Udoskonala ją, ale nie zastępuje. Pan Bóg nie chce zastępować nam medycyny, fizyki, matematyki. To on stworzył ich prawa, żebyśmy mogli je odczytywać i z nich korzystać. Kiedy złamiemy nogę, idziemy do lekarza, a nie modlimy się do Boga, by się zrosła. Leczymy grypę, anginę czy raka. Szukanie pomocy na płaszczyźnie zdrowia psychicznego niczym się nie różni.

Droga krzyżowa ulicami Poznania, luty 2024 r.

To nie znaczy, że wykluczamy Boga. Możemy Go prosić, byśmy mieli siłę i cierpliwość do znoszenia choroby. Modlimy się za ludzi, którzy w tej chorobie nam towarzyszą i pomagają. Więc Bóg absolutnie ma tutaj swoje miejsce. Chodzi tylko o to, byśmy nie próbowali zamadlać każdego problemu. Tylko pytali ludzi, którzy się znają, potrafią postawić diagnozę. Naprawdę wizyta u psychologa to nie jest nic, co zagrozi naszej wierze, nic, co nas oddali od Pana Boga. A może nam bardzo pomóc.

Jakie są główne przyczyny kryzysów psychicznych wśród duchownych?

Wbrew pozorom nie jest to celibat, choć pewnie wiele osób ma taką pierwszą intuicję. Badania prowadzono nie tylko w Kościele katolickim, także w innych Kościołach chrześcijańskich. I okazało się, że księża wyznań protestanckich, którzy mogą się żenić, są tak samo narażeni na kryzysy psychiczne jak katoliccy.

Z badań wynika, że najbardziej obciążającym psychicznie elementem życia księdza jest życie na świeczniku: presja społeczna, że jego życie zawsze będzie wzorcowe, że zawsze będzie umiał odpowiedzieć na pytania i wątpliwości. Do tego dochodzą jeszcze samotność czy złe relacje wewnątrzkościelne, na przykład atmosfera mikroagresji. Zasadniczy wniosek jest taki: stan psychiczny księdza w istotny sposób zależy od relacji i jakości relacji, jakie panują w jego środowisku życia.

Na świeczniku są też politycy, aktorzy, nawet nauczyciele.

Tak. Ale stają przed publicznością, a potem schodzą ze sceny i są prywatnymi ludźmi. Mają znajomych, dla których nie są aktorami czy nauczycielami, tylko Jankiem, Wojtkiem czy Krysią. I najczęściej mają też wsparcie w rodzinie, w bliskich, w przyjaciołach.

U księży brak obu tych elementów. Czyli, po pierwsze, ksiądz nigdy nie wychodzi z roli. Jest na służbie 24 godziny na dobę i nawet jeżeli akurat nie jest potrzebny, to cały czas jest w czuwaniu. Wie, że jeśli zadzwoni do niego telefon w środku nocy, to on będzie musiał wstać i iść. Niezależnie od tego, jak się czuje. Świadomość tego jest bardzo obciążająca.

A po drugie – w tym obciążeniu nie ma nikogo, kto by go rozumiał, kto byłby dla niego psychicznym wsparciem. Wraca do pustego domu.

Nie idealizujesz trochę księży i ich zawodu czy też tzw. stanu kapłańskiego? Wiemy, że wielu z nich potrafi zamknąć się na plebanii i nie odbierać żadnych telefonów. A także że znajdują sobie osoby, którym się mogą wypłakać.

Znamy się już jakiś czas i chyba wiesz, że jestem daleka od idealizowania księży. Ale zauważ, że sam użyłeś dwóch sformułowań, zamiennie. Powiedziałeś o zawodzie i o stanie. Jeżeli chodzi o zawód, to tak – mogą się zamknąć w swoim domu i powiedzieć: Nie ma mnie. Ale jeżeli chodzi o stan, to w rzeczywistości nigdy nie przestają być księdzem. I to jest w pewien sposób obciążające.

Poza tym mam wrażenie, że takie zamykanie się księdza na plebanii, powiedzenie: Mam tego dość, nie będę odbierał telefonów – to jest już właśnie objaw jakiejś ucieczki, wyczerpania, wypalenia. Że ten człowiek już po prostu nie daje rady.

Dlaczego uznałaś, że to właśnie księża i ich stan psychiczny zasługują na szczególną uwagę?

Nie dlatego, że te kryzysy są czymś wyjątkowym. Księża chorują czy przeżywają kryzysy tak samo jak wszyscy. Wiemy, że jest wiele przyczyn tej choroby, wiele elementów, które nawzajem na siebie tak wpływają, że człowiekowi jest po prostu trudno udźwignąć swoje życie. Więc także niektórzy księża nie dźwigają.

Bardziej w tym wszystkim porusza mnie to, że system kościelny, cała ta instytucja nie zauważa, że ksiądz nie dźwiga. Że ten człowiek w instytucji, której zaufał i której oddał życie, nie dostaje absolutnie żadnej pomocy, jest pozostawiony sam sobie.

Nie traktujesz księży jak dzieci? To dorośli mężczyźni. Przecież mogą pójść do lekarza, opłacić sobie psychoterapię.

Ich przełożeni traktują ich jak dzieci, których trzeba pilnować, którymi trzeba kierować, za których trzeba podejmować najważniejsze decyzje. A w sytuacji kryzysu psychicznego zostawiają ich bez opieki.

W Kościele wciąż pokutuje myślenie, że jak jest ci źle, jeżeli nie dajesz rady, to znaczy, że twoje życie duchowe jest niedoskonałe. Że za mało się modlisz, za mało czasu spędzasz na adoracji. Przełożeni ↦

↦ kościelni traktują kryzys psychiczny księdza jako słabość albo lenistwo.

W takim środowisku trudno prosić o pomoc. Jeśli proboszcz przyzna się do depresji, zostanie mu odebrana parafia. A wtedy straci nie tylko pracę i środki do życia, ale też cel i motywację.

To standardowe podejście?

Nie wiem, czy to norma, ale z pewnością takie reakcje nikogo nie dziwią. Oczywiście odsunięcie księdza od parafii będzie tłumaczone na różne sposoby, że to z troski o niego, by sobie odpoczął. Albo z troski o parafię. No bo przecież jak on jest psychicznie chory, to sobie nie poradzi.

Bo jednak sobie nie radzi. W książce jeden z księży opowiada, jak na plebanii popsuł się piec centralnego ogrzewania, a on nie był w stanie zadzwonić do serwisu. Inni mówią, że nie mieli sił wstać rano, zaniedbywali obowiązki, uciekali w alkohol, zamykali się w pokoju i godzinami skrolowali telefon.

Tyle że nie jest żadnym rozwiązaniem wysłanie takiego księdza do mamy. Powinien dostać pomoc. Na przykład drugiego księdza, który powie: dobra, przerasta cię to w tej chwili, więc ty idź, odpraw mszę, a ja się zajmę tym piecem. Dostać takiego superwizora, który mu pomoże wyjść z kryzysu.

Ale w Kościele w Polsce nie ma absolutnie żadnego pomysłu systemowego, co w takiej sytuacji robić. Działamy po omacku. Albo na zasadzie automatu: jest chory i nie daje rady – odsuwamy go, bo parafia nie może być zaniedbana. Tyle że zaniedbany jest człowiek, który zostaje sam z chorobą.

Trudno to zrozumieć. Biskupi są ludźmi wykształconymi. W seminariach są wykłady z psychologii. W każdej diecezji są księża, którzy skończyli studia psychologiczne. O depresji mówi się w mediach.

I ty mi zarzucałeś, że maluję idealny obraz księży? Po pierwsze, pamiętam książkę, z której uczyłam się psychologii w czasie studiów teologicznych. Nazywała się „Psychologia dla teologów". To była fajna wiedza, ale nie na całą resztę życia dla człowieka.

Po drugie, jesteś optymistą zakładając, że statystyczny ksiądz czy nawet biskup jest na bieżąco z literaturą i z mediami. Nie jest. Wystarczy sięgnąć po statystyki czytelnictwa wśród księży. Większość z nich w ciągu roku nie przeczytało ani jednej książki. Więc o czym my mówimy?

Depresja to choroba, która się świetnie maskuje. Człowiek może być aktywny na zewnątrz, a kryzys przeżywać we własnych czterech ścianach.

Oczywiście są rozsądni, wykształceni księża, żyjący w dużych miastach, takich jak Warszawa, Kraków czy Poznań, którzy bez problemu pójdą do terapeuty, do psychiatry, dostaną leki. Ale księżom w małej miejscowości albo na wsi będzie się bardzo trudno przyznać do problemów.

Środowisko księży jest cofnięte o jakieś 15-20 lat w stosunku do tego, co się dzieje w świecie. W stosunku do tego, jak mężczyźni szukają pomocy. Chociaż wiemy, że nadal szukają jej wolniej, później i rzadziej niż kobiety.

Profesor z seminarium powiedział jednemu z Twoich rozmówców, że psychoterapia to dzieło szatana.

Tak, bo do tego wszystkiego dochodzi jeszcze taka kalka, że psychologia jest niebezpieczna. Traktuje się ją jako próbę zawłaszczenia tego, co duchowe. Odarcia człowieka z duchowości i zastąpienia jej jakimiś mechanizmami psychologicznymi.

Inny bohater Twojej książki opowiada, że pomógł mu dyrektor szkoły, w której uczył religii. To on zauważył, że z katechetą dzieje się coś niedobrego.

Wydaje się oczywiste, że taką osobą, która pierwsza zauważy problem, powinien być proboszcz albo inny ksiądz z parafii. W końcu mieszkają w jednym domu. Tyle że wśród przyczyn depresji księży często jest właśnie zła atmosfera na plebanii. Choćby atmosfera mikroagresji. Gdy proboszcz karze wikarego milczeniem, gdy mu utrudnia na każdym kroku życie, gdy porozumiewają się przez karteczki przyklejane na lodówkę.

Ale też musimy pamiętać, że depresja to choroba, która się świetnie maskuje. Człowiek może chodzić uśmiechnięty, może być aktywny na zewnątrz, a wyczerpanie i kryzys przeżywać we własnych czterech ścianach. Niestety, księża często zamykają się we własnych mieszkaniach. Nawet zakonnicy. Jeden z nich mi opowiadał, jak każdy oddzielnie ogląda ten sam mecz, zamknięty we własnym pokoju z puszką piwa.

Chyba mają znajomych, bliskich?

Nie każdy o to potrafi zadbać. O takie przyjacielskie relacje z osobami, które w razie choroby będą w stanie powiedzieć: czas, żebyś szukał pomocy. I znowu – w dużych, miejskich ośrodkach o to łatwiej. Na wsi wciąż jest obawa, że zrodzą się plotki, że ksiądz chodzi zawsze do jednego domu.

Czyli jednak samotność.

Tak. Ale niekoniecznie związana z celibatem. Raczej z brakiem osoby, której można opowiedzieć o swoich problemach, wygadać się, wypłakać. Która zauważy, że coś złego z nami się dzieje.

Niektórzy księża z Twojej książki szukali pocieszenia w alkoholu albo w romansach.

Tu też powodem była samotność. Alkohol czy podwójne życie nie były przyczyną kryzysu psychicznego, tylko jego objawem. Nie wiem, czy pamiętasz, ale nawet ten ksiądz, który był w relacji z kobietą, związał się nie z tą, w której się zakochał, tylko z inną, z którą spotykał się, by uprawiać seks. Tam nie było czułości ani zrozumienia. To był już efekt poważnego kryzysu, próba zagłuszenia go, zapełnienia jakiegoś braku.

Kim byli Twoi rozmówcy? Masz w książce świadectwa siedmiu księży.

To księża diecezjalni, w bardzo różnym wieku. Zarówno z dużych miast, zaangażowani w prowadzenie poważnych kościelnych dzieł, jak i proboszczowie z naprawdę małych wsi, gdzieś na samym końcu diecezji.

Jak udało Ci się namówić ich do tak osobistych zwierzeń?

Nie wiem. To jest trochę pytanie o to, dlaczego ludzie mi ufają i chcą mi opowiadać. Nie lubię mówić o sobie, ale miałam już sytuacje, że brałam kredyt

w banku i pani z obsługi opowiedziała mi pół swojego życia.

Zauważ, że moimi rozmówcami byli księża, którzy już są zdiagnozowani. Którzy przeszli całą pracę terapeutyczną. Z jednej strony czują potrzebę wyrzucenia tego z siebie, a z drugiej jest w nich jakieś poczucie dobrze rozumianej misji – pomóc innym, którzy takie problemy przeżywają albo będą przeżywać. Księża, którzy aktualnie chorują, nie chcą rozmawiać.

Wierzysz, że księża przeczytają Twoją książkę?

Słyszę, jak niektórzy mówią, że powinien ją przeczytać każdy ksiądz. Nie wiem, czy miałabym odwagę tak powiedzieć. Nie wnikam w to, co każdy ksiądz powinien przeczytać. Ale też nie chciałabym, żeby powstało wrażenie, że to książka tylko dla księży. Ona jest także, a może przede wszystkim dla ludzi świeckich, żeby mieli świadomość, z czym się mierzy ten człowiek po drugiej stronie ołtarza. Nie każdy ma prywatne relacje z księdzem, nie każdy to wie.

Oprócz świadectw księży są też rozdziały mówiące po prostu o chorobie, jaką jest depresja. Pomocne każdemu czytelnikowi.

Moje wcześniejsze książki składały się głównie ze świadectw ludzi. Ale kiedy dotknęłam tematu depresji, to nie chciałam oddawać głosu wyłącznie chorobie. Bo wiemy, że ta choroba może fałszować obraz rzeczywistości. Potrzebny był zewnętrzny komentarz. Jeżeli komuś to pomoże w budowaniu wrażliwości i uważności na drugiego człowieka, to książka na pewno spełni jedno ze swoich zadań.

Ale... Tak. Chciałabym, żeby po tę książkę sięgnęli przede wszystkim biskupi. To jest bardzo mały rynek, więc nie zabiegam tu o jakąś gigantyczną sprzedaż. Zresztą, jeżeli jakiś biskup ma problem z kupieniem tej książki, to niech do mnie napisze. Wyślę mu egzemplarz.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN



Monika Białkowska
BÓG SAM NIE WYSTARCZY. REPORTAŻ O SAMOTNOŚCI I DEPRESJI KSIĘŻY
Wydawnictwo Promic, 2026



Czy ewangeliczny radykalizm da się pogodzić z realną polityką? Czy nie są to dwa odrębne porządki wartości, których nie należy mieszać?

Poniższy tekst jest kolejnym głosem w debacie na temat relacji religii (i Kościoła) z polityką. W poprzednich numerach wzięli w niej udział: **Michał Rzeczycki („W krzywym zwierciadle polityki", „TP" 41/2026)** oraz **Konstanty Pilawa („Chrześcijaństwo musi być polityczne", „TP" 42/2026)**.

Na dworze Heroda

MARIA ROGACZEWSKA

DEBATA | Kto trzyma się z dala od polityki, pozwala, by o przyszłości jego dzieci decydowali inni. Ale społeczne angażowanie się chrześcijan musi wyróżniać się ewangelicznym stylem.

W sierpniu 2025 r., podczas porannej mszy na rozpoczęcie roku szkolnego, w Katolickiej Szkole Zwiastowania w Minneapolis zginęło dwoje dzieci, a kilkanaścioro zostało rannych. Moje dzieci też rozpoczynały wtedy rok szkolny. Gorączkowo szukałam głosu mojego lokalnego Kościoła: słuchałam kazań, wchodziłam na fora katolickich matek i na spotkania biblijne. Zderzyłam się ze ścianą oględnych deklaracji w duchu „łączymy się w myślach i modlitwach". Nie było dyskusji o prawie do noszenia broni, nie było tematu zagubionych młodych ludzi. Właściwie – nie było żadnego tematu.

Moi poprzednicy w tej wymianie myśli o relacjach religii i polityki skupili się na filozoficznych pytaniach o to, czy chrześcijanie powinni angażować się politycznie w erze postpolityki (Rzeczycki) i co powinno być obszarem tego zaangażowania (Pilawa).

Mnie jednak prześladuje pytanie mniej filozoficzne, a bardzo przyziemne – czy jako matka wychowująca dzieci w wierze chcę równocześnie wychować ich na zaangażowanych obywateli? Co z tego wyniknie? Czy nie obawiam się, że zainteresowanie tematami politycznymi będzie im groziło radykalizacją lub ekstremizmem? Czy nie ulegną urokowi fałszywych liderów i populistycznych guru? A w przyszłości – czy nie wylądują w jakimś *detention center* jako niesforni i niezależnie myślący obywatele, w dobie powszechnej cyfrowej inwigilacji i zachęt do skupienia się tylko na konsumpcji i konformizmie? Przede wszystkim – jakiego rodzaju stylu zaangażowania chciałabym ich nauczyć?

Jak obcy przybysze

W duchu starożytnego „Listu do Diogneta" uważam, że chrześcijan w sferze publicznej powinno się poznawać nie po konkretnej agendzie i „liście postulatów", ale po niepowtarzalnym stylu: ludzkim, życzliwym, pokornym, pełnym troski. Dawny autor pisał o chrześcijanach, że „mieszkają we własnych ojczyznach jak obcy przybysze, są w ciele, ale nie żyją według ciała; są ubodzy, a wzbogacają wielu; są skazywani na śmierć, a zyskują życie".

Nie ma tam mowy o celach politycznych. Ani nawet o tym, czy chrześcijanie mają rację. Jest za to jakiś *vibe*, jak ↦

↦ powiedziałaby młodzież: styl bycia. Przekonanie o swej moralnej nieomylności jest jedną z najbardziej przewrotnych pułapek, w jakie wpadają ludzie wierzący. Zachwyceni własną argumentacją (coraz częściej wspieraną przez AI), możemy dojść do przekonania, że ludzi trzeba wręcz karać za ich nieprawidłowe poglądy. Akceptujemy zresztą, choćby mimowolnie, nowe, cyfrowe sposoby tego karania: oskarżenia o herezję, wykluczanie, *cyberbullying*. W pędzie za ukaraniem i wykluczeniem nie mamy już czasu na słuchanie, ciekawość i zrozumienie...

Dobra strona mocy

Nie znam dobrej odpowiedzi na pytania o przygotowanie dzieci do zaangażowania politycznego. Moje myśli krążą wokół smutnej konstatacji, że nasz najstarszy syn, który skończył właśnie 9 lat, od swojego urodzenia żyje w świecie, w którym polityczni „źli chłopcy", napędzani nowymi mocami technologii, wygrywają wszystko. Mają władzę nie tylko nad kilkoma potężnymi imperiami, ale i nad naszą wyobraźnią i przyszłością.

Choć mieszkamy w Ameryce, nie mam motywacji, by czytać z dziećmi „Kapitana Amerykę" i inne komiksy o superbohaterach, bo wydają się pochodzić z innego, minionego już świata, gdzie młody człowiek mógł, dorastając, naturalnie włączyć się w walkę dobra ze złem (w marzeniach, w bajkach, komiksach, stopniowo też w prawdziwym zaangażowaniu). Ta walka była jeszcze prawdziwa i były jakieś narzędzia do sprawdzenia, kto jest dobry, a kto zły. Pomocy nie znajduję też u ukochanych klasyków, jak Tolkien i C.S. Lewis. Nie wiem, w jaki sposób mogłabym wyjaśnić dzieciom, jak mają rozpoznać „dobrą stronę mocy", której powinni oddać w przyszłości swój młodzieńczy zapał.

Być może pozostaje mi tylko nauczenie ich tej starożytnej chrześcijańskiej mądrości, że najpoważniejsza walka toczy się w zaciszu naszego serca. I jest to walka z „ościeniem śmierci", grzechem, cieniem w nas. Walka o własne cnoty i charakter. Szczególnie w świecie przypominającym „Grę o tron", gdzie wymagania moralne wobec liderów obniżyły się tak bardzo, że nie ma takiego skandalu i takiej nieprawości, która wyrwałaby ludzi z narastającej apatii.

Spór o gramatykę

Doświadczana przeze mnie – i przez wiele bliskich mi ludzi i środowisk – bezradność wynika także z analizy własnej historii. Sama spędziłam wiele lat mojego chrześcijańskiego życia na zaangażowaniu w sferze publicznej. Były to dekady starań o dialog ze świeckimi, o promocję tak zwanego „katolickiego feminizmu". Zajmowaliśmy się tematami, które – jak nam się wydawało – były w centrum debaty. Po latach okazało się, że znalazły się na dalekich peryferiach. Walcząc o zmiany w podejściu hierarchii Kościoła do kobiet, przeoczyłyśmy fakt, że w mediach społecznościowych niektóre elementy tradycyjnego nauczania zostały brutalnie uproszczone i przyciągają rzesze ludzi, którzy szukają „pobożnej" legitymizacji dla swojego mizoginizmu. Spędzenie lat na debacie z wąską grupą postępowych liderów nie odwróciło szerszego trendu, jakim było przejmowanie internetu, pulpitów i kazalnic przez młodych księży i podkasterów wychowanych przez sprzyjające radykalizacji algorytmy.

To tak, jakby spierać się o niuanse gramatyczne z kilkoma uczonymi, podczas gdy zanika powszechna zdolność do używania języka (*moral literacy*, by użyć określenia z książki Barbary Herman) w relacjach międzyludzkich. Nie chodzi tu o większe niż kiedyś „zepsucie", jak chętnie stwierdziliby konserwatyści, raczej o to, że pojęcia konstytuujące dotąd pole moralności – jak cnota, charakter, zmaganie z samym sobą – przestały być zrozumiałe. Jak pisze w swoich książkach, poświęconych przemianom moralności, David Brooks, ludzie mają coraz większy problem z rozpoznaniem, czy żyją dobrze, czy nie. Jak w takiej sytuacji zmagać się z „ościeniem zła"? Zwłaszcza gdy w ten obszar chaosu i moralnej anarchii wkracza polityka plemienna, która „mówi jak jest": jesteś w porządku, gdy jesteś po „naszej" stronie.

Wyczerpana większość

Większość ludzi oczywiście nie potrafi i nie chce żyć na co dzień w stanie wzmożenia i ciągłego oburzenia rodem z platformy X. Są tym zaniepokojeni i zmęczeni. David French, pisarz, chrześcijański publicysta polityczny w „The New York Times", używa do opisu zdezorientowanych chrześcijan, którzy patrzą na politykę, hasła „wyczerpana większość" (*exhausted majority*), która zastąpiła dawną „moralną większość".

Wyczerpanie to objawia się przede wszystkim jako wszechobejmująca apatia wielu chrześcijan, którzy przestali reagować na wydarzenia i sprawy, które kilka dekad temu byłyby w stanie mobilizować ożywione protesty i spotkania obywatelskie.

Tego rodzaju apatii doświadczyłam na własnej skórze. Po tragedii w Minneapolis zaczęłam się zastanawiać, co musiałoby się stać, aby z tego stanu wydostali się moi bracia i siostry. Jakie ta apatia ma skutki dla nich samych, dla ich rodzin, sfery publicznej?

Młodym ludziom apatia starszego pokolenia jawi się jako czysty nihilizm, jedynie przebrany w różne racjonalizacje, jak powiedział Cameron Kasky, dwudziestolatek, który ocalał z innej szkolnej strzelaniny, lider młodzieżowej inicjatywy na rzecz ograniczenia prawa do noszenia broni *March for Our Lives*. Ta nowa forma nihilizmu przypomina klimat dworu Heroda. Ludzie są w stanie poświęcić nawet przyszłość swoich dzieci, byle tylko nie przyznać, że oni i ich liderzy mogą się mylić.

Wyjście z apatii

W rozważaniach o „wyczerpanej większości" David French twierdzi, że epidemia apatii chrześcijan powinna być najważniejszą kwestią przy jakimkolwiek namyśle w obszarze wiary i polityki. W napisanej wraz z żoną Nancy i Curtisem Changiem książce „The After Party: Toward Better Christian Politics" radzi, jak chrześcijanie w USA, ale nie tylko, powinni podchodzić do polityki w epoce silnych podziałów. Jak oddzielać „nawyki serca" i tożsamość duchową od polityki partyjnej (zarówno po stronie prawicy, jak i lewicy). Autorzy polecają właśnie skupienie się na stylu komunikacji, zakorzenionym w naśladowaniu Jezusa, na pytaniu o to, „jak robić", zamiast „co robić".

Szczególnie interesującą drogą wyjścia z apatii i wyczerpania wydają się być chrześcijańskie ruchy ekologiczne, wzmocnione wsparciem papieża Franciszka i encykliką „Laudato si'". Wskazują na fundamentalną prawdę, że jeśli już rozszarpaliśmy w brutalny sposób społeczne sieci współpracy i zaufania, a chcemy je odbudować, choćby na poziomie lokalnym, nie da się tego zrobić bez nawiąza-



JACEK BOCZARSKI / ANADOLU / ABACA / PAP

Protest katolików przeciwko złym warunkom w ośrodkach detencyjnych ICE w Melrose Park. Poprzedziła go msza odprawiona przez kard. Blase'a Cupicha z Chicago, 18 lutego 2026 r.

nia relacji odpowiedzialności i kooperacji z naturą. Procesy przyrodnicze zaś dają nam lekcję powolności i troski. Zniszczone torfowisko potrzebuje wielu lat, aby się odbudować. Ścięcie starego drzewa jest stratą, której naprawa potrzebuje dekad, jeśli nie wieków. Odbudowa zdobyczy cywilizacji, takich jak np. procedury demokratyczne, także zajmie wiele lat.

Leon XIV, podczas obchodów 10-lecia „Laudato si'", komentując potrzebę ochrony środowiska mówił: „Każdy w społeczeństwie, poprzez organizacje pozarządowe i grupy rzeczników, powinien wywierać presję na rządy, by opracowały i wdrożyły bardziej rygorystyczne przepisy, procedury i kontrole". Chrześcijanie powinni protestować przeciw próbom dyskredytacji ekologii i przypominać, że bezpieczeństwo ekologiczne powinno być jednym z nadrzędnych celów państwa – nie tylko na papierze.

Na najniższym szczeblu

Socjolożka Sherry Arnstein opisała w 1969 r. drabinę partycypacji obywatelskiej. Wielu możnym tego świata zależy, by obywateli utrzymać na stałe na dolnych szczeblach tej drabiny – w stanie braku zaangażowania i apatii. Służy temu manipulowanie opinią publiczną lub jej terapeutyzowanie – politycy lub różne instytucje „leczą" obywateli z niezadowolenia, skupiając się na rozpraszaniu uwagi, rozrywce lub propagandzie, a nie zmianie kierunku własnych działań.

Dawanie obywatelom pozoru wpływu na rzeczywistość Arnstein nazwała „tokenizmem". To prorocze określenie na różne rytualne i symboliczne formy działania (w tym tak zwane konsultacje społeczne), które nie mają przełożenia na realne decyzje. Prawdziwy udział w podejmowaniu decyzji i ich egzekwowaniu zapewniają ludziom dopiero trzy najwyższe stopnie tej drabiny – partnerstwo, delegowanie i kontrola obywatelska.

Zanik podmiotowości, odbieranie głosu zwykłym ludziom grożą nam dziś jeszcze z innego powodu. Gdy coraz większa część dochodu krajowego zaczyna być wytwarzana przez sektor AI i nowoczesnych technologii, politycy mają coraz mniej motywacji, by inwestować w zdrowie, edukację, rozwój i bezpieczeństwo ludzi – mówi Tristan Harris, jeden z najważniejszych sygnalistów ostrzegających przed skutkami rozwoju AI i lider Center for Humane Technology. Siła przetargowa organizacji, Kościołów, inicjatyw obywatelskich, związków zawodowych będzie więc spadać, ze względu na coraz mniejsze zapotrzebowanie na pracę i głos człowieka.

Magnificat

Co w takiej sytuacji oferuje nam chrześcijaństwo? Po pierwsze, bardzo jasne, prorocze spostrzeżenie, że tego rodzaju przyszłość jest antyludzka (ostrzega przed tym mocno i dobitnie Leon XIV).

Po drugie, dokładną diagnozę tego, kto znajduje się najniżej na drabinie partycypacji. To ci, którzy nie mają narzędzi (np. intelektualnych – bo są dziećmi czy nastolatkami), by bronić się przed manipulacją i propagandą. Wypychani w samotność i izolację, z której wyjściem wydaje im się tylko ślepa destrukcja. Traktowani jak pariasi i dehumanizowani w imię celów politycznych (najczęściej – przybysze i imigranci). Dla chrześcijanina największą inspiracją są w takiej sytuacji słowa Maryi z „Magnificat" o Bogu, który „strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych".

Po trzecie, chrześcijaństwo daje każdemu z nas – przez swą opowieść o nowo narodzonym Dzieciątku – klucz do uwalniania samego siebie spod uroku rozmaitych współczesnych Herodów. Im bliżej jesteśmy dzieci i młodych ludzi, im więcej czasu spędzamy z nimi bezinteresownie, tym bardziej to uwolnienie staje się możliwe. Bo jasne jest, że to ich pomyślnej przyszłości polityczni i technologiczni Herodowie zagrażają najbardziej.

Wreszcie, chrześcijaństwo może dawać nadzieję na poradzenie sobie z brutalnym strachem, który tak naprawdę kryje się w sercach nas wszystkich. Jezus mówi do swoich uczniów „Nie lękajcie się!". Dziś oznacza to, jak podkreślają autorzy „After Party", uświadomienie sobie, że chrześcijanie wciąż dysponują największym skarbem, jakim mogą podzielić się ze światem – są nim łaska i Dobra Nowina o przebaczeniu. Jest nim nadzieja, że każdy człowiek i wspólnota zawsze mogą zacząć od nowa. Nawet jeśli zbudowaliśmy Wieżę Babel i spadła już ona na nasze głowy, możemy sobie samym i naszym bliźnim okazać miłosierdzie i zacząć rozmowę jeszcze raz – ale już w zupełnie innym stylu. Za takim skarbem świat z całych sił tęskni.

Chrześcijaństwo uczy nas też mądrze odpowiadać na słowa, które tak często słyszę w moim lokalnym kościele – „ja trzymam się z dala od polityki". Jednak wójt twojej gminy jest w nią zaangażowany. Szef twojej firmy prawdopodobnie też. Lokalny deweloper – na pewno. Oni każdego dnia używają swojej władzy, by ludzi takich jak ty trzymać na jak najniższym szczeblu drabiny. Dlatego nie ma dla chrześcijanina lepszego rozwiązania, jak przypomnieć sobie słowa „Magnificat", a potem – zacząć mówić i działać.

© MARIA ROGACZEWSKA

Autorka jest doktorem socjologii, publicystką „Więzi", w latach 2014-2017 była kierowniczką Centrum Wyzwań Społecznych na Uniwersytecie Warszawskim. Mieszka z rodziną w USA, gdzie angażuje się w ruchy rodzicielskie na rzecz poprawy jakości edukacji i odpowiedzialnego korzystania z technologii cyfrowych.



PETR POLANSKÝ / CZŁOWIEK I WIARA

Václav Ventura na pogrzebie Ludmily Javorovej. Brno, 10 października 2026 r.

Woda się nie zamknęła

TOMASZ MAĆKOWIAK

CHRZEŚCIJAŃSTWO | Czy czeski podziemny Kościół wymarł? Na pogrzebie Ludmily Javorovej, która otrzymała w nim święcenia kapłańskie, żonaty ks. Václav Ventura przekonywał, że ich wspólnota nadal żyje i owocuje.

Broda siwa, gęsta, opada niemal na pierś. Alba biała i prosta, bez haftów i koronek, przepasana sznurem. Kiedy ojciec Václav Ventura szedł w procesji kilkudziesięciu księży w czasie pogrzebu Ludmily Javorovej 10 października 2026 r., wyglądał jak mnich z prawosławnej ikony. Przez ponad czterdzieści lat był żonaty, wychował dwoje dzieci, a dziś wykłada na uniwersytecie. Jest jedną z żywych ilustracji tego, jak wyglądały losy katolickich księży, wyświęconych za komuny w warunkach konspiracji w dawnej Czechosłowacji.

Ventura głosił kazanie nad trumną Javorovej w Brnie, w Kościele św. Cyryla i Metodego w dzielnicy Židenice. Trwało to kilka minut i dotarło jedynie do obecnych w kościele wiernych oraz do odbiorców niszowych mediów. Ale już po wyjściu ze świątyni, w autobusie jadącym na cmentarz, ludzie komentowali, że był to jeden z najbardziej wymownych tekstów o przyszłości Kościoła katolickiego. A przecież Ventura mówił o czymś, co po prostu się stało. I czego nikt już nie odwoła.

PODZIEMIE | Najpierw kontekst. Po 1948 r. komunistyczna Czechosłowacja zepchnęła Kościół do podziemia: biskupów więziono, zakonników pozamykano w obozach, seminaria zlikwidowano, a legalnie działających księży nadzorowała bezpieka, czyli StB (Státní bezpečnost). W Brnie, stolicy Moraw, lekarz i teolog Felix Maria Davídek, który przesiedział w więzieniach czternaście lat (1950-1964), zbudował tajną strukturę kościelną o nazwie Koinótés. Święcono w niej na księży także mężczyzn żonatych, bo ich trudniej było podejrzewać o kapłaństwo.

Biskup Davídek poszedł dalej: w 1970 r. wyświęcił Ludmilę Javorovą, swoją najbliższą współpracowniczkę, by mogła posługiwać kobietom w więzieniach i obozach pracy. Decyzja była tak kontrowersyjna, że na tajnym synodzie Koinótés w Kobeřicach w grudniu 1970 r. doszło do rozłamu.

Po 1989 r. – gdy Davídek już nie żył – zaczął się poważny kłopot. Rzym, wspierając odbudowę Kościoła w dawnej Czechosłowacji, zauważył, że w tajnych strukturach działy się rzeczy z punktu widzenia Watykanu szokujące. W kolejnych latach, po zakulisowych negocjacjach, podjęto decyzję, by część święceń udzielonych tajnie uznać za ważne, a część powtórzyć. Święceń kobiet, jak można się domyślić, nie uznano.

Aż do połowy lat 90. Javorová milczała o swoich święceniach, ale nawet gdy zaczęła o nich mówić publicznie, nie spotkało się to z wielkim odzewem (może poza środowiskami niezadowolonych katolików). Kościół nie odepchnął jej zupełnie, uczyła religii w szkołach w swojej pa-

rafii, choć z decyzją Watykanu w sprawie swoich święceń się nie zgadzała. Zmarła 17 września tego roku w hospicjum w Rajhradzie koło Brna, miała 94 lata.

POGRZEB | Najmocniejszy fragment pogrzebowego kazania dotyczył święceń Javorovej. Ventura nie polemizował z prawnymi i teologicznymi wywodami watykańskich dokumentów. Decyzji Davídka bronił językiem doświadczenia. Biskup – przypomniał kaznodzieja – zdecydował się na tę niezwykłą drogę pod wpływem więziennych przeżyć i wyraźnej prośby kobiet, które również wracały zza krat: „Trzeba, aby także więźniarki miały możliwość korzystania z sakramentów". „I tu dotykamy jedynego w swoim rodzaju powołania Ludmily – mówił dalej Ventura. – Podejmuje decyzję o pójściu do więzienia. To jest istota jej kapłaństwa. Oddać życie za innych, nawet w takiej męczeńskiej postaci".

Ludmila do więzienia nie trafiła, wbrew przewidywaniom Davídka, który spodziewał się powrotu prześladowań i widział wyświęcone kobiety sprawujące sakramenty w obozach, gdzie księży katolickich nie wpuszczano. Ventura mówił dalej: „Tak, wyświęcenie kobiety nie jest według rzymskokatolickiego prawa kościelnego możliwe. Ale do niego doszło. Jest już rzeczywistością w życiu Kościoła".

Żegnając Ludmilę kaznodzieja przypomniał, że na początku lat 90. „niektórzy wysocy przedstawiciele Kościoła" mówili o „ostatecznym rozwiązaniu" albo „biologicznym końcu" Kościoła podziemnego (Milan Beran, jeden z żonatych księży z podziemia, wyjaśni mi to już po mszy żałobnej: „Liczyli na to, że wymrzemy i nad nami zamknie się woda, jak mówimy po czesku").

Ventura ciągnął dalej: „Ale mimo wszelkich pozorów dziedzictwo Kościoła podziemnego kiełkuje. Powoli, ale ciągle widzimy zmiany. Ustępuje znaczenie władzy i autorytetu, Kościół ubożeje – w pozytywnym sensie tego słowa, staje się coraz bardziej solidarny ze słabymi, kobietom otwierają się możliwości udziału w kierowaniu Kościołem, rośnie coraz większa i realistyczna tęsknota, by żyć ze źródeł Ewangelii i kontemplacji". Na koniec zacytował przypowieść o ziarnie pszenicy, które musi obumrzeć, by wydać plon. „Oby tak się stało!" – mówił nad trumną Javorowej, ustawionej tak – na co zwrócił mi uwagę jeden z księży – by jej ciało było skierowane głową ku ołtarzowi. W czasie mszy żałobnych w taki sposób ustawia się trumny księży katolickich, ciała świeckich układa się na czas mszy odwrotnie.

LOS | Sam Ventura też jest chodzącym dowodem słuszności swoich słów. Urodził się 12 października 1951 r. w Pradze. Po maturze pracował jako sanitariusz. Teologię zaczął studiować w państwowym, kontrolowanym przez tajną policję seminarium w Litomierzycach, ale, jak sam wspomina, czuł się tam jak w więzieniu. W końcu udało mu się dostać na wydział teologii ewangelickiej Uniwersytetu Karola, gdzie w 1982 r. ukończył studia. Zarabiał jako bibliotekarz, wychowawca osób z niepełnosprawnością intelektualną i robotnik na wykopaliskach. Ot, typowy los niepokornych w komunistycznej Czechosłowacji.

Ożenił się młodo, w 1973 r. Urodził mu się syn, potem córka. Do kapłaństwa prowadzili go starsi księża, w większości dawni więźniowie komunizmu, od których dowiedział się, że do ołtarza można dojść także tajną drogą. Prawdziwe studia katolickie odbywał więc w konspiracji: podstawowe lektury krążyły w maszynopisach, spotykano się po kilka osób w prywatnych mieszkaniach. Wykłady prowadził m.in. Tomáš Halík – dziś najbardziej znany czeski ksiądz i myśliciel.

Święcenia, na które musiała się zgodzić żona, otrzymał w 1982 r., w prywatnym mieszkaniu, w pośpiechu i strachu przed ubekami. Tak żył Kościół w podziemiu: o nic nie pytano, nie robiono zapisków, najważniejsze było zaufanie do konkretnych ludzi. Święcony ksiądz zwykle nie znał nawet nazwiska biskupa, który udzielał mu sakramentu (i *vice versa*). „Mniej będziesz wiedział, krócej będziesz siedział" – mówiono w konspiracji. Żadnych oznak zewnętrznych, żadnych koloratek, alb, nawet nabożne gesty uchodziły za podejrzane. Tomáš Halík wspominał, że o swoich święceniach nie powiedział nawet własnym rodzicom – by ich nie narażać.

POWRÓT | Po aksamitnej rewolucji 1989 r. wyszedł z konspiracji razem z całym pokoleniem. Wtedy zderzyli się z Kościołem oficjalnym – a może lepiej powiedzieć: z jego biurokracją? Rzym nie uznał święceń kobiet, mężczyznom zaproponował ich powtórzenie, jeśli miał zastrzeżenia do ich ważności. Część odebrała to jako upokorzenie i odmówiła. Do dziś niektórzy z nich są księżmi prywatnie, w ukryciu (choć już bez prześladowań). Oficjalnie są ojcami rodzin, pracują w cywilnych zawodach. Wspomniany Milan Beran, emeryt, do niedawna prowadził firmę dekarską w Rychnowie nad Knieżną.

Ventura zgodził się na powtórzenie święceń w rycie greckokatolickim, gdzie zwykli księża nie są objęci obowiązkowym celibatem i często mają rodziny. Otrzymał je w 1997 r. Kilka lat później został birytualistą i mógł sprawować także liturgię zachodnią. Formalnie włączono go do duchowieństwa Egzarchatu Apostolskiego Kościoła greckokatolickiego w Czechach.

Jest zafascynowany duchowością chrześcijańskiego Wschodu. Jego dorobek naukowy sięga Kościoła pierwszych wieków. Dziś wykłada patrologię na Wydziale Teologii Katolickiej Uniwersytetu Karola w Pradze i etykę, w tym bioetykę, na uniwersyteckim wydziale medycyny. Kilka lat temu owdowiał. Jest członkiem trzeciego zakonu benedyktynów, współpracuje z opactwem Emauzy w centrum Pragi, gdzie jedna ze stołecznych parafii greckokatolickich znalazła gościnę – na co dzień Ventura właśnie tam odprawia msze i głosi kazania.

W Brnie na pogrzebie Ludmily był gościem specjalnym, dlatego jemu powierzono wygłoszenie kazania. Ale i sama uroczystość miała charakter szczególny – w koncelebrze uczestniczyło sporo księży, których święceń Watykan nigdy nie uznał. Niektórzy starsi panowie przy ołtarzu występowali w stułach nałożonych na garnitur, tak jak w czasach prześladowań.

Milan Beran zawołał do mnie jeszcze przed mszą na powitanie: „Patrz, jak mi pasuje!" – powiewając ze śmiechem albą. Ale był wyraźnie wzruszony, podobnie jak większość obecnych. Wszyscy czuli, że jest to zupełnie wyjątkowa – być może ostatnia? – okazja do tego, by wspólnota, która powstała w czasach prześladowań za wiarę, mogła publicznie zademonstrować swoją obecność. I to w sytuacji, kiedy – jak wspomniał Ventura – nad ich przesłaniem wcale „nie zamknęła się woda", ale przeciwnie – zaczyna wydawać owoce w Kościele. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Ucieczka z mgły*



„Nie chcemy, bracia, byście nie wiedzieli o losie tych, którzy umierają. Nie smućcie się zatem, jak inni, którzy nie mają nadziei" (1 Tes 4, 13). „Jeśli się naucza, że Chrystus zmartwychwstał, jakże mogą mówić niektórzy spośród was, że nie ma zmartwychwstania? Jeśli bowiem nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał" (1 Kor 15, 12-13) – mówi Paweł Apostoł. To znaczy, że Jezus nie mógł nie powstać z martwych. Porządek tego świata jest taki, że czasowe wyrasta z tego, co wieczne, gdyż świat jest domem Tego, który jest Miłością, a miłość domaga się współistnienia z tym, którego się do istnienia powołało.

O zmarłych mówimy, że odeszli, opuścili nas, a jednak patrzą na nas z góry, pamiętają i wspierają. Jeśli chodzi o kościelne podejście do życia i śmierci, to siłują się tutaj dwie koncepcje. Jedna, że nie cały człowiek umiera i nie na zawsze. Umiera ciało, ale dusza nadal żyje. Druga, że śmierć jest etapem życia, a nie jego zakończeniem. W chwili śmierci nie przestajemy istnieć, ale ulegamy przeistoczeniu. Pozostajemy, kim jesteśmy, ale nie takimi samymi. Podobny los czeka całe stworzenie. Nie będzie końca świata, ale jego przeistoczenie w to, co nazywamy nową ziemią i nowym niebem.

Powie ktoś: zbyt piękna to bajka, żeby była prawdziwa. Jeśli jednak mam się tej bajeczki pozbyć, to proszę o coś w zamian, ale coś jeszcze piękniejszego, co pozwoli mi, gdy w oczy zajrzy „taka pustka, o której nie wiedziałem", jak pisze Władysław Broniewski, siąść na „uboczu" i jako „materialista dziejowy" stać się „płaczącym słowem", mającym moc przywracać życie. Poeta pisze: „A ja z tej mgły chcę uciec / w jasność, / powrócić do jasności, powrócić, / zasnąć". Niechby tylko na chwilę, to wystarczy, żeby jak Józef, mąż Maryi, zobaczyć, że ta mgła jest spowodowana nie brakiem, ale nadmiarem światła. To właśnie tym bajeczkom nie z tego świata, czyli nauce, sztuce, filozofii, religii i teologii, dana jest moc wyprowadzania ludzi z mgły, czymkolwiek by ona nie była. Gorzej, jeśli jest się chrześcijaninem i nie umie się nad sobą zapłakać. Paweł Apostoł przestrzega: „Jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie" (1 Kor 15, 19). Dlaczego? Pytanie w sam raz na listopad, na koniec i początek roku kościelnego. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Godność człowieka*



„Jezus nauczał w szabat w jednej z synagog. A była tam kobieta, która od osiemnastu lat miała ducha niemocy: była pochylona i w żaden sposób nie mogła się wyprostować. Gdy Jezus ją zobaczył, przywołał ją (...), położył na nią ręce, a natychmiast wyprostowała się i chwaliła Boga. Lecz przełożony synagogi [był] oburzony tym, że Jezus uzdrowił w szabat (...). Pan mu odpowiedział: »Obłudnicy, czyż każdy z was nie odwiązuje w szabat wołu lub osła od żłobu i nie prowadzi, by go napoić? A owej córki Abrahama, którą szatan osiemnaście lat trzymał na uwięzi czy nie należało uwolnić od tych więzów w dzień szabatu?«" (zob. Łk 13, 10-17). Ewangelia o wielkiej godności człowieka. Każdego człowieka. Trzeba mieć wzrok Jezusa, by w wielkim tłumie w synagodze wypatrzeć akurat ją – kobietę zgiętą w pół i niemogącą podnieść wzroku ku niebu. To jedna z takich osób, od których się raczej wzrok odwraca.

Jezus ją widzi i przywołuje – to do Niego należy inicjatywa. Ona o nic nie prosi; to On ją do siebie przywołuje. Kogo w niej widzi? Odpowiedź brzmi: „córkę Abrahama". To rzadkie określenie w Biblii... „Synowie Abrahama", owszem, to pojawia się często. Podkreśla godność potomków Izraela, dziedziców wiary Abrahama i przeznaczonych dla niego obietnic. Ale kobieta? I to więziona przez szatana osiemnaście lat? Osiemnaście lat ze wzrokiem wbitym w ziemię?

Jezus nie daje się zwieść temu, co widzi; On patrzy o wiele głębiej! Widzi w niej podstawową, najgłębszą, pierwotną, nieusuwalną godność, której nikt nie jest w stanie jej odebrać i której nikt nie musi jej przyznawać. Także ona sama nie musi nikomu jej dowodzić. Wszystko, czego potrzeba, to jedynie odsłonić ją przed oczyma tych, którzy jej nie dostrzegają. Jest jeszcze w naszym tekście drugie słowo, które tę godność odbija i podkreśla – to słowo: „przywołał" (grec. *prosephonesen*) – to samo, które występuje jeszcze raz, w szóstym rozdziale Ewangelii Łukasza, gdzie Jezus po całonocnej modlitwie „przywołał" do siebie uczniów, których wybrał na apostołów (Łk 6, 13). Właśnie, „przywołuje" ją nie tylko dlatego, że widzi jej chorobę; On widzi jej potencjał i misję, którą dla niej przygotował Bóg do pełnienia. Właśnie dla niej – dla kobiety związanej osiemnaście lat przez szatana. Macie taki wzrok? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Moja Vistuliada*



Jest kilka tekstów szkolnych akademii, które do dziś tkwią w mojej głowie. Większość o patronie szkoły, narciarzu Bronisławie Czechu. Ale najlepiej pamiętam ten ćwiczony do znudzenia, jednak nigdy nie wystawiony.

„Właśnie, kochana. Co o tym myśleć, że tak ostatnio śmierdzi coś w Wiśle?" – mówi jedna Ryba. „Co o tym myśleć? Nie mam pojęcia. Ja przez to wszystko straciłam zięcia" – odpowiada druga i tłumaczy: „Właśnie przedwczoraj zwiał do Dunajca. Nie mógł wytrzymać. Bez przerwy twierdził, że ciało mojej córeczki śmierdzi. (...) Zostawił tylko kartę na stole, że ślub brał z rybą, a nie z fenolem".

Czemu to zapamiętałam? Czy przez ten tajemniczy wtedy fenol? Czy dialog, w którym okazuje się, że właściwie wszystkie ryby tym fenolem troszeczkę podśmierdują, tak mnie przejął? Gdy dziś sprawdzam, okazuje się, że jest to popularny szkolny scenariusz na Dzień Ziemi. Klasyk, który dźwięczy w mojej głowie zawsze, gdy mowa o Wiśle.

W czasie, gdy się go uczyłam, Warszawa była odwrócona od rzeki. Zniszczone betonowe schody bulwarów, jakieś szemrane restauracyjno-hotelowe barki występujące w filmach kryminalnych i policyjnych kronikach oraz poczucie, że nie jest to przyjazna woda. Potem jednak wszystko się zmieniło, zaroiło się od klubów, ścieżek rowerowych, plaż i już tylko kąpiel pozostawała tabu.

Zdarzyło mi się wtedy takie piękne lato, gdy ilość pracy nie pozwalała nigdzie wyjechać, ale każdy niemal weekend spędzałam na spływach Wisłą. Płaskodenna krypa „Basonia", zbudowana przez szkutników we wsi o tej samej nazwie, zabierała nas z namiotami i śpiworami po pracy z rozbawionych piątkową atmosferą bulwarów. Spaliśmy na plażach, odkrywaliśmy zniszczone przystanie parowców, dzikie niczym Amazonka zakola czy tajemnicze wyspy pod Płockiem ze śladami siedlisk Olędrów. Okazało się, że Wisła może wyglądać też tak i jest tuż obok.

Owszem, tuż za Warszawą, która wciąż zrzucała surowe ścieki z połowy miasta, jeszcze nie wolno się było kąpać. Między Bielanami i Modlinem napotykaliśmy na słynne pomidorowe wyspy (człowiek nie trawi pestek pomidorów), ale już za Nowym Dworem Mazowieckim, gdy do Wisły wpadła potężna tam Narew, zaczynaliśmy wskakiwać do wody. Choć przyznam, że kiedy pierwszy raz weszłam w jej nurt, myślałam o tym fenolu ze szkolnej akademii intensywnie. Podobnie gdy rybak pod Wyszogrodem podarował mi słoik marynowanej certy.

Podczas jesiennej wyprawy w górę rzeki musiałam wysiąść w Górze Kalwarii. Zaskoczył mnie nieproporcjonalnie duży wobec wielkości miasteczka port. Wdrapując się na jego wysoką, betonową ścianę, zdążyłam wyrazić zdziwienie i na pożegnanie usłyszeć od kapitana: przeczytaj „Moją prywatną Vistuliadę" Giełżyńskiego!

Wojciech Giełżyński, dziennikarz i wioślarz, popłynął w 1980 r. hamburką z okolic Oświęcimia do Gdańska, żeby zobaczyć Wisłę, zanim przeryje ją inwazyjny plan Gierka, zakładający budowę stopni i portów węglowych. To właśnie taki nieskończony port w krzakach pod Górą Kalwarią widziałam. Giełżyński znalazł rzekę już i tak ekologicznie zdewastowaną. Wspomina smród jej dopływów na Śląsku, wędkarzy siedzących chyba tylko z przyzwyczajenia przy jej brzegach w Krakowie, bo przecież nic w niej nie żyło. Gdzieś za Sandomierzem pojawiali się śmiałkowie, którzy złowione ryby jedli, ale podkreślali, że lepiej je gotować niż smażyć. Przed planem Gierka uratowało Wisłę bankructwo PRL, a przed ekologiczną katastrofą upadek wielkiego przemysłu, potem zaś oczyszczalnie.

Fenol w Wiśle to jednak nie przeszłość. Wystarczy poczytać, jak pod Bydgoszczą przesiąka zanieczyszczonymi od dziesięcioleci wodami gruntowymi. Teren po Zakładach Chemicznych Zachem jest jednym z najbardziej skażonych na świecie. Albo o dziwnej pianie, która czasem pojawia się na Śląsku czy w Krakowie. Można też posłuchać, co mówi specjalizujący się w dzikim pływaniu Leszek Naziemiec, który co prawda Wisłę przepłynął od Goczałkowic, ale nie poleca. Mówi, że kopalnie oszukują i woda jest kwaskowa, słonawa, zasadniczo niedobra. Naprawdę przyjemnie pływa się dopiero za Sandomierzem, a w Warszawie też całkiem dobrze, o ile nie jest po deszczu (w przypadku nawałnic awaryjny zrzut części komunalnych ścieków ma miejsce bez oczyszczenia).

Gorzej, że jest w niej coraz mniej wody, co sprawdził ostatnio Jan Dąbrowski, podróżnik z Katowic, w projekcie „Wischła". Wisłę na odcinku od Sandomierza do Płocka udało mu się właściwie przejść. Nie suchą nogą, ale tylko przez 32 km (8 proc. czterystukilometrowej trasy) musiał płynąć. Sam jest zdziwiony, że się udało. I zasmucony, bo to znaczy, że Wisła wysycha. Wysusza ją ocieplenie klimatu, ale też brak zatrzymywania wody w krajobrazie, betonowanie, regulacja dopływów. Uratować Wisłę to właściwie zmienić filozofię gospodarowania wodą w połowie kraju.

U Giełżyńskiego obraz rzeki był sentymentalno-apokaliptyczny, a jednak przetrwała dzięki gospodarczym katastrofom. Ciekawe, czy coś uratuje ją i tym razem. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

NAUKA

DZIECIĄTKO NABIERA MOCY

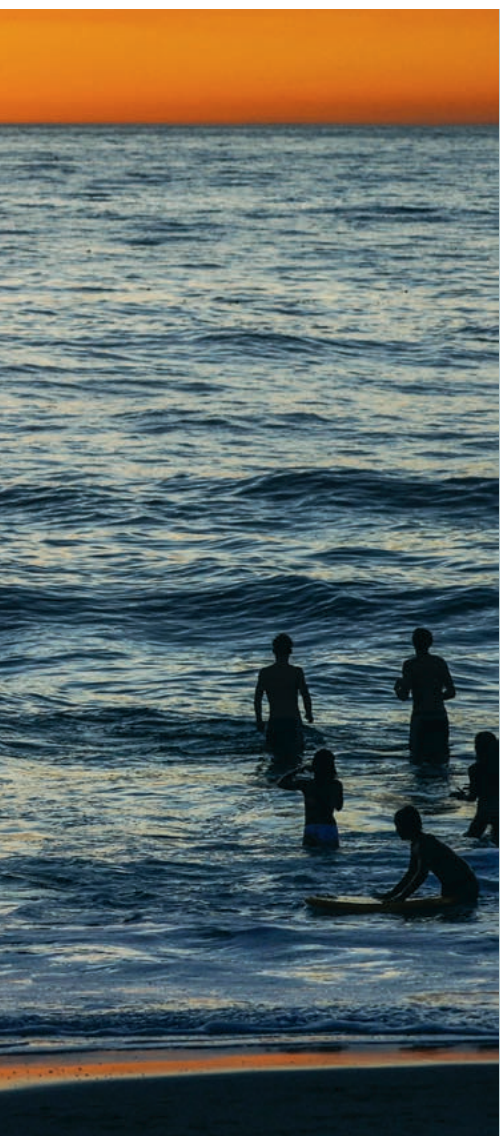
Zaczęło się El Niño – zespół zjawisk pogodowych związanych z nagrzaniem się wód Pacyfiku. Będzie wyjątkowo silne, a jego konsekwencje odczuje cały świat.

ALEKSANDER GURGUL



Trudno dziś z całkowitą pewnością potwierdzić, kto wymyślił termin „Godzilla El Niño", ale sporo tropów prowadzi do Billa Patzerta, klimatologa z kalifornijskiego Jet Propulsion Laboratory przy NASA. Posługując się metaforą z dinozauropodobnym potworem wyłaniającym się *notabene* z oceanu (w Japonii, skąd pochodzi, zwanym *daikaijū*), Patzert chciał przyciągnąć uwagę opinii publicznej do zespołu zjawisk pogodowych, które regularnie występują na planecie.

Naukowcy mówią w tym przypadku najczęściej o „fluktuacji", bo El Niño występuje zazwyczaj co 2-7 lat i trwa ok. 9-12 miesięcy. Na czym polega owo zjawisko? Występuje, gdy słabną pasaty (wiatry wiejące ze wschodu na zachód w rejonie równika), woda na powierzchni Pacyfiku się ogrzewa, a jednocześnie zahamowaniu ulega napływ zimnej wody z głębin oceanu na powierzchnię w jego wschodniej części.



KEVIN CARTER / GETTY IMAGES

Gdy woda na powierzchni Pacyfiku utrzymuje ponadprzeciętnie wysoką temperaturę, mówimy o El Niño. To trwające miesiącami zjawisko powtarza się regularnie co kilka lat i wpływa na pogodę na całym świecie. Na zdjęciu zachód słońca nad San Diego, podczas październikowej fali upałów w Kalifornii.

Niekiedy El Niño bywa słabsze, innym razem silniejsze. I właśnie te drugie (np. z lat 1997-1998 czy 2015-2016) Patzert nazywał w wywiadach Godzillami, a za nim podchwycili to dziennikarze.

Już wiemy, że właśnie zaczęło się takie „Super El Niño" (to inne popularne w mediach określenie). Skąd dokładnie to wiemy?

Anomalie

– Niedawno rozmawiałem z liderem społeczności rybaków w Peru. Jego głównym zmartwieniem nie była panika związana z bezpośrednią katastrofą, lecz niepewność co do tego, jakie konsekwencje dla ich źródeł utrzymania będzie miało ocieplenie oceanu. Rybacy już teraz niepokoją się zmianami w rozmieszczeniu i dostępności gatunków, od których zależy ich życie – mówi „Tygodnikowi Powszechnemu" Aramis Castro, peruwiański dziennikarz zajmujący się ochroną środowiska i klimatem.

Rząd jego kraju ogłosił wprowadzenie stanu wyjątkowego w sektorach rybołówstwa i akwakultury. – Panuje atmosfera gotowości i niepokoju, szczególnie wśród społeczności, które pamiętają skutki poprzednich El Niño. Rząd też traktuje to zagrożenie poważnie: twierdzi, że przeznaczył ponad 4,2 mld solów (około 1,1 mld dolarów) na ograniczanie ryzyka katastrof i gotowość na El Niño, a w 893 okręgach ogłoszono stan wyjątkowy z powodu ryzyka intensywnych opadów deszczu – dodaje Castro. W regionach Tumbes i Piura już miały miejsce silne ulewy – wcześniej niż zwykle. Peruwiańczycy spodziewają się, że w listopadzie i grudniu może popadać jeszcze mocniej.

Nie jest kwestią przypadku, że właśnie do Aramisa skierowałem się z pytaniem o połowy. Nazwa zespołu zjawisk, które współcześnie nazywamy skrótem „El Niño", sięga historii właśnie o rybakach, którzy już w XVII w. zauważyli, że w okolicach Bożego Narodzenia woda w Pacyfiku u wybrzeży dzisiejszych Peru i Ekwadoru robi się cieplejsza. Zjawisko nazwali więc „Dzieciątkiem" – po hiszpańsku *El Niño*.

Wzorzec się powtarzał, więc zaczęli mu się baczniej przyglądać uczeni, nie tylko pracujący w Ameryce Południowej. Na początku lat 80. XX w. naukowcy z amerykańskiej National Oceanic and Atmospheric Administration (NOAA) zdali sobie sprawę, że kluczem do prognozowania tego zjawiska są pomiary temperatury w basenie Pacyfiku. I wtedy przyszło El Niño 1982-1983, które jeszcze wtedy nie zasługiwało na miano „Godzilli", ale z dzisiejszej perspektywy tak byśmy je pewnie sklasyfikowali. To skłoniło uczonych do stworzenia Tropical Atmosphere Ocean (TAO) Array – sieci około 70 boi oceanicznych zakotwiczonych na równikowym Pacyfiku. Boje te w czasie rzeczywistym mierzą prędkość i kierunek wiatru, ciśnienie atmosferyczne, temperaturę powietrza oraz temperaturę wody przy powierzchni; a informacje te są natychmiast przesyłane drogą satelitarną do naukowców.

W kolejnych latach system pomiarów na Pacyfiku był dozbrajany przez NOAA we współpracy z uczonymi m.in. z Japonii i zyskał miano TAO/TRITON.

Prognozy

W żargonie naukowym zespół zjawisk pomiędzy oceanem i atmosferą, którego częścią jest El Niño, nazywa się *El Niño-Southern Oscillation*, w skrócie ENSO, gdyż część atmosferyczna zjawiska monitorowana jest za pomocą wskaźnika oscylacji południowej. W XXI w., prognozując rozwój ENSO, uczeni z NOAA skupiają się na danych z pewnego wąskiego prostokąta na Pacyfiku, który znajduje się pomiędzy 120 stopniem a 170 stopniem długości geograficznej zachodniej, w pobliżu międzynarodowej linii zmiany daty.

Uczeni liczą dla niego średnią z trzech miesięcy temperatur powierzchni morza, a potem sprawdzają, czy ten tzw. wskaźnik ONI (ang. *Oceanic Niño Index*) jest wyższy czy niższy od średniej wieloletniej.

W tym miejscu krótka dygresja: w ostatnich latach, w związku z galopującym globalnym ociepleniem, na popularności zyskał nowy wskaźnik pomiarowy, zwany Względnym Wskaźnikiem Niño (RONI Index). Pomaga naukowcom ocenić, czy ocieplenie oceanu jest spowodowane przez ENSO, czy też głównie przez globalne ocieplenie. ↦

↦ Mając już dane z pacyficznego prostokąta, uczeni są w stanie przewidzieć, jakie będzie nadchodzące El Niño. I te prognozy na obecny rok nie są optymistyczne.

„El Niño w sezonie 2026-27 zapowiada się jako najsilniejsze w historii pomiarów instrumentalnych" – zawyrokował we wrześniu Zeke Hausfather na swoim kanale na platformie Substack.

Hausfather to klimatolog prowadzący newsletter „Climate Brink", publikujący na łamach renomowanego „Carbon Brief" i pracownik naukowy Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Wedle tego, co prognozował pod koniec września (na podstawie 14 modeli prognoz sezonowych), El Niño – we wspomnianym już prostokącie na Pacyfiku – osiągnie w tym roku około 4,1 stopnia Celsjusza. Naukowiec zaznacza jednak pewną tolerancję dając widełki: od 3,4 do 4,6 st. C.

Nawet jeśli ENSO osiągnie dolną granicę z jego prognozy, będzie to „znacznie powyżej poprzedniego rekordu wynoszącego 2,75 st. Celsjusza, odnotowanego podczas El Niño w latach 2015-2016" – skwitował Hausfather.

Na tym złe wieści się nie kończą. „W niektórych obszarach temperatura wody pod powierzchnią oceanu była o ponad 8 st. Celsjusza wyższa od średniej w lipcu i na początku sierpnia" – alarmowała Światowa Agencja Meteorologiczna (WMO) na początku września. WMO bacznie przygląda się południowo-wschodniej Afryce. „Susza i upały mogą zmniejszyć wydajność rolnictwa i zwiększyć stres wodny w regionach południowych, a nadmierne opady deszczu mogą prowadzić do powodzi, szkód w uprawach i zanieczyszczenia wody" – czytamy w specjalnym komunikacie agencji, wydanym dla regionu.

WMO zobowiązała się do największej w 76-letniej historii mobilizacji, by wesprzeć służby meteo w poszczególnych krajach.

Konsekwencje

Hausfather także pokusił się o wskazanie, gdzie i komu El Niño da się najbardziej we znaki. A ponieważ jest to zespół zjawisk, w różnych miejscach na świecie będzie miało to różne konsekwencje (wiele zależy od lokalnych warunków, pory roku na danym obszarze etc.).

W Rogu Afryki klimatolog prognozuje ulewne deszcze i powodzie na przełomie listopada i grudnia. Na południu Afryki z kolei suszę i marne plony, co może wywołać głód.

> El Niño w sezonie 2026-2027 **zapowiada się jako najsilniejsze w historii pomiarów.** Woda w określonym regionie Pacyfiku będzie cieplejsza o 3-4 stopnie.

W Kalifornii i na północy Meksyku spadną ulewne deszcze, a Amazonię czeka głęboka susza (mogą także wybuchnąć pożary). Na północy Kanady i w Górach Skalistych zima będzie sucha i spadnie w tym roku mało śniegu. Suszą i pożarami zagrożona jest także południowo-wschodnia Australia.

Organizacja Narodów Zjednoczonych alarmuje: „Po przeanalizowaniu 45 krajów, które już uznano za dotknięte niedoborem bezpieczeństwa żywnościowego – i w których zjawisko El Niño będzie miało znaczący wpływ na opady deszczu, temperatury, powodzie i susze – Światowy Program Żywnościowy (WFP) przewiduje, że łączna liczba osób dotkniętych poważnym niedoborem bezpieczeństwa żywnościowego wzrośnie z 225 milionów do 274 mln, co stanowi wzrost o około 22 proc.".

Uczeni z Climate Impact Lab przy Uniwersytecie w Chicago poszli krok dalej i przedstawili analizę, z której wynika, że z powodu upałów wywołanych przez obecne El Niño w pierwszych sześciu miesiącach (od września 2026 do lutego 2027) życie może stracić nawet 451 tys. osób.

W pierwszej piątce państw, w których zagrożona jest największa liczba ludzkich istnień, znalazły się Nigeria, Indonezja, Sudan, Indie i Brazylia. W pierwszym z tych krajów zagrożonych jest ok. 30 tys. osób, a w tym ostatnim ok. 13 tys.

Uczeni podkreślają, że opublikowali te upiorne statystyki (nazwali swoją prognozę „pocztówką z przyszłości", która będzie jeszcze gorętsza z powodu globalnego ocieplenia), żeby dać czas na przygotowanie się organizacjom humanitarnym, ale przede wszystkim rządom tych państw.

W chicagowskiej prognozie na 19. miejscu znalazły się Stany Zjednoczone, gdzie z powodu upałów zagrożonych jest około 3,5 tys. osób. Na liście 50 krajów jest tylko jedno państwo członkowskie Unii Europejskiej – na 49. miejscu znalazły się Włochy (zagrożonych jest 780 osób).

Jak wskazuje UNICEF, inna agencja ONZ, na skutki tegorocznego El Niño – na różne sposoby – narażonych zostanie prawie 350 mln dzieci w 100 krajach. „Dla dzieci El Niño to znacznie więcej niż tylko zjawisko pogodowe. Może ono oznaczać wzrost liczby osób przesiedlonych, niedożywienie, niedobory wody, i epidemie chorób. Dzieci są również narażone na zamknięcie szkół, a rodziny mogą doświadczyć dodatkowych trudności finansowych" – powiedziała dyrektor wykonawcza UNICEF-u Catherine Russell.

Katastrofy

W Indonezji El Niño już wywołało dramatyczne pożary lasów. Wskazuje na to zarówno analiza Hausfathera, jak i prof. Szymon Malinowski, fizyk atmosfery z Uniwersytetu Warszawskiego, z którym rozmawialiśmy o tegorocznej Godzilli pogodowej.

– Silne El Niño będzie występowało coraz częściej, co związane jest przede wszystkim ze wzrostem globalnego ocieplenia, które zmienia wiele różnych procesów, które zachodzą w atmosferze i oceanie – mówi „Tygodnikowi" prof. Malinowski.

Polski naukowiec na przełomie 2025 i 2026 roku żeglował przez ok. trzy miesiące po Pacyfiku: od Panamy do Wysp Galapagos. Dotarł także do Wyspy Wielkanocnej (Rapa Nui), łącznie pokonał około 3 tys. mil morskich.

– Susza, pożary, ulewy czy powodzie to skutki pośrednie El Niño. Do bezpośrednich należy zaliczyć spadek liczby ryb w Pacyfiku, co wpłynie na przyrodę, ale też na połowy rybaków. Miejsca, w których żeglowałem, w zasadzie giną. Proszę sobie tylko wyobrazić wodę cieplejszą o 7 st. C od standardowej temperatury. Dla ryb, koralowców, fok albo ptaków wodnych to istne załamanie łańcucha pokarmowego – obrazuje uczony.

W tej sprawie specjalny komunikat wydała Fundacja im. Karola Darwina, która prowadzi badania na Galapagos: „Jednym z najpoważniejszych skutków El Niño jest to, że zwierzęta mogą po prostu przestać się rozmnażać. Gdy brakuje pożywienia, gatunek przeznacza więcej

energii na przetrwanie. Osobniki mogą porzucać gniazda, zaprzestać kopulacji lub wydawać na świat mniej potomstwa" – czytamy w nim. María José Barragán, dyrektor naukowa Fundacji Karola Darwina dodaje w nim także, że niektóre gatunki mogą utracić odpowiednie tereny lęgowe. Zmiana roślinności albo ulewne deszcze przekształcają np. miejsca gniazdowania ptaków.

Co ciekawe, Galapagos, a konkretnie tamtejsze koralowce, są w pewnym sensie biologiczną biblioteką przechowującą zapisy o El Niño. Badając wapienne przyrosty na koralowcach z pacyficznego archipelagu położonego blisko równika, uczeni odtworzyli temperatury Oceanu Spokojnego z około tysiąca lat wstecz. Wnioski? Na łamach „Science" badacze napisali, że „współczesne ENSO jest o około 36,5 proc. silniejsze niż w epoce przedprzemysłowej, oraz o 16,2 proc. silniejsze niż w XX w.".

Na pogodę w Europie ENSO będzie miało wpływ pośrednio. A co najbardziej niepokoi prof. Malinowskiego w kontekście Polski?

– W przyszłym roku globalne ocieplenie może przekroczyć 1,7 st. Celsjusza w stosunku do epoki przedprzemysłowej, a w kolejnej dekadzie prawdopodobnie przekroczymy 2 st. – wskazuje uczony. I utyskuje na polityków oraz dziennikarzy, którzy w znacznej mierze odpuścili debatę na temat kryzysu klimatycznego, która kilka tygodni temu odbyła się w Sejmie. – Mieliśmy rekordowo upalne lato [28 czerwca w Słubicach termometry zanotowały 40,5 st. C. – red.], woda w rzekach jest na niespotykanie niskim poziomie, pola uprawne są przesuszone... – wymienia naukowiec na koniec rozmowy z „Tygodnikiem".

Potwory

Kiedy potworo-pochodny pseudonim dla El Niño, ukuty przez Patzerta, na dobre przyjął się w medialnym obiegu, we wrześniu 2015 r. wyszedł numer magazynu popularno-naukowego „Spheres" z anegdotą, która dodaje Godzilli tylko rumieńców.

Czasopismo wydaje CIRES (ang. *Cooperative Institute for Research in Environmental Sciences*), który jest naukowym dzieckiem wspomnianej wcześniej NOAA, najważniejszej obecnie amerykańskiej agencji federalnej zajmującej się oceanem i pogodą, oraz Uniwersytetu Kolorado w Boulder, a więc jednej z najważniejszych amerykańskich uczelni zajmujących się klimatem i pogodą.

Klaus Wolter, badacz z CIRES na łamach tamtego numeru pisma pokazał zdjęcia satelitarne temperatury powierzchni morza we wschodniej części równikowego Pacyfiku z 1998 r. oraz 2015 r. – To był Godzilla – powiedział Wolter, wskazując na twarz potwora, która rysowała się na pierwszym obrazku. Następnie wskazał na drugi obrazek i dodał: – Dzisiaj bardziej przypomina spinozaura [„kolczastego jaszczura" – red.].

Jeszcze nie wiemy, jaką dokładnie maskę włoży tegoroczne El Niño. Alarm, który podnoszą uczeni i media, ma służyć jednak przede wszystkim temu, by świat przygotował się na każdą możliwą wersję.

– El Niño na naszych oczach przybiera rozmiar XXL (ang. *supersize*). Nauka nie pozostawia żadnych wątpliwości: nasza planeta znalazła się na nieznanych wodach, a wody te się ocieplają – powiedział António Guterres, sekretarz generalny ONZ na początku września.

Słówko „supersize", którego użył Guterres, robiło karierę prawie dwie dekady temu, gdy popularność zdobywał dokument „Super Size Me". Morgan Spurlock, reżyser i główny bohater przez miesiąc żywił się wyłącznie produktami z McDonald's (potem przyznał, że obficie popijał w tym okresie alkohol). Kierował się zasadą, że jeśli obsługa zapyta go, czy chce zestaw powiększony do absurdalnego wręcz rozmiaru (stąd „supersize", czyli nasze XXL), to go zamówi. Nie będzie dziś już chyba dla nikogo spoilerem, jeśli napiszemy, że żywiąc się wyłącznie fast-foodem Spurlock znacznie przytył (około 11 kg) i gorzej się czuł psychicznie. Jego dokument stał się symbolem tego, jak niezbyt nachalnie i niekiedy podprogowo globalne korporacje popychają nas do coraz większego konsumpcjonizmu.

Czy do tego nawiązać chciał Guterres, zwracając uwagę na „supersize problem"? Nie wiemy. Trudno jednak nie zauważyć, że konsumpcja (paliw, dóbr etc.) napompowała to, z czym obecnie zmagamy się przede wszystkim, czyli antropogeniczne globalne ocieplenie w wersji XXL.

A nadchodząca Godzilla przysporzy z nim więcej kłopotów.

© ALEKSANDER GURGUL

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Maria z Morstinów Orkiszowa Murka

ur. 7.02.1941 w Raciborsku, zm. 23.10.2026 w Krakowie

Otoczona modlitwą bliskich odeszła do Pana.

Pełna dobroci, głębokiej wiary,
miłości i szacunku do każdego człowieka.

Całe życie poświęciła bliskim i potrzebującym.

Założycielka szkół i wspólnot dla osób niepełnosprawnych
i ich rodzin, dama Orderu Uśmiechu, instruktorka harcerska,
neuropsycholog, romanistka, żona, matka i babcia.

Ziarno dobra, które posiała, wciąż będzie wzrastać.

Pogrzeb odbył się 29.10.2026
na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie

RODZINA

W ramach upamiętnienia Zmarłej prosimy o wsparcie
Stowarzyszenia „Ognisko": 28 1240 1431 1111 0000 1045 1072

HISTORIA

NIECH ŻYJE CESARZ!

220 lat temu, w listopadzie 1806 r., zwycięski wódz Francuzów wjechał do Poznania. Napoleońska epopeja Polaków wkraczała w fazę decydującą. Przypomnijmy historię tamtych nadziei.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Wszystko zaczęło się latem roku 1806. I jak często w dziejach, pycha kroczyła przed upadkiem. Tutaj: upadkiem Prus. Tych, które kilkanaście lat wcześniej dobiły – wraz z Rosją i Austrią – Rzeczpospolitą, do swego zaboru zagarniając nie tylko Poznań, ale też Warszawę.

Pruska armia, owiana sławą XVIII-wiecznych triumfów Fryderyka Wielkiego, miała się wtedy za niezwyciężoną. Gdy kolejny następca legendarnego króla i wodza, 36-letni Fryderyk Wilhelm III, w sierpniu 1806 r. wypowiedział wojnę Francji, wiara pruskich oficerów w rychłą glorię wyraziła się butnym ostrzeniem szabel o stopnie schodów francuskiej ambasady w Berlinie.

Tymczasem Napoleon Bonaparte, od niespełna dwóch lat cesarz Francuzów, sięgnął po pióro i napisał list do pruskiego monarchy. Ostrzegał: „Całość sił Twoich nie wystarczy, by zbyt długo powstrzymywać mnie przed zwycięstwem! (...) Sire, Wasza Wysokość zostanie pokonany!".

KLĘSKA PRUS | Do walnego starcia doszło 14 października 1806 r. w dwóch bitwach, pod Jeną i Auerstädt, stoczonych tego samego dnia. Pogrom pruskiej armii był druzgocący. W konfrontacji z nowoczesnym dowodzeniem i obywatelskim charakterem armii francuskiej okazała się dramatycznie przestarzała. Między oficerami a żołnierzami wciąż panowały w niej relacje feudalne, doktryny pochodziły sprzed półwiecza.

Francuzi zaczęli pościg, zajmowali kolejne miasta. Pruski król ukrył się w twierdzy w Magdeburgu i chciał stawić opór, ale mu to odradzono. Uciekł do twierdzy w Kostrzyniu nad Odrą. Stąd, na wieść o zajęciu Berlina, aż do Królewca. Postawą swych wojsk był oburzony: załogi twierdz poddawały się bez walki, nawet gdy miały przewagę. W Magdeburgu marszałek Ney kazał szybciej odbierać broń kapitulującym, bo tych było dwukrotnie więcej.

Wobec rozgromienia armii (jej niewielkie siły zachowały się jeszcze w Prusach Wschodnich), Fryderyk Wilhelm mógł liczyć już tylko na sojusznika: cara Aleksandra I. „To było straszne! – wspominał dni klęski ówczesny major August von Gneisenau (później feldmarszałek). – Lepiej tysiąc razy umrzeć, niż przeżyć to jeszcze raz!".

IDĄ ZWYCIĘZCY | Francuska kawaleria wjechała do Berlina 24 października. Poprzedzała korpus marszałka Davouta, który dotarł następnego dnia. Berlińczyków, nawykłych do wojskowych parad, do „pudrowanych loków i sztywnych harcapów", zadziwił widok zwycięzców. Wedle relacji świadka pierwszy Francuz, jakiego ów ujrzał, ubrany był w „ziemistego koloru krótki płaszcz", na głowie miał „zwietrzały kapelusz", nasadzony krzywo. „Nogawki były z brudnego lnu, mocno podarte, na nagich stopach tkwiły podarte buty".

Idąc, wojak ten posilał się chlebem i dzielił się nim z kosmatym pudlem, prowadzonym na smyczy. Wrażenie osobliwości dopełniał nabity na bagnet bochenek chleba, przytroczona u pałasza gęś i blaszana łyżka na kapeluszu (w miejscu, gdzie powinna widnieć oznaka pułku).

Dalej postępował oddział saperów. Budzili strach: wysocy, „jeszcze wyżsi przez swoje wielkie niedźwiedzie czapy z czerwonymi piórami, brązowi na twarzy, z długimi, sięgającymi brzucha czarnymi brodami, ze śnieżnobiałymi fartuchami, z błyskającymi na ramionach siekierami". Na koniec ukazali się „żołnierze maszerujący nieskoordynowanym krokiem, w nieporządnych mundurach, w kapeluszach nasadzonych wzdłuż i w poprzek, w których rzadko brakowało łyżki jako dekoracji".

NOWY HEGEMON | Tymczasem Napoleon zatrzymał się w Poczdamie, w pałacu Sanssouci, wzniesionym pół wieku wcześniej. Odwiedził tam grób Fryderyka Wielkiego, którego geniusz wojenny podziwiał. Zabrał z Poczdamu jego szpadę oraz szarfę i wstęgę Orderu Orła Czarnego, najwyższego pruskiego odznaczenia. Był to gest symboliczny: podkreślał dominującą teraz pozycję Francji w Europie, z jej cesarzem w roli hegemona.

Z Poczdamu przeniósł swą kwaterę do pałacu w Charlottenburgu, aby 27 października uroczyście wjechać do Berlina przez Bramę Brandenburską. Zamieszkał w Zamku (Berliner Stadtschloss), w komnatach króla. Berlińczycy znów się dziwili: świta cesarska wystrojona była w obszyte złotem mundury, a sam wódz nosił zwykły frak i swój tradycyjny kapelusz.

Podczas kolejnych dni w Berlinie odbywały się wojskowe parady. Uczestnikiem jednej z nich był wzięty do niewoli pru-



MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Zanim do Poznania wkroczył Napoleon, do miasta przybył gen. Jan Henryk Dąbrowski, z zadaniem formowania polskiej armii. Tak jego przybycie sportretował Jan Gładysz na obrazie z ok. 1809 r.

ski pułk, którego oficerowie niedawno ostrzyli szable o schody ambasady Francji. Prowadzone pertraktacje omal nie doprowadziły do rozejmu, ale Fryderyk Wilhelm, mimo początkowej zgody, odrzucił go za namową ministrów. Uważali oni, że należy kontynuować walkę u boku Rosji.

APEL DO POLAKÓW | Zanim jeszcze wjechał do Berlina, Napoleon wezwał generała Jana Henryka Dąbrowskiego, weterana Legionów z walk we Włoszech. Cesarz przewidywał, że wkrótce przyjdzie mu walczyć na ziemiach polskich, rozdartych przez zaborców. Chciał pozyskać Polaków, militarnie i politycznie. Tworzeniem polskich wojsk miał zająć się Dąbrowski, a administracją Józef Wybicki, także weteran kampanii włoskiej (i autor pieśni, która dziś jest naszym hymnem).

W trakcie rozmowy Napoleon rzekł (Wybicki zapisał to w pamiętniku), „że mu wypada ścigać nieprzyjaciela przez Polskę. Że on ten kraj rozszarpany i zatracony chce wskrzesić; ale że mu trzeba wiedzieć, czy wojsko w nim znajdzie wygody i żywność". Wybicki odparł, że jako zwycięzca cesarz będzie mógł wszystko nakazać, ale jeśli wskrzesi Polskę, to wtedy Polacy sami mu wszystko bez nakazów ofiarują.

Po tych słowach Napoleon zlecił Wybickiemu napisanie proklamacji zapowiadającej wkroczenie jego armii do Polski. Ten zadanie wykonał. W tekście zacytował Napoleona, iż ten zjawi się wkrótce w Poznaniu i tam jego „pierwsze zawiążą się wyobrażenia", czy Polacy godni są być narodem. Proklamację wydrukowano 3 listopada, po polsku i francusku. Tego dnia Dąbrowski i Wybicki otrzymali rozkaz wyjazdu do Poznania, natychmiastowego.

PIERWSZE REAKCJE | Świadkiem przybycia Napoleona do Berlina był 18-letni Dezydery Chłapowski. Późniejszy generał i uczestnik kolejnych polskich powstań, z woli ojca służył wtedy w pruskich dragonach, ale uzyskał zwolnienie z udziału w wojnie z Francją (wtedy było to możliwe). Zaraz potem ruszył konno do Poznania, by zawieźć radosną wieść.

Gdy dotarł do miasta, będącego wciąż pod kontrolą armii pruskiej, dyżurny oficer chciał go strofować za rozsiewanie fałszywych wiadomości. Gdy zaś ten mu rzekł, iż widział Francuzów w Berlinie, zapytał: „*Was? Wirkliche Franzosen?*" (Co? Prawdziwi Francuzi?). „Na drugi dzień już wszyscy wojskowi pruscy z Poznania znikli" – podano w „Pamiętnikach" Chłapowskiego.

3 listopada francuska kawaleria zajęła Poznań. Za nią przybyli Dąbrowski i Wybicki. Pod miastem wyprzęgnięto konie z ich powozu i „wielu dystyngowanych obywateli – zapisze Wybicki – ciągnęło powóz aż na Stary Rynek". W tle entuzjazmu Wybicki zauważył coś, co go zaniepokoiło: „w niektórych powątpiewanie i bojaźń", w innych zaś „przez patryotyczną powierzchowność" przebijało się „przywiązanie do rządu pruskiego". Gdy oświadczył, że będzie zwalniać pruskich urzędników i nominować Polaków, niewielu było chętnych.

OBIETNICA CESARZA | Tymczasem Dąbrowski, odpowiedzialny za armię, zarządził formowanie czterech regimentów piechoty i regimentu kawalerii, na koszt prowincji. ↦

↦ 16 listopada do Berlina ruszyła deputacja dobrana z grona wielkopolskiej arystokracji. Pamiętnikarka Wirydianna Fiszerowa, bystra obserwatorka, bardzo miejscami krytyczna, pisze, że była ona „złożoną ze wszystkich naszych karierowiczów, przypisujących sobie talenty wymagane dla wysokich stanowisk i pragnących zdobyć sobie do nich prawo". Dodaje, że jej mąż Stanisław, były adiutant Kościuszki, został do niej włączony, choć o to nie zabiegał.

Napoleon przyjął Fiszera na osobnej audiencji. Wypytywał o realia w Polsce, chcąc skonfrontować swoją wiedzę, pochodzącą z dzieła Claude'a de Rulhière „Historia anarchii polskiej". Na spotkaniu z deputacją, odbytym następnego dnia, cesarz wypowiedział się w ostrym tonie o zgubnych skutkach polskich waśni. Zalecał, aby teraz działać zgodnie.

Napoleon zakończył przemówienie obietnicą, że jeśli Polacy wystawią 40-tysięczne wojsko, które będzie walczyć u jego boku, ogłosi przywrócenie im ojczyzny. Przemówienia tego zakazał jednak drukować. „Nie nauczyliśmy się jeszcze podawać w wątpliwość jego słów – zapisze Fiszerowa – i sam Bóg, przemawiając ze szczytu góry Synaj, nie wzbudziłby w nas pełniejszego zaufania".

POZNAŃ I WARSZAWA | Aby powitać „zemściciela" i „stwórcę" – jak nazwano Napoleona we wspomnianej proklamacji – uformowano oddział gwardii honorowej, która miała eskortować go od granicy Wielkopolski do Poznania. W mieście zaplanowano liczne uroczystości. Jedną z miejskich bram ozdobił łaciński napis: „Umilkła ziemia na widok jego".

Przyjazd cesarza 27 listopada opóźnił się. Padał deszcz. Wjazd do miasta nastąpił dopiero wieczorem i planowanej radości nie zdołano hucznie okazać. Wyrażono ją za to w „Gazecie Poznańskiej", pisząc, że „Wielki, Niezwyciężony Napoleon stanął na naszej ziemi, aby nam znowu istnieć kazał (...). Otworzyły się groby naszych najeźdźców, nam dni powstania przeznaczone zostały. Dzień ten wielki, dzień, od którego lata egzystencji naszej rachować będziem".

W tym czasie marszałek Murat, zapalony kawalerzysta, galopował już na czele swojej konnicy ku Warszawie, do której wjechał 28 listopada. Tuż przed-



MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

W lipcu 1807 r. Napoleon nadał konstytucję Księstwu Warszawskiemu. Znosiła poddaństwo chłopów i wprowadzała równość obywateli wobec prawa. Tak ten moment wyobrażał sobie Marcello Bacciarelli na obrazie z 1811 r.

tem, na wieść o jego postępach, Prusacy wycofali się na drugą stronę Wisły, gdzie obozowały wojska rosyjskie. W stolicy podjęto przygotowania na powitanie cesarza. Ten jednak przybył dopiero 19 grudnia, na długo przed świtem. Konno, bo powozy ze świtą ugrzęzły po drodze.

Wieczorem tego dnia Napoleon spotkał się z polską reprezentacją. Pamiętnikarka Anna Potocka-Wąsowiczowa zanotowała, że cesarz nie powiedział nic, co mogłoby dać pewność, iż Polska odrodzi się jako państwo. Jedynie „napadł gwałtownie na polskich magnatów, którzy jego zdaniem nie okazywali wystarczającej gorliwości i patriotyzmu. – Trzeba – zawołał – poświęcenia, ofiar, krwi! Bez nich będziecie zawsze niczym".

SPRAWA POLSKA | Mimo tak ogólnikowych zapowiedzi Napoleona (albo, jeśli już konkretnych, to składanych niepublicznie), Polacy trzymali się nadziei i organizowali armię, nie szczędząc ofiar materialnych. Bywało, że darczyńcy, gdy nie starczało im pieniędzy, oddawali do państwowej mennicy zastawy stołowe z metali szlachetnych.

Formowanie kolejnych polskich jednostek postępowało sprawnie. Już wkrótce pierwsze nowo sformowane oddziały brały udział w walkach, m.in. o zdobycie twierdz we Wrocławiu i Gdańsku. Choć formalnie nie istniało, państwo się odradzało – drogą faktów dokonanych.

Rzecz w tym, że w planie Napoleona „sprawa polska" miała dla niego znaczenie użytkowe. Zachęcał Polaków do działania, bo potrzebował polskiej armii, która wzmocni jego siłę zbrojną (w tym momencie już mocno wielonarodową). Potrzebował też ziem polskich jako logistycznego zaplecza. Owszem, dążył do zniszczenia pruskiej monarchii, lecz chwilowo nie chciał drażnić cara restytucją Polski jako królestwa.

W optyce Napoleona z lat 1806-1807 jego głównym wrogiem była Anglia. Dlatego, gdy idzie o Rosję, zależało mu na porozumieniu z carem w kwestii podziału stref wpływów w Europie, by mógł rozprawić się z Albionem. Wszak Anglicy uparcie podważali jego hegemonię, knuli nowe koalicje antyfrancuskie.

KSIĘSTWO I LEGENDA | Wirydianna Fiszerowa skonstatuje po latach gorzko, że w opisanym czasie przyszłością Polski „zatrudniała się (...) tylko nasza bujna wyobraźnia, wyznaczając jej granice na Dnieprze, wzdłuż Morza Czarnego, na Łabie, a co najmniej na Odrze i wzdłuż Morza Bałtyckiego".

Taka refleksja przyjdzie jednak później. Wtedy, na przełomie lat 1806/1807, dominuje nadzieja, że Napoleon przywróci Polakom ojczyznę. Choćby tylko – jak się okaże – pod postacią nie królestwa, ale księstwa, Księstwa Warszawskiego.

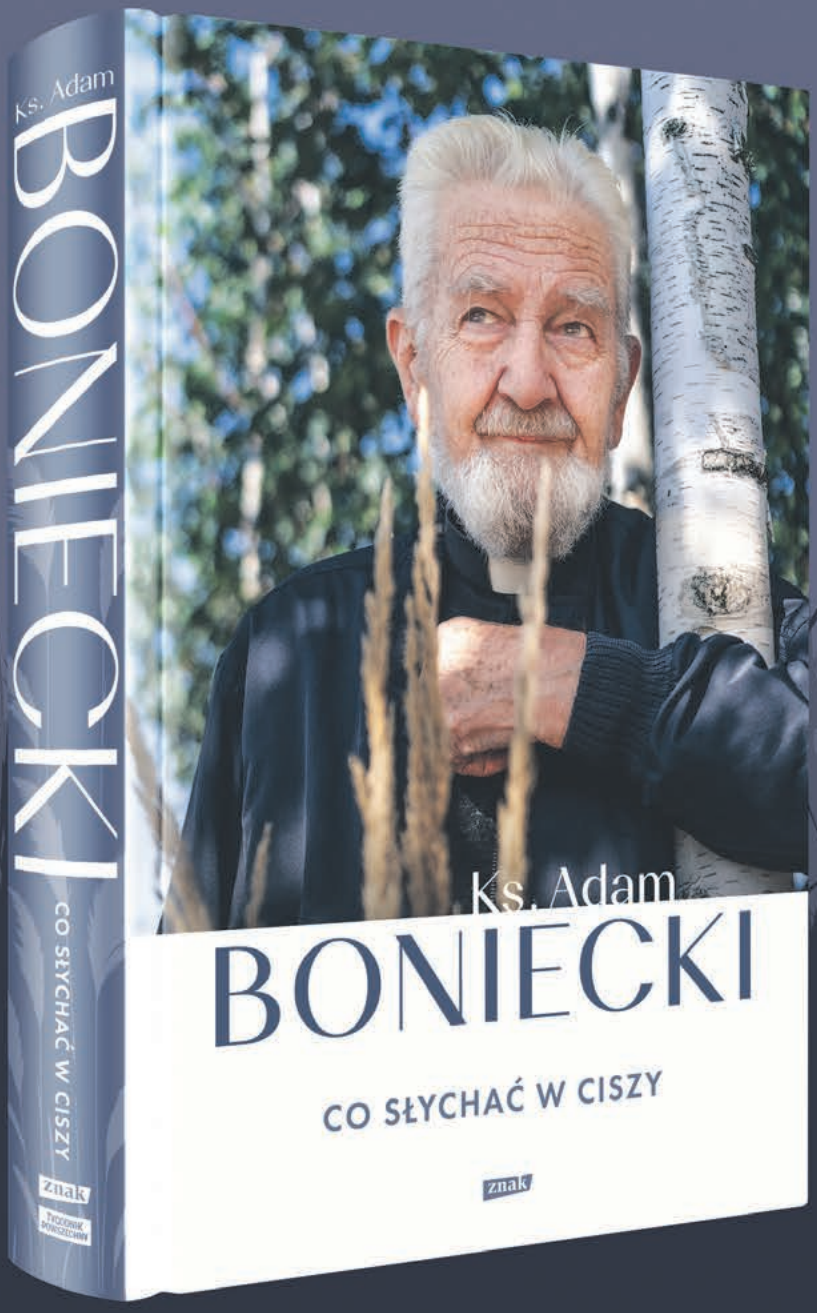
Poczekać na nie przyjdzie jeszcze pół roku: stanie się to w lipcu 1807 r., gdy – na mocy pokoju, który cesarz Francuzów i car Rosji podpiszą w Tylży – powstanie niepodległe Księstwo Warszawskie, wyłonione tylko z ziem niedawnego zaboru pruskiego.

Rozczarowania przyjdą później. Na razie, jesienią 1806 r., rodzi się namiastka niepodległości. A także polska legenda Napoleona. Ale to już osobna opowieść.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Korzystałem m.in. z: B. Lipka „Francuzi w Berlinie (1806-1808)" (napoleon.org.pl); A. Zahorski „Napoleon"; C. Clark „Prusy. Powstanie i upadek 1600-1947"; „Prusy w dobie kształtowania się kapitalizmu (1806-1871)", praca zbiorowa.

Potrzebujesz oddechu, dystansu i mądrego przewodnictwa w codziennej gonitwie myśli?



Dla wierzących, wątpiących i pragnących zachować nadzieję

znak TYGODNIK POWSZECHNY

REKLAMA

KULTURA

MÉLISSA I RUMIANEK

W ciągu niespełna siedmiu lat sprzedała pięć milionów książek, zajmując stałe miejsce w sercach czytelników. Na czym polega fenomen Mélissy Da Costy?

DOROTA MALINA

Są we Francji ludzie, którzy czytają Prousta, Pereca i długą listę Goncourtów, intelektualiści, którzy toczą wyrafinowane spory na łamach czasopism literackich i falach rozgłośni kulturalnych. To o takich książkach i takich krytykach myślimy, zazdroszcząc Francuzom żyznego pola literackiego i wysokiego poziomu debaty. Ale we Francji są też ludzie, którzy czytają „le feel good". I tych drugich jest znacznie, znacznie więcej.

Królową francuskiej literatury ku pokrzepieniu serc jest Mélissa Da Costa – liderka rankingów i autorka książek tak poczytnych, że nie ma we Francji biblioteki, poczekalni czy budki bookcrossingu bez choćby jednej Da Costy. Prawie pięć milionów sprzedanych egzemplarzy, dwa lata na szczycie listy bestsellerów (2023 i 2024), gdzie nadal utrzymuje się wysoko, tłumaczenia na wiele języków.

Krytycy wielkiej literatury kręcą nosem, ale Francuzi, a raczej Francuzki, nic sobie z tego nie robią – na Mélissę głosują sercem i portfelem. Na targach książki zjawiają się dla niej tak tłumnie, że nieraz trzeba przesuwać stolik, przy którym wielki pisarz podpisuje swoje postmodernistyczne dzieło, żeby zrobić miejsce na kolejkę dla fanek Da Costy.

Mélissa Da Costa jest podręcznikowym przykładem pisarki z niskim kapitałem symbolicznym – nikt nie snobuje się na Da Costę, a młodzieńcy w metrze podrywają głównie na Zolę i Balzaca – za to z ogromnym kapitałem społecznej sympatii. A ta, w przeciwieństwie do prestiżu *à la* Bourdieu, przekłada się na pieniądze. Autorka funkcjonuje w lukratywnym, ale pogardzanym przez intelektualistów emocjonalnym obiegu literackim, gdzie bardziej od wyrafinowanego stylu liczą się wzruszenia.

Czytelnicy kochają jej debiut, „Cały ten błękit" (2020, polskie wydanie 2025 r.) i bronią go jak niepodległości. Tych, którzy myślą, że spór wokół „Lalki" był zażarty, odsyłam pod zwiastun telewizyjnej adaptacji tej powieści na YouTubie, gdzie czytelnicy wyrażają głębokie rozczarowanie: książka jest „przeszywająca", „głęboka", „piękna" i „delikatna". A film? „Totalna klapa". „Zupełnie nie odnajduję w nim ducha książki: łagodności, kontemplacji, ogromnej subtelności i złożoności, poezji". W powieści wielu widzi też „światło, które oświetla zakątki duszy i ogrzewa serce" – to jedna z dziesiątek tysięcy recenzji w księgarni internetowej (większość właśnie w tym tonie).

Za co więc fani kochają tak Mélissę Da Costę?

Z sąsiedztwa

W podbijaniu czytelniczych serc bardzo pomaga jej wizerunek „dziewczyny z sąsiedztwa": córka portugalskich imigrantów, która wspięła się na szczyty, omijając paryskie salony i hermetyczny światek wydawniczy. W wywiadach autorka przedstawia się jako antyteza burżuazyjnej pisarki z bulwaru Saint-Germain, zwykła dziewczyna bez koneksji, za to z pasją do pisania i determinacją do opowiadania historii (u nas podobną historię opowiada o sobie Remigiusz Mróz).

Mélissa Da Costa urodziła się w 1990 r. na burgundzkiej wsi, co już nabija jej punkty (najgorzej urodzić się w Paryżu, no chyba że na przedmieściach). Ojciec był budowlańcem, matka przedszkolanką (kolejne punkty – ludzie pracy, a nie elity i rentierzy), a mała Mélissa od siódmego roku życia – pisarką. Jako wzorowa uczennica została skierowana na kursy przygotowujące do prestiżowych szkół. Czuła się tam bardzo źle, bo nie znała kodów i konwenansów lyońskiej burżuazji, więc zrezygnowała i zamiast do kuźni elit poszła na uniwersytet (w systemie francuskim *grandes écoles* są wyżej).

Oczywiście dziecko imigrantów musi mieć fach w ręku, więc studiowała ekonomię i zarządzanie, a nie literaturę. Zresztą, jak sama mówi, nie lubi czytać „staroci" (przy takim rytmie wydawniczym pewnie i tak nie ma na nie czasu). Po studiach pracowała jako specjalistka do spraw komunikacji w urzędzie miasta. Zrobiła też kursy aromaterapii, naturopatii i sofrologii (bardzo popularna we Francji i nieco ezoteryczna technika relaksacyjna). Przytaczam te fakty, bo wiedzę ze wszystkich tych dziedzin, od administracji po zielarstwo, autorka wtłoczyła w swój debiut.

A debiutowała w tak zwanym self-publishingu – nawet nie próbowała wysyłać żadnego z czterech gotowych maszynopisów do wydawnictw, bo, jak twierdzi, po pierwsze, nie miała znajomości, a po drugie, nie miała pieniędzy na wydruki i znaczki. Zachęcona pochwałami bliskich zamieściła więc książkę na platformie Amazon. Długo nic. Potem



WALDEMAR KOMPAŁA / TVP / EAST NEWS

Mélissa Da Costa, 2026 r.

na francuskiej platformie monbestseller.com. I to tam książka „Cały ten błękit" szybko zyskała popularność – siła marketingu szeptanego była tak duża, że do autorki zgłosiło się tradycyjne wydawnictwo Carnets Nord, wydało książkę w papierze. Niestety, rok później zbankrutowało, a kurę znoszącą złote jajka przejął gigant Albin Michel.

Mélisso, pożyj

Mélissa Da Costa wydała już dziewięć książek i choć żadna nie przebiła debiutu (we Francji ponad 1,5 mln egzemplarzy, w Polsce ponad 100 tys., tłumaczenia na wiele języków, adaptacja filmowa, komiksowa i teatralna), autorka ma zarezerwowane miejsce na listach bestsellerów. I w sercach wiernych czytelników.

Nadal jest bardzo skromna – mieszka w zalesionej Vallée de la Chevreuse z mężem i dwójką synów, a na pytanie o największe przyjemności odpowiada: kawa i kostka czekolady. Chętnie mówi też, że po rodzicach odziedziczyła pracowitość (pisze codziennie, wydaje minimum jedną książkę rocznie) i oszczędność (nawet księgowa mówi jej: „Mélisso, pożyj trochę!").

Na spotkaniach autorskich do książek zawsze wpisuje gotową formułkę, bo czytelników jest za dużo na spersonalizowane dedykacje. A przecież, jak mówi, najważniejsze jest się spotkać i patrzeć sobie w oczy. Da Costa niewątpliwie ma urok osobisty i ujmujący uśmiech. Na Instagramie pozuje przy szeroko otwartych oknach, wśród zieleni, w kwiecistych sukienkach. Są filiżanki herbaty i domowe ciasteczka. Miło i przytulnie, zupełnie jak w jej książkach.

Dlatego tym, co zaraz napiszę, pewnie narobię sobie wrogów. Mimo to zaryzykuję, bo czasu, który zajęło mi przebrnięcie przez tysiące stron jej książek, nikt mi nie zwróci. Czy żałuję?

Nikt tak nie mówi

Zacznijmy od debiutanckiego „Błękitu". Historia jest prosta (uwaga, będą spojlery, choć aluzje w tekście są tak dobitne, że właściwie od początku wiadomo, co się stanie): dwudziestosześcioletni Émile dowiaduje się, że cierpi na wczesnego Alzheimera i zostały mu co najwyżej dwa lata życia, podczas których stopniowo będzie tracił pamięć. Zamiast uczestniczyć w eksperymentach medycznych i czeznąć w szpitalu, postanawia wyruszyć w podróż kamperem.

Zamieszcza w internecie ogłoszenie, że szuka towarzysza podróży. Odpowiada na nie Joanne – cicha, ubrana na czarno kobieta. Razem ruszają w Pireneje i podczas długiej podróży leczą rany (Émile'a jeszcze przed diagnozą zostawiła dziewczyna, Joanne straciła synka) i, jak nietrudno się domyślić, zakochują się w sobie. Wątek podróży przeplatany jest retrospektywami z życia dwójki bohaterów. Zakończenie jest smutne (Émile umiera), ale daje nadzieję (Joanne nosi jego dziecko).

Sentymentalna powieść nosi wszelkie cechy publikacji własnej. Przypuszczam, ↦

↦ że wydawnictwo, które ją kupiło, nie miało odwagi za bardzo ingerować w tekst, który święcił triumfy w sieci. Książka jest o wiele za długa, pełna powtórzeń, zarówno fabularnych, jak i językowych. Momentami miałam wrażenie, że czytam kronikę ze szkolnej wycieczki, w której skrupulatnie opisane są wszystkie nudne szczegóły kamperowego życia, każdziuteńka kolacja (Émile makaron, Joanne nic albo warzywa, bo wiadomo – żałoba odbiera apetyt) i wszystkie napotkane po drodze wioseczki. *Chapeau bas* dla polskiego tłumacza (Łukasz Müller), bo po francusku nieustannie powtarzają się te same słowa.

Przewodnikowo-poetyckie opisy przeplatane są dialogami z gatunku, który na własny użytek nazywam NTNM (nikt tak nie mówi): „Przepraszam, nie opanowałem wszystkich subtelności medytacji" – sumituje się Émile. Fragmenty zaczerpnięte wprost z poradników rozwoju osobistego mieszają się z dziwnie archaicznymi wspomnieniami z dzieciństwa Joanne, nazywanej w wiosce „córką dziwki i wiejskiego prostaka" (w oryginale jest jeszcze mocniej, *fille de putain*). A, przypominam, akcja rozgrywa się w XXI wieku.

Kiedy już monotonię podróży (opisaną przez narratora, a potem powtórzoną w listach Émile'a do domu) przerywa jakaś bardziej pikantna czy dramatyczna scena, jest jeszcze gorzej. Sceny stosunku, odbywanego w medytacyjnym skupieniu, zasługują na Bad Sex Award („Nigdy nie poświęcił czasu, żeby poczuć symbiozę między ciałami, obieg energii, komplementarną naturę płci, niemal uniwersalny język, którym się posługiwali"). Opis śmierci Émile'a w górskiej chacie podczas burzy jest tak zły, że aż śmieszny.

Wszechświat sprzyja

Bardzo kiepski styl, dłużyzny, powtórzenia, karykaturalny obraz choroby (Émile, tracąc pamięć, oczywiście wraca do dzieciństwa i myli Joanne z matką) – cóż, może nie każdemu to przeszkadza. W końcu nie wszyscy zwracają uwagę na język. Bardziej od formy martwi mnie jednak przesłanie. Bo niby książka krzepi i daje nadzieję, że także w trudnych chwilach można przeżyć coś pięknego i nawet krótkie życie może mieć sens. To jest w porządku.

Bardzo zły – i szkodliwy – jest natomiast malowany przez Da Costę obraz medycyny. Kim w tej książce jest lekarz? Człowiekiem, który chce chorego uwięzić, skazać na sterylny szpital, pozbawić szansy na radości. Lekarzy trzeba unikać, a pomagać sobie tylko medytacją i ziółkami. Kiedy Émile po wypadku ucieka z oddziału, Joanne leczy mu jątrzącą się ranę na głowie okładami z pokrzywy. Sama na wysoką gorączkę pije rumianek. Pal licho, kiedy chodzi o Émile'a, który i tak nie ma wiele czasu i sam o sobie decyduje. Bardziej problematyczne jest przedstawienie wątku Niebieskiego Toma, czyli synka Joanne.

Mélissa Da Costa znalazła formułę na powieść: piękno francuskiego pejzażu, ogromne emocje oraz podróż, dosłowna lub metaforyczna, w głąb siebie.

Chłopczyk od urodzenia w ogóle nie płacze, matka jak lwica broni go przed lekarzami i prawie przez dwa lata go przed nimi ukrywa. Diagnoza nie jest wskazówką do leczenia, tylko etykietą, piętnem, przed którym trzeba się wzbraniać. Metodą radzenia sobie z autyzmem jest tu całkowita izolacja od innych, nawet od ojca Toma. Zdaniem matki chłopiec nie jest po prostu inny – jest lepszy. Tym, jak poradzi sobie w społeczeństwie bez niej, w ogóle się nie przejmuje. Kiedy dziecko ginie w tragicznych okolicznościach (topi się w jeziorze, przyciągnięte jego błękitem), matka rozpacza, ale jest też przekonana, że Tom odtąd po prostu patrzy na nią z góry.

Niepokojąca jest ta nieustanna pochwała izolacjonizmu, zamknięcia się w małym hermetycznym światku, wycofania ze społeczeństwa. Autorka sugeruje, że kluczem do szczęścia jest życie samotne, w parach lub w mikroskopijnych grupkach, na przykład ekologicznych komunach. W miastach mieszkają wredne, ekscentryczne kobiety, takie jak Laura, była partnerka Émile'a. Prawdziwe, mądre Joanny wolą domki w górach. O tym, że na takich odludziach właściwie nie ma pracy, nie dowiadujemy się ani słowa. W końcu książce patronuje cytat z Paula Coelho: „Kiedy czegoś gorąco pragniesz, to cały Wszechświat sprzyja potajemnie twojemu pragnieniu".

Magiczna formuła

Oczywiście natychmiast pojawia się podejrzenie, że to ja jestem literacką snobką, a miliony zachwyconych czytelniczek i czytelników nie mogą się mylić. Że skrzywienie zawodowe nie pozwala mi czerpać przyjemności z książki, w której dialogi są drewniane, a opisy pseudopoetyckie. Że gram cynika.

Nie wykluczam, że tak jest. Nie ulega wątpliwości, że książka, która tak dobrze się sprzedaje, odpowiada na jakąś naszą palącą potrzebę. Może czytelnicy lubią teksty, w których czas płynie powoli? Albo takie, w których jest dużo przyrody, emocji i naparu z rumianku? A może szukają eskapizmu i pocieszenia? Chcą grubych tomów, w których można się zanurzyć, i prostych maksym, które można przepisać do sztambucha? Wzruszających historii o tym, że po życiowej tragedii można się odrodzić, a nudną pracę biurową łatwo zamienić na wytwarzanie biżuterii z kwiatów?

Niewątpliwie Mélissa Da Costa znalazła formułę, która działa: piękno francuskiego pejzażu plus emocjonalni bohaterowie plus podróż, dosłowna lub metaforyczna, w głąb siebie. Przepis jest tak dobry, że ilekroć autorka próbuje go zmienić – na przykład w thrillerze „La doublure" – podnoszą się krzyki, że od przemocy i seksu są inni. Mélissa, zgodnie z imieniem, powinna uspokajać.

W kolejnych książkach autorka powraca więc do sprawdzonego schematu. Jak to zwykle w literaturze *feel good*, dostajemy bohatera borykającego się z poważnymi trudnościami, które przezwycięża się dzięki przyrodzie, przyjaciołom lub mądrości, odnajdywanej w sobie. Zmienia się sceneria (Nowa Zelandia, różne regiony Francji) i problemy (choroba, bolesne rozstanie, żałoba, kalectwo, depresja), ale schemat pozostaje ten sam. Podróż bohatera ma jeden kierunek: *ad astra*.

W rytm relaksu

Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że kolejne książki – w Polsce ukazały się w tym roku dwie: „Co przyniesie jutro" i „Powracam od innych" – są nieco krótsze i trochę sprawniej napisane, co może wynikać z rozwoju literackiego autorki albo lepszej redakcji w wydawnictwie Albin Michel. Nie jestem jednak pewna, czy bym je polecała. Nawet jak na litera-

turę popularną, którą chętnie i obficie czytam, zbyt wiele mnie tu irytuje.

Nieznośne są dokładne opisy absolutnie wszystkich drobnych i banalnych czynności. Bohaterka nie może się po prostu wykąpać: musimy wiedzieć, że myje włosy konkretnym szamponem i wyciera je frotowym ręcznikiem. Czy ręcznik ten, jak strzelba Czechowa, posłuży potem do uduszenia kochanka? Nie – i nie tylko dlatego, że u Da Costy zdrad i romansów jest jak na lekarstwo. Czy służy budowaniu obrazu postaci? Na owernijskiej wsi wycieranie się ręcznikiem nie jest niczym wyjątkowym. Nawet ręcznikiem *frotté*.

Uciążliwe są też powtórzenia. Może autorka w ten sposób dostosowuje się do naszej coraz gorszej koncentracji? Albo nabija strony, bo jednak książka Da Costy musi być napakowana. „Wzięłam chłodny prysznic, włożyłam białą letnią sukienkę i zaplotłam włosy. Zaparzyłam sobie swoją ulubioną herbatkę z liśćmi malin. Czekając, aż ostygnie, przeglądałam katalog" – informuje nas bohaterka, by za dwie strony, dowiedziawszy się o tragicznej śmierci męża, usłużnie przypomnieć: „Zdążyłam wziąć prysznic, napić się ziołowej herbatki, przejrzeć katalog...". Zdaniem fanów taka drobiazgowość buduje klimat powieści i nadaje jej powolny, relaksujący rytm. Ja mam raczej wrażenie pustych kalorii.

Mogłabym się długo wyzłośliwiać nad naiwną psychologią czarno-białych postaci i receptami rodem z poradników *hygge* (na depresję: szarlotka i ziółka, na żałobę: bankiety w pełni księżyca). Albo cytować zdania rodem z dziewczyńskiego pamiętniczka i landszaftowe opisy przyrody. Jest już chyba wystarczająco jasne, że czas poświęcony na książki Mélissy uważam za czas utracony. No, powiedzmy, że nauczyłam się jednego – Paulo Coelho miał rację pisząc, że „kocha się za nic".

© DOROTA MALINA



Mélissa Da Costa, **POWRACAM OD INNYCH**, *Znak Literanova, tłum. Aleksandra Celińska, Kraków 2026*



ARTUR CICHUTA / TROJMIASTO.PL

Podczas występu Genzie w ramach trasy koncertowej „Offline Tour" w Hali Ergo Arena. Gdańsk, 14 marca 2025 r.

W domu z Ekipą

ANNA PAJĘCKA

YOUTUBE | Komisja Europejska zapowiada, że będzie chronić dzieci przed mediami społecznościowymi. Tymczasem influencerzy szukają już nowych możliwości zarobku.

Jesteśmy u progu przemiany internetowej rozrywki spod znaku *family friendly* (tzn. przyjaznej widzom w każdym wieku), produkowanej przez firmy stojące za najpopularniejszymi polskimi kanałami YouTube'a. We wrześniu Komisja Europejska przedstawiła projekt przepisów ograniczających dostęp dzieci do mediów społecznościowych. Jeśli wejdą w życie, mogą wpłynąć na przedsiębiorstwa, które przez lata budowały swoją pozycję na uwadze najmłodszych widzów.

Inna sprawa, że sami youtuberzy dorastają na naszych oczach. Członkowie grup takich jak Genzie czy Friendz mają dziś po dwadzieścia kilka albo ponad trzydzieści lat. Ich codzienność była dotąd materiałem do produkowania rozrywki, a rozpoznawalność stanowiła podstawowy kapitał. Coraz częściej wychodzą oni poza formaty, dzięki którym zdobyli popularność: nagrywają muzykę, występują w kinie, realizują pełnowymiarowe programy.

Czy platformy, na których wyrosły ich kariery, nadal powinny mieć nieograniczony dostęp do dziecięcej uwagi?

Mafia i gwiazdy

Dla wielu dzisiejszych nastolatków YouTube zastąpił telewizję. Tradycyjne stacje to widzą: w „Azji Express" produkowanej przez TVN czy „Tańcu z gwiazdami" emitowanym w Polsacie coraz częściej pojawiają się influencerzy, których starsza publiczność dopiero poznaje. Dla części widzów są nowymi twarzami, dla innych – bohaterami, których życie śledzą od lat. Internetowa rozrywka zresztą też coraz bardziej przypomina telewizję. „Mafia w prawdziwym życiu" Ekipy przenosi zasady gry towarzyskiej do rzeczywistości: uczestnicy próbują odkryć, kto jest mafiosem. W „Sabotażyście" Reziego szukają osoby, która potajemnie utrudnia im wykonywanie zadań. Sebastian „Czajnik" Czajewski, założyciel Friendz, stworzył „Impostora", w którym internetowi ↦



ARTUR CICHUTA / TROJMIASTO.PL

↦ twórcy trafiają na wyspę i mierzą się z kolejnymi wyzwaniami. Odcinki tych programów osiągają po kilka milionów wyświetleń.

Dla porównania „Taniec z gwiazdami" Polsatu przyciąga mniej więcej 2 miliony widzów na odcinek. Nie są to oczywiście w pełni porównywalne dane: wyświetlenia na YouTubie kumulują się przez tygodnie i miesiące, a jedna osoba może obejrzeć film kilkakrotnie. Pokazują jednak skalę produkcji powstających poza tradycyjną telewizją.

Influencer Mikołaj „Bagi" Bagiński po udziale w „Tańcu z gwiazdami" zwracał uwagę na liczbę osób zaangażowanych w telewizyjne show. Na youtuberach telewizja wciąż robi wrażenie, nawet gdy mają już swoje profesjonalne zespoły.

Trampoliny i kajdanki

Największe grupy youtuberów zbudowały przez ostatnie lata własne uniwersa. Ci sami bohaterowie występują w dziesiątkach formatów, odwiedzają się wzajemnie na swoich kanałach, nagrywają wspólne filmy. Widz jednego kanału szybko poznaje kolejne. Jednym z pierwszych twórców, który wykorzystał ten mechanizm w Polsce, był Karol „Friz" Wiśniewski. Założona przez niego Ekipa zamieszkała we wspólnej willi, a życie jej członków stało się podstawą regularnie publikowanych filmów.

Dom był zarazem mieszkaniem i planem zdjęciowym. Każdy dzień należało przekształcić w wydarzenie: „Testujemy wojskowe racje żywnościowe", „Jesteśmy przypięci do siebie kajdankami przez 24h", „Gramy w chowanego w parku trampolin". Z czasem wyzwania stawały się coraz bardziej ekstremalne. Członkowie Ekipy skakali z dachu, razili się prądem za niewykonanie zadania, a przegranych czekały kąpiele w lodowatej wodzie czy golenie głowy. W 2021 r. wysadzili w powietrze Audi TT, wcześniej podarowane jednemu z członków grupy. Sprawa trafiła zresztą do prokuratury w związku z podejrzeniem przestępstwa przeciwko środowisku. Ekipa była już wtedy czymś więcej niż grupą znajomych: rozwijała sprzedaż produktów i muzykę. W 2022 r. działalność biznesowa związana z Ekipą znalazła się na giełdzie.

Genzie powstało w 2021 r. i rozwijało rozrywkę dla młodszej publiczności w bezpieczniejszej formule. Znów wspólny dom i publikowanie kilku odcinków codziennie, ale zamiast skoków z dachów – kręcenie kołem fortuny, zgadywanie cen, rozpoznawanie teledysków, testowanie lifehacków czy dzień spędzony na jedzeniu rzeczy w jednym kolorze. Zasady były proste, a format można było powtarzać niemal bez końca.

Inspiracją dla tego formatu był między innymi Jimmy Donaldson, znany jako MrBeast, którego filmy zbierają setki milionów wyświetleń. MrBeast uczynił z wyzwań osobny gatunek: uczestnicy rywalizują o pieniądze i poddawani są nietypowym próbom. W wersji dla młodszych odbiorców wystarczyło ograniczyć ryzyko, zachowując mechanizm rywalizacji. Dziś Ekipa mierzy się z konkurencją Friendz, grupy stworzonej w 2022 r. przez Sebastiana „Czajnika" Czajewskiego, wcześniej montażystę innych youtuberów.

Friendz mieszkają we wspólnym domu w Katowicach. Na ekranie wygląda on jak projekcja dziecięcych marzeń: każdy pokój to inne uniwersum, jest basen, sala do gier i ogród do budowania szalonych konstrukcji. Dorośli bohaterowie zachowują się tak, jakby życie składało się wyłącznie z czasu wolnego. Tymczasem dom jest siedzibą firmy, a zabawa – produktem wymagającym regularnego nagrywania i montażu. Członkowie Friendz (zbliżający się do trzydziestki albo starsi) unikają na filmach wulgaryzmów, używek i seksualnych aluzji. Tym bardziej zastanawiała dyskusja o miniaturkach, na których – według zarzutów, do których przyznali się zainteresowani – retuszowano sylwetki członkiń grupy, powiększając im biust.

Family friendly to jeden z najbardziej dochodowych segmentów polskiej rozrywki internetowej. Filmy mają nadawać się dla dzieci, nie budząc zastrzeżeń rodziców i reklamodawców. YouTube określa, które materiały mogą być w pełni monetyzowane, a które otrzymają mniej reklam lub zostaną pozbawione przychodów. Wulgaryzmy, przemoc czy treści seksualne mogą wpływać na ocenę filmu, podobnie jak długość filmu, jego tytuł i miniaturki.

Niekontrowersyjna rozrywka jest więc racjonalną strategią biznesową. Wizerunku trzeba strzec również poza kamerą. Rola przenika do codzienności: zdjęcie z papierosem czy nagranie z imprezy może stać się problemem finansowym. W samych filmach często pojawiają się jednak komunikaty o przyjaźni, wsparciu i zdrowej rywalizacji.

Bliskość i pieniądze

Bardzo szybko filmy z udziałem prawdziwych ludzi stały się alternatywą dla niekończącego się przewijania krótkich nagrań i zalewu automatycznie generowanych materiałów, określanych mianem AI slopu. Temu modelowi bliżej do telewizyjnego show albo serialu. Znaczenie ma jednak sposób organizowania tej rozrywki.

Środki z wyświetleń, które płaci YouTube, to tylko część biznesu największych grup. Wokół ich popularno-



KAROLINA GRABOWSKA / NEXT FILM

Po lewej: członkowie Genzie na scenie w Hali Ergo Arena. Gdańsk, 14 marca 2025 r.

Po prawej: Bartek „Świeży" Laskowski z Ekipy w filmie „100 dni: Misja Zeus"

ści powstał rynek produktów, koncertów i wydarzeń. Genzie współpracuje z Tymbarkiem, Friendz wprowadziło kolorowe napoje sprzedawane między innymi w Żabce. Są też ubrania, muzyka, festiwale i spotkania z fanami, czyli tzw. *meet and greet*.

Za minutę rozmowy z idolem, zdjęcie czy wspólny film płaci się około 300–400 zł. Płaci oczywiście rodzic, i to pod jego nadzorem odbywa się spotkanie. Bilety potrafią szybko znikać ze sprzedaży. Popularność takich spotkań wynika między innymi z relacji parasocjalnych, jakie młodzi widzowie nawiązują z internetowymi idolami. Oglądają ich niemal codziennie, znają ich powiedzenia, zwyczaje i historie z życia prywatnego. Twórcy odpisują w mediach społecznościowych, a w komentarzach trwa wyścig o ich uwagę i jakąkolwiek reakcję.

„Nawet nie wiesz, jak mi pomogłaś", „Uratowałaś mi życie" – podobne komentarze pojawiają się pod filmami i zdjęciami internetowych twórców. W lipcu 2026 r. youtuberka Agnieszka Grzelak wywołała dyskusję, kiedy w podkaście „Sistrs" zaczęła zastanawiać się nad społeczną wartością pracy influencerów. „Nawet nie wiemy, ile żyć mogłyśmy uratować nieświadomie".

Opowiadała o wiadomościach od osób przechodzących kryzysy psychiczne, którym jej rozrywkowe filmy pomagały oderwać się od trudnych myśli, czasem po prostu się uśmiechnąć. Porównanie influencerów z lekarzami spotkało się ze słuszną krytyką, ale sama obserwacja dotycząca znaczenia internetowych twórców w życiu odbiorców nie jest oderwana od realiów, gdy obserwuje się komentarze pod filmami. Dla części młodych ludzi oglądanie ulubionych bohaterów może być źródłem pocieszenia, poczucia przynależności czy chwilowej ulgi. Ale także relacja, która dla widza bywa bardzo osobista, dla twórcy pozostaje częścią zawodowej działalności. Niektórzy influencerzy, jak Hanna „Hi Hania" Puchalska czy Kinga Banaś, angażują się w promowanie telefonów zaufania i profilaktyki zdrowia psychicznego, dostrzegając odpowiedzialność związaną z obecnością w życiu młodej publiczności.

Prawda jest jednak taka, że cały model biznesowy opiera się na utrzymywaniu tej bliskości: regularnym publikowaniu filmów, kontakcie w mediach społecznościowych i przekonaniu widza, że uczestniczy w codzienności swoich idoli.

Zakazy i przepisy

W lutym 2026 r. Komisja Europejska poinformowała o wstępnych ustaleniach postępowania dotyczącego TikToka. Uznała, że projekt platformy, w tym mechanizmy uzależnieniowe – nieskończone przewijanie, automatyczne odtwarzanie i silnie spersonalizowane rekomendacje – może naruszać przepisy Aktu o usługach cyfrowych. Komisja zwróciła uwagę na ryzyko kompulsywnego korzystania z aplikacji, szczególnie wśród osób nieletnich. Były to ustalenia wstępne, a nie ostateczne rozstrzygnięcie sprawy.

Presję odczuwają też amerykańskie firmy technologiczne. W marcu 2026 r. kalifornijska ława przysięgłych uznała YouTube i Metę za odpowiedzialne z tytułu zaniedbania w sprawie szkód wyrządzonych młodej użytkowniczce przez uzależniające mechanizmy platform. YouTube zapowiedział odwołanie. Szef YT Neal Mohan w wywiadzie dla „New York Timesa" przekonywał, że należy chronić dzieci w świecie cyfrowym, a nie przed nim. Opowiadał się za kontrolą rodzicielską i porównywał YouTube do biblioteki audiowizualnej. W listopadzie 2025 r. Parlament Europejski przyjął niewiążącą rezolucję postulującą wspólną dla Unii granicę wieku korzystania z mediów społecznościowych: 16 lat, z możliwością dostępu młodszych nastolatków, od 13. roku życia, za zgodą rodziców. We wrześniu 2026 r. Komisja Europejska przedstawiła projekt EU KIDS Act. Dzieci poniżej 13. roku życia nie mogłyby korzystać z mediów społecznościowych, choć mogłyby oglądać treści w specjalnie dostosowanych do nich serwisach wideo, za pośrednictwem kont zarządzanych przez rodziców. Nastolatkowie od 13. do 15. roku życia korzystaliby z kont nadzorowanych przez opiekunów, o ograniczonych funkcjach, z limitem jednej godziny dziennie. Samodzielne założenie konta byłoby możliwe od 15. roku życia.

Projekt obejmuje również rozwiązania dotyczące bezpieczeństwa samych platform. Przewiduje ograniczanie mechanizmów zachęcających do nadmiernego ↦

↦ korzystania z usług cyfrowych, skuteczniejsze sprawdzanie wieku użytkowników i większą odpowiedzialność firm technologicznych za ochronę nieletnich. Bardzo duże platformy internetowe miałyby wykazywać, że ich usługi są bezpieczne dla dzieci już na etapie projektowania. Przepisy nie weszły jeszcze w życie; ich ostateczny kształt zależy od negocjacji między Parlamentem Europejskim a Radą Unii Europejskiej.

Matura i misja

Największe przedsiębiorstwa influencerskie już dziś szukają nowych możliwości rozwoju. Ekipa Holding ma za sobą dwie premiery kinowe: film akcji „100 dni do matury" z 2025 r. oraz „100 dni: Misja Zeus", który wszedł do kin we wrześniu 2026 r. pod patronatem Ministerstwa Klimatu i Środowiska.

W obu filmach influencerzy wystąpili obok zawodowych aktorów. W pierwszej części partnerowali im m.in. Małgorzata Foremniak, Piotr Głowacki i Jacek Koman, w drugiej do obsady dołączyli Tomasz Kot, Cezary Pazura i Agata Kulesza. Pierwszy film przyciągnął do kin ponad milion widzów. Drugi nie powtórzył tego sukcesu, wynik był poniżej oczekiwań. Producenci wskazywali na trudność związaną z kierowaniem filmu do nieco starszej publiczności. To problem, który może w kolejnych latach dotyczyć całego przemysłu tej gałęzi rozrywki. Rozpoznawalność internetowych twórców nie gwarantuje sukcesu każdego przedsięwzięcia. Publiczność przywiązana do krótkich, regularnie publikowanych filmów niekoniecznie zechce oglądać tych samych bohaterów w pełnometrażowej produkcji.

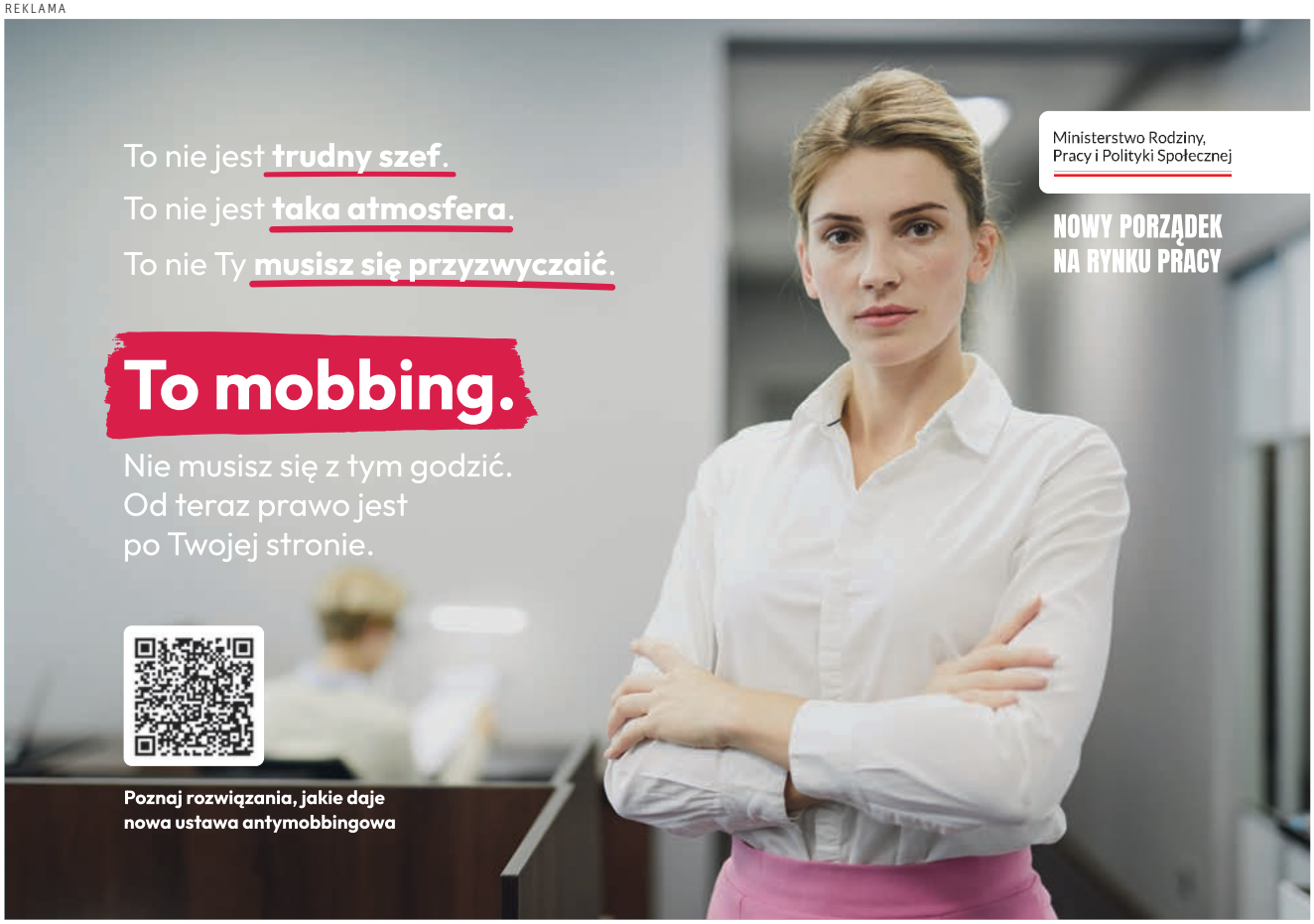
Family friendly to jeden z najbardziej dochodowych segmentów polskiej rozrywki internetowej. Ten model biznesowy opiera się na **utrzymywaniu bliskości influencerów z dziećmi.**

Twórcy internetowi próbują też rozwijać indywidualne kariery. Telewizja, koncerty i programy internetowe pozwalają im wyjść poza dotychczasową publiczność. Ich firmy muszą jednak myśleć o przyszłości, w której popularność nie będzie opierać się wyłącznie na codziennym kontakcie z nieletnim widzem. Sami widzowie w końcu dorastają, zmieniają zainteresowania, a także sposób istnienia w internecie.

Model wymagający nieustannego pozyskiwania kolejnych roczników może stać się trudniejszy do utrzymania, jeśli europejskie regulacje ograniczą influencerom dostęp do najmłodszych widzów. Ale nawet jeśli przedsiębiorstwa, które nauczyły się zarabiać na ich uwadze, nie poradzą sobie w nowych warunkach, pojawią się nowe źródła rozrywki *family friendly*. Czy będziemy na nie odpowiednio, także ustawowo, przygotowani?

© ANNA PAJĘCKA

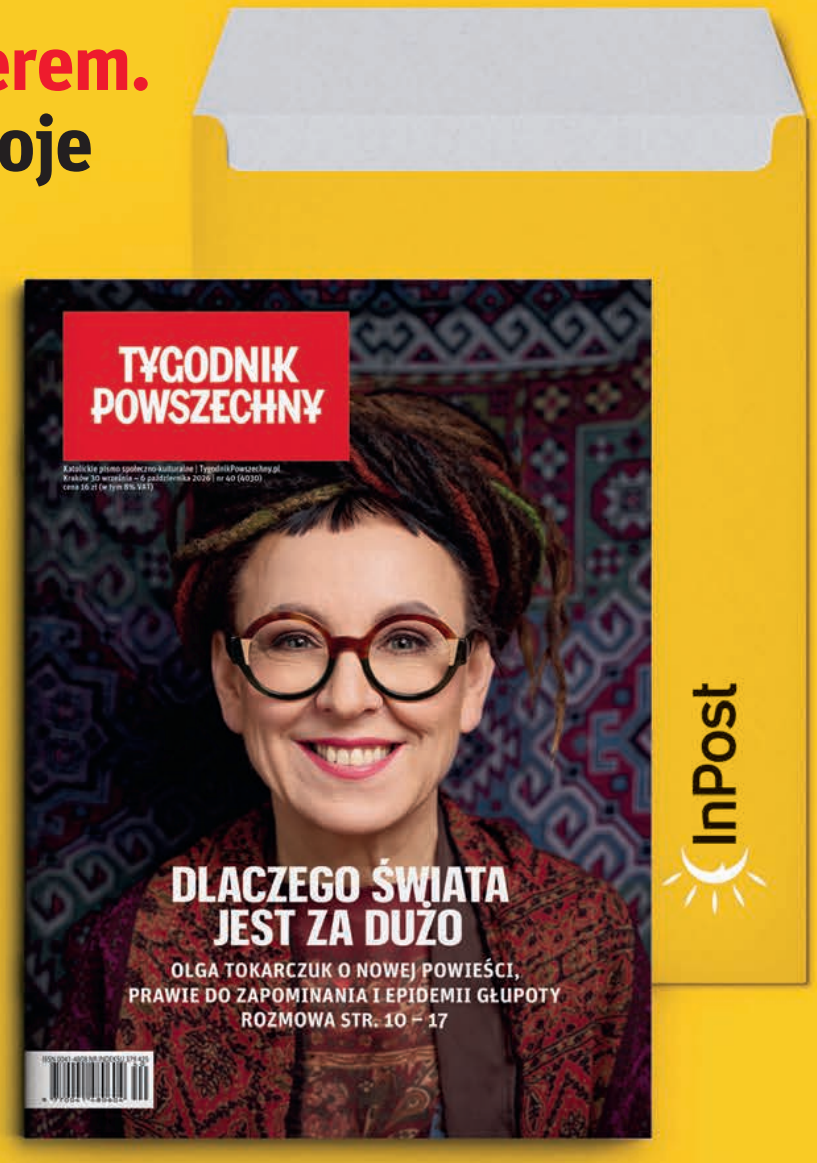
REKLAMA



TYGODNIK POWSZECHNY

Teraz też kurierem. Prosto pod Twoje drzwi.

InPost



Koniec z szukaniem „Tygodnika” w kiosku.
Teraz najlepszy tygodnik społeczno-kulturalny w Polsce sam do Ciebie przychodzi – kurier zostawia go pod drzwiami, zanim zdążysz pomyśleć, że czegoś Ci brakuje.

Zamów prenumeratę z dostawą kurierską!

- **Płacisz raz w roku** – bez rat, bez miesięcznych przypomnień.
- **Oszczędzasz ponad 40 zł** w porównaniu do zakupu w kiosku.
- Dostawa kurierem wliczona w cenę.
- Nowy numer „Tygodnika” w środę pod Twoimi drzwiami.

TygodnikPowszechny.pl/oferta-kurier-inpost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



ALICJA RZEPA / FESTIWAL CONRADA

Republika ludzi czytających, Festiwal Conrada 2026

Już pełnoletni, wciąż nieposłuszny

PAULINA FRANKIEWICZ, DYREKTORKA PROGRAMOWA FESTIWALU CONRADA

KRAKÓW | 18. edycja Festiwalu Conrada przeszła do historii. O buncie jako przywileju i obowiązku, szansach i odpowiedzialności z tym związanych oraz wywrotowym potencjale literatury opowiadali twórczynie i twórcy z całego świata.

Historie nie są czymś, co się wydarza, historie są opowiadane" – to przedwidok „Atlasu lękliwego mężczyzny" Christopha Ransmayra, jednego z gości tegorocznej edycji Festiwalu Conrada. Każdą z siedemdziesięciu miniatur poświęconych miejscom, które odwiedził, ludziom, których spotkał na szlaku, wrażeniom, które pozostały z nim na dłużej, austriacki pisarz otwiera pozornie prostym „widziałem". Od Turysty w świecie, jak sam się przedstawia, pozwalam sobie tę uwerturę pożyczyć, zbierając kilka pofestiwalowych impresji.

WIDZIAŁAM, jak czytana przeze mnie w miesiącach programowania Festiwalu literatura materializowała się w ciele, które ją stworzyło. Delikatny uśmiech Cristiny Rivery Garzy. Autorka z Meksyku pisząca o zbrodni kobietobójstwa, której ofiarą była jej młodsza siostra, potrafiła oddać pasję życia Liliany i na poziomie więcej niż symbolicznym zawalczyć o sprawiedliwość. Braterski uścisk Francuzów: Geoffroya de Lagasnerie, Didiera Eribona i Édouarda Louisa, którzy zdecydowali się na wspólne życie, czyniąc z przyjaźni również siłę polityczną. Zaciśnięta pięść Horacia Castellanosa Moi z Salwadoru, któremu po publikacji książki relacjonującej spustoszenie wojną domową grożono w ojczyźnie karą śmierci.

WIDZIAŁAM, jak fikcja pozwala pisarkom i pisarzom zuniwersalizować wychodzącą od prawdziwych wydarzeń historię, a nam, czytającym, lepiej zrozumieć nawet najbardziej odległą geograficznie rzeczywistość. W ten sposób Kolumbijczyk Juan Gabriel Vásquez nie tylko obnaża mechanizmy przemocy, punktuje nadużycia władzy, kreśli złamane życiorysy, ale też wyraża niezgodę na rządzącą światem pogardę. Dziennikarki Anastasija Lewkowa i Beata Balogová opisujące Krym i słowacko-węgierskie pogranicze w powieściach zamknęły także własne losy, by opowiedzieć o peryferiach, których dosięga Historia. Artur Domosławski, dotąd ceniony głównie jako reporter, dowiódł przewagi fikcji w wyrażeniu tego, co wymyka się jednoznacznemu osądowi szkiełka i oka.

WIDZIAŁAM, jak teksty powstałe przed laty rezonują ze współczesnością. Siedemdziesiąt pięć lat od napisania przez Alberta Camusa „Człowieka zbuntowanego", jego myśl wyznaczająca buntowi granice pozostaje równie odważna. Nie-

zmiernie cieszy mnie nowe wydanie tego przełomowego eseju pod patronatem Festiwalu Conrada, w nieśmiertelnym przekładzie Joanny Guze. Spotkanie z biografiami intelektualnymi Ludzi „Kultury": Mariana Pankowskiego, Leo Lipskiego, Jerzego Stempowskiego i Zygmunta Haupta w 80. rocznicę utworzenia przez Jerzego Giedroycia Instytutu Literackiego pozwoliło przywrócić te wybitne postaci publicznej debacie. Nie trzeba zresztą sięgać tak daleko – również powieści *science fiction* czytamy inaczej niż naście lat temu. Rzeczywistość niemal doścignęła wyobraźnię, co świadczy o wizjonerskiej, ale i kasandrycznej roli literatury. Po co nam książki w epoce popiśmiennej, na progu której się znajdujemy? Po nic, odpowiada Jacek Dukaj. Literatura ma dla niego wartość autoteliczną.

WIDZIAŁAM, jak opowieść poszukuje odpowiedniej dla siebie formy. O wyprawie do jądra ciemności, a więc o mroku drzemiącym w naturze ludzkiej, mówili francuscy komiksiarze: Aurélien Lozes i Nicolas Presl. Pierwszy z nich stworzył fabułę, której przebieg zależy również od czytających, drugi do krzyku ku przestrodze nie potrzebował ani jednego dymku. Malarka Joanna Karpowicz ściągnęła na ziemię opiekującego się zmarłymi w mitologii egipskiej Anubisa, snując refleksję o życiu, które czeka kres, i zachęcając nas do celebrowania każdego dnia. Peja i Ryfa Ri dowiedli, że literatura może rodzić się na podwórku i tam kontestować rzeczywistość, a rap bywa równie intertekstualny jak najbardziej wyrafinowany esej.

WIDZIAŁAM wreszcie republikę ludzi czytających, społeczność Festiwalu Conrada. W październiku literackie serce świata biło w Krakowie. Wasze poruszenia, dyskusje, refleksje nadają temu wszystkiemu sens. Literatura sama nie zmieni świata, ale dzięki aktowi lektury i naszej odpowiedzi na spotkanie z tekstem możliwe jest bardzo wiele, nie tylko na jednostkowym poziomie.

Niech żyją opowieści! Do zobaczenia za rok! ©

Przeczytajcie wykład mistrzowski „Nieposłuszeństwo Conrada" Juana Gabriela Vásqueza.



KATARZYNA KUKIEŁKA / FESTIWAL CONRADA X3

Olga Tokarczuk o świecie, którego jest za dużo



Meliha Varešanović i Marcin Wolny w rozmowie z Magdaleną Koch



Wykład mistrzowski Juana Gabriela Vásqueza

Figura niemożliwa

ANITA PIOTROWSKA

PREMIERA | Oto dzieło doskonałe, diabelsko samoświadome i do końca nieprzewidywalne. Wielokrotnie można zapytać, kto tu ostatecznie pociąga za sznurki.



MATERIAŁY PRASOWE

Film „Zobaczysz wszystko" to idealna odtrutka na czasy postprawdy. Ale nie dlatego, że pierwsza kinowa produkcja Nathana Fieldera, nakręcona wespół z Lance'em Oppenheimem, dotyczy różnego rodzaju wkręcania i na tym mechanizmie częściowo jest oparta. I że funduje nam bliskie spotkanie z Elizabeth Holmes, uznawaną za jedną z największych oszustek XXI w. Ów hybrydowy dokument wkręca i dezorientuje nie dla zabawy bynajmniej. Im bardziej mnożą się poziomy fikcji czy mistyfikacji, im dalej jesteśmy od obiektywnej prawdy o bohaterce i jej relacji z reżyserem, tym głębiej wchodzimy w zawiłości ludzkiego poznania. I coraz bardziej nieprzejrzystą naturę tego, co widzimy, nie tylko na ekranie.

Z początku wszystko wydaje się jasne. W 2022 r. młoda szefowa biotechnologicznej firmy Theranos została skazana na jedenaście lat więzienia za oszukanie całej rzeszy grubych i drobnych inwestorów, którzy uwierzyli w jej wynalazek, czyli skrzyneczkę pozwalającą samodzielnie diagnozować rozmaite choroby. Opowiadał o tym dokument śledczy „Wynalazczyni: Dolina Krzemowa w kropli krwi" (2019) Aleksa Gibneya czy miniserial „Zepsuta krew" (2024) Taylora Dunna i Rebekki Jarvis.

Teraz, na miesiąc przed odsiadką, Elizabeth Holmes – obecnie matka dwójki malutkich dzieci – zaprasza ekipę filmową do swego kalifornijskiego domu nad oceanem. Wcześniej sama zaproponowała studiu A24 zrobienie dokumentu o niej – czyżby chciała ocieplić swój fatalny wizerunek albo po raz pierwszy się odsłonić? Nadal jednak nie przyznaje się do winy, a jej partner, Billy Evans, już pracuje nad nowym start-upem.

Tymczasem Nathan Fielder, który praktycznie u nich zamieszkał i z kamienną twarzą przepytuje domowników oraz ich bliskich, znalazł się w pułapce. Jego bohaterka stwarza pozory całkowitej transparentności: wiedzie przed kamerami zwykłe życie, zwierza się, roni łzy, toteż reżyserowi coraz trudniej znaleźć balans między inteligentną prowokacją (była ona dotąd jego znakiem rozpoznawczym) a własną emocją.

Zbliżenia twarzy bohaterki i jej zdziwione spojrzenie budują zwodniczą intymność. Do tego komentarz Elizabeth po obejrzeniu fragmentu filmu z Abbottem i Costello sugeruje, iż być może nie jest defraudantką i notoryczną kłamczuchą, ale osobą myślącą w sposób nietuzinkowy, będącą na przykład w spektrum neuroróżnorodności i tym samym powszechnie nierozumianą. Ma też ponoć za sobą młodzieńcze traumy.

Tylko czy można zaufać komuś, kto nabrał tysiące ludzi na setki milionów dolarów, kto owijał sobie wokół palca amerykańskich polityków, biznesmenów i zdesperowanych pacjentów? Równocześnie, czy można wierzyć filmowcowi, który zbudował swą markę na brawurowym zakrzywianiu czasoprzestrzeni? Tymczasem trwa odliczanie do zamknięcia Elizabeth w teksaskim więzieniu i obraz jej winy zdaje się komplikować. Także w oczach Nathana, który coraz bardziej angażuje się w życie bohaterki i projektuje na nie własne życiowe problemy. I kiedy już wydaje się, że przejrzeliśmy intencje jej czy samego filmu, pęka on na pół i wskakuje na zupełnie inny poziom opowieści. A tu już nie możemy być pewni niczego, bo każda kolejna scena bierze siebie w cudzysłów.

„Zobaczysz wszystko" to piętrowa opowieść o iluzjach naszego postrzegania; jej dynamiczna zmiennokształtność upodabnia ją do trójkąta Penrose'a czy innej figury niemożliwej. W pewnym momencie makiaweliczna Holmes zaczyna jawić się niczym ofiara – sądów, mediów, popkultury, swojego partnera, reżysera... A ten ostatni, tracąc bohaterkę z pola widzenia, zaczyna rekonstruować brakujące ogniwa swojej opowieści. Duży w tym udział Amandy Seyfried, która we wspomnianym powyżej serialu odegrała postać Elizabeth Holmes.

Teraz aktorka staje się pełnoprawną bohaterką filmu dokumentalnego, a nie tylko zainscenizowanej dokudramy. Żywiołowo polemizuje z Fielderem na temat jego postawy wobec Holmes, widzi bowiem to, czego on wcześniej mógł nie dostrzec z poziomu wygodnej kanapy w San Diego. I nie ma już większego znaczenia, ile z tej dyskusji zostało wcze-



ZOBACZYSZ WSZYSTKO
(You Can See Everything)
– reż. Nathan Fielder, Lance Oppenheim. Prod. USA 2026. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 6 listopada.

Nathan Fielder, pochodzący z Kanady reżyser, scenarzysta i aktor, znany jest z quasidokumentalnych seriali „Zły dotyk Nathana" (2013) czy „Próba generalna" (2022) oraz fabularnego serialu „The Curse" (2023-2024). Lance Oppenheim ma na koncie amerykański dokument „Coś na kształt raju" (2020), miniserial dokumentalny „Festiwal Renesansu" (2024), a ostatnio thriller „Primetime" z Robertem Pattinsonem.

Na zdjęciu: Elizabeth Holmes w filmie „Zobaczysz wszystko"

śniej podpowiedziane w jego scenariuszu.

Przed nami prawie trzygodzinny film o zaufaniu i jego braku. Bywa ono nazywane społecznym klejem – wszak bez niego wszystko się rozpada. Również film dokumentalny, gdzie to sklejenie, o ile nie mamy do czynienia z tak zwanym mockumentem, musi działać na kilku poziomach. Reżyser wierzy, że bohater odkryje przed kamerą prawdziwą wersję siebie; ten drugi wierzy, że twórca go nie zmanipuluje czy wykorzysta, a widz ufa, że zobaczy na ekranie niezafałszowany kawałek rzeczywistości. Seans „Zobaczysz wszystko" nie zapewnia pod tym względem żadnego komfortu.

Na każdym kroku przeczy definicji dokumentu i zarazem jest nim bardziej niż jakikolwiek inny film *non-fiction*. Dobudowując kolejne piętra zmyłki, podstawia szydercze lustro nam i naszym czasom, odsłaniając zarazem swoją maszynerię. Mówi między innymi o tym, jak schematycznie i naiwnie opowiadamy sobie innych ludzi, normalizując w ten sposób ewidentne zło i wyczyny największych przekręciarzy – politycznych, biznesowych, erotycznych... Stawia pytania o uczciwość kina dokumentalnego i jednocześnie sam siebie kwestionuje.

Dlatego „Zobaczysz wszystko" ogląda się niczym niewyczerpany palimpsest czy borgesowski labirynt, którym zarządza mało wiarygodny, zmanipulowany narrator. Na tym polega geniusz Fieldera i Oppenheima. Tak naprawdę nic im się tu nie wymyka spod kontroli, a jeśli już, to błyskotliwie tematyzują swoje dezorientacje i to my zostajemy z tym wszystkim totalnie skołowaciali. Oglądamy dzieło autotematyczne, diabelsko samoświadome i do końca nieprzewidywalne, chociaż wielokrotnie można zapytać, kto tu ostatecznie pociąga za sznurki.

Ów narastający dysonans poznawczy jest najlepszym, co wnosi film „Zobaczysz wszystko", albowiem daje odbiorcom różnej maści tekstów czy obrazków lekcję zdrowej nieufności wobec chwytliwych narracji. Odrabiamy ćwiczenie z krytycznego spojrzenia na „autentyczność", tak bardzo fetyszyzowaną w czasach łatwego fabrykowania wszystkiego. Twórcom filmu udaje się przechytrzyć system, zastępując kropki i wykrzykniki ciągiem kłopotliwych pytajników lub też bardzo inspirujących wielokropków. ©

Lektor:
Niespieszna wędrówka



▪ *Robert Walser*
MIKROGRAMY WYBRANE
Wybór, przekład, posłowie Małgorzata Łukasiewicz. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2026

Kiedy w 1972 r. ukazała się pierwsza jego książka po polsku „Willa pod Gwiazdą Wieczorną" (tytuł oryginalny „Der Gehülfe"), autor od kilkunastu lat już nie żył. Tłumaczką była Teresa Jętkiewicz. Potem za prozę Szwajcara zabrała się Małgorzata Łukasiewicz i był to jeden z tych szczęśliwych przypadków, kiedy pisarz trafia na swojego tłumacza, zarazem doskonałego i wiernego. Dziś mamy nie tylko całą półkę przekładów Walsera, ale i jego monografię autorstwa tłumaczki. Czytelnik nie ma kłopotu z umieszczeniem go na literackiej mapie.

Zajmuje zresztą miejsce odrębne: to pozycja outsidera, trochę dziwaka, który za życia nigdy nie odniósł prawdziwego sukcesu, choć chwalili go Kafka, Musil czy Hesse. Kryzysy, długie okresy milczenia, w pewnej chwili porzucenie pisarstwa, wieloletni pobyt w szpitalu psychiatrycznym. No i zagadka tytułowych mikrogramów.

„Za życia autora nikt postronny nie wiedział o ich istnieniu – pisze Małgorzata Łukasiewicz. – Dopiero po śmierci Walsera plik liczący 526 kart, szczelnie zapełnionych ołówkowym maczkiem, trafił do rąk Carla Seeliga, mecenasa i prawnego opiekuna pisarza, przekazany mu, jak głosi legenda, w pudełku od butów". Podejrzewano, że te trudno czytelne, choć równe zapiski to jakiś szyfr. Okazało się jednak, że to zwykłe pismo, kursywa, tylko radykalnie pomniejszona. I nie zapisano nią żadnych treści, które autor chciałby ukryć, tylko po prostu utwory Walsera, w tym i takie, które potem przepisał i opublikował.

W 1968 roku z mikrogramów odczytano powieść „Zbój", w latach 1985-2000 w sześciu tomach opublikowano cały ich korpus, obejmujący prozę, wiersze i sceny dramatyczne. „Spotykamy tam Walsera takiego, jakiego mogliśmy poznać i polubić już wcześniej (...). Rozpoznajemy kapryśną narrację, mieszanie rejestrów stylu, fajerwerki konceptów, prowokacyjną dezynwolturę wobec konwencji – od najogólniejszych wyobrażeń o świecie do sposobów mówienia o nim."

W przygotowanym teraz wyborze otrzymujemy ponad pół setki wyrafinowanych stylistycznie krótkich próz, których lektura jest ciągiem zaskoczeń. Jakbyśmy odbywali spacer – a Walser był wytrwałym spacerowiczem – z samotnikiem, który nas wciąga w swój wewnętrzny świat.

Walser umarł w Boże Narodzenie 1956 r. Niedługo 70. rocznica. Mamy w Polsce miejsce z nim związane: to pałac w Dąbrowie (Dambrau) na Opolszczyźnie, gdzie pisarz zatrudniony był w 1905 r. jako lokaj. Jakieś pomysły? ©℗

REKLAMA

ODKRYJ SERIE, KTÓRE WCIĄGAJĄ OD PIERWSZEJ STRONY!







WYRUSZ Z KURZOLEM W SZALONĄ PODRÓŻ PO LUDZKIM ORGANIZMIE, gdzie tajemnice ciała odkrywa się z humorem, a nauka staje się wielką przygodą!

6-8 LAT



POZNAJ KOCIĄ SZAJKĘ - ZGRANĄ PACZKĘ KOCICH DETEKTYWÓW, którzy prowadzą pełne humoru i niezwykłych zwrotów akcji śledztwa w całej Polsce (i nie tylko!).

6-8 LAT



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.agoradladzieci.pl

Wydawnictwo Agora dla dzieci

Północ i południe na dobre popołudnie

Na północy Anglii morderców tropi szorstka inspektor w znoszonym płaszczu, na południu – przystojny pastor na motocyklu. „Vera" i „Zbrodnie w Grantchester": dwa brytyjskie seriale kryminalne, dwa oblicza angielskiej prowincji.

W brytyjskim kryminale warto słuchać nawet rozmów, które pozornie nie mają związku ze sprawą. Wspomnienie sprzed lat, uwaga rzucona przy herbacie albo rodzinny spór mogą naprowadzić na trop, którego policja szuka od dawna. Zanim poznamy sprawcę, zdążymy zajrzeć do cudzych domów i zrozumieć, dlaczego ich mieszkańcy niechętnie otwierają drzwi. Seriale „Vera" i „Zbrodnie w Grantchester" dają przyjemność wspólnego dochodzenia do prawdy, a przy okazji pozwalają spędzić jesienne popołudnie w dobrym towarzystwie.

Kobieta z północy

Vera Stanhope (genialna rola Brendy Blethyn) nie daje się łatwo zbyć. Kiedy rozmówca uważa sprawę za zamkniętą, ona zwykle ma jeszcze pytanie. Bywa obcesowa, ale cierpliwie słucha ludzi, których inni wolą nie zauważać. Vera zna się na swojej pracy i przyjemnie patrzeć, jak ktoś próbuje ją przechytrzyć. Jej znoszony płaszcz i bezkształtny kapelusz mogą zmylić tych, którzy przywykli oceniać ludzi po wyglądzie. Szybko przekonają się, że trafili na wymagającą rozmówczynię.

Starym landroverem przemierza Northumberland, wśród wrzosowisk, klifów i pustych plaż. Kamera pozwala nacieszyć się tymi widokami, zanim wrócimy do przesłuchań. W miasteczkach wszyscy znają się od lat, a śledztwa prowadzą do spraw, o których woleliby zapomnieć. Za morderstwem często kryje się dawna krzywda, rodzinny sekret albo bieda, o której wygodniej było milczeć. Trzeba uważnie przysłuchiwać się rozmowom: niewinne wspomnienie może znaczyć więcej niż przekonujące alibi.

Vera mieszka sama, a najbliższą rodzinę zastępuje jej zespół. Pochwały przychodzą jej z trudem, uszczypliwości – znacznie łatwiej. Potrafi jednak przynieść zastępcy zapiekankę i butelkę wina po rozmowie o jego ojcowskich obowiązkach. Taką Verę poznajemy pomiędzy kolejnymi przesłuchaniami. Jej troska o innych bywa pełna niezręczności, ale tym łatwiej w nią uwierzyć. I polubić.


VERA

ITV STUDIOS GLOBAL DISTRIBUTION LIMITED


ZBRODNIE W GRANTCHESTER

BANIJAY

Pastor na motocyklu

„Zbrodnie w Grantchester" przenoszą nas do Anglii końca lat 50. Zaglądamy do wiejskiego pubu i na plebanię, oglądamy zielone łąki nad rzeką Cam. Starannie dobrane stroje i samochody dopełniają obrazu świata, w którym można na chwilę zamieszkać. Tutejszy pastor Will Davenport, grany przez Toma Brittneya, na koloratkę zarzuca skórzaną kurtkę i wsiada na motocykl. Jest impulsywny, cudze kłopoty bierze bardzo do siebie, a w śledztwach pomaga inspektorowi Geordiemu Keatingowi. Wspólne śledztwa prowadzą ich do żeńskiego college'u w Cambridge czy na salę bokserską. Każda sprawa otwiera przed nimi inne środowisko.

Keating, w którego wciela się Robson Green, to wojenny weteran i sceptyk z cierpkim poczuciem humoru. Nie podziela wiary Willa w ludzi, ale coraz bardziej przywiązuje się do młodego pastora. Ich przekomarzanie daje wytchnienie od powagi śledztw; za złośliwymi uwagami kryje się troska. Z czasem policjant staje się dla Willa przyjacielem i kimś w rodzaju ojca. Obaj mają własne słabości, więc ich rozmowy nie kończą się wraz z ustaleniem, kto popełnił zbrodnię.

Will chętnie udziela rad, ale przy Ellie Harding sam traci pewność siebie. Dziennikarka drażni go pogonią za sensacją i sposobem zdobywania informacji. Jednocześnie podoba mu się na tyle, że coraz trudniej pamiętać o postanowieniu życia w czystości. Ich sprzeczki wnoszą do serialu lekkość komedii romantycznej – zwłaszcza że Ellie nie zamierza oszczędzać pastora tylko dlatego, że nosi koloratkę.

Od 2 listopada w FILMBOX+ One oba seriale można oglądać jeden po drugim. Po śledztwie z Verą przyjdzie pora na wizytę w Grantchester.

Angielskie kryminały na jesienne popołudnie na kanale FILMBOX+ One

VERA – od poniedziałku do piątku o godz. 17.05.
ZBRODNIE W GRANTCHESTER – od poniedziałku do piątku o godz. 18.55. Serial dostępny także w FILMBOX+ Stream.

MATERIAŁ PROMOCYJNY



THANASIS ZOVOILIS / GETTY IMAGES

Mów do swojego dziecka

MARTA KORENDO, NEUROLOGOPEDA:

Nasza komunikacja coraz częściej ogranicza się do krótkich poleceń, większość czasu pochłaniają ekrany. Tymczasem to opowiadanie jest najważniejszym bodźcem stymulującym rozwój mowy dziecka.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Coraz więcej dzieci trafia do gabinetów logopedycznych i psychologicznych z trudnościami w rozwoju mowy.

MARTA KORENDO: Problem obserwujemy nie tylko w gabinetach, do których trafiają dzieci z zaburzeniami rozwoju. Kiedy wchodzimy do żłobków i przedszkoli okazuje się, że dwulatki nie mówią w ogóle, a trzylatki dużo gorzej niż powinny.

W tej chwili opiekuję się pracą magisterską studentki, która wybrała bardzo ciekawy temat – chciała badać rozwój mowy dzieci do końca drugiego roku życia. Po pewnym czasie przyszła do mnie i powiedziała, że chciałaby zmienić przedmiot analiz. Zapytałam, dlaczego, skoro wcześniej była nim tak zainteresowana. Odpowiedziała, że nie ma żadnego materiału do napisania pracy, ponieważ dzieci w żłobkach po prostu nic nie mówią, ewentualnie wypowiadają pojedyncze słowa.

Świetny, choć przygnębiający materiał badawczy.

Możemy oczywiście zmienić normy i uznać, że dziecko zaczyna mówić dopiero około czwartego roku życia. Dla mnie byłoby to jednak przerażające. Powinniśmy raczej zadać sobie pytanie, dlaczego coraz więcej dzieci zaczyna mówić tak późno, skoro urodziły się zdrowe. Słowem: jeśli przed narodzinami mózg dziecka odpowiednio przygotowuje struktury niezbędne do rozwoju języka, to należy zastanowić się, co dzieje się po urodzeniu.

Co się dzieje?

Rodzice co prawda mocno inwestują w dzieci, często w sposób spektakularny: starają się zapewnić im jak najlepsze żłobki, prywatne przedszkola, zajęcia dodatkowe i wiele innych możliwości rozwoju. Jednak w codziennym pośpiechu, zabieganiu, a także w związku z coraz większym udziałem ekranów w naszym życiu, zaczynamy odbierać dzieciom coś, co stanowi absolutną podstawę ich rozwoju poznawczego i emocjonalnego: rozmowę.

A te świetne żłobki i przedszkola nie nadrobią braków?

Nie, nie są w stanie w pełni ich nadrobić. I to jest kluczowa kwestia. Dzieci potrzebują relacji jeden na jeden, a nie wy-

łącznie kontaktu w grupie. Tak jest uwarunkowany – biologicznie i neurobiologicznie – rozwój człowieka na najwcześniejszych etapach życia.

Rozumiem potrzeby współczesności i nie chodzi mi o prezentowanie jakichś radykalnych poglądów. Prawda jest jednak taka, że o ile przedszkole stanowi odpowiedź na potrzeby rozwojowe dziecka, o tyle żłobek jest przede wszystkim odpowiedzią na nasze potrzeby cywilizacyjne. Dziecko nie potrzebuje żłobka, potrzebuje relacji z opiekunem.

W tej relacji nie wystarczy bajka na dobranoc?

Czytanie rzeczywiście wspiera rozwój językowy. Ale dzieje się tak wtedy, gdy podstawowe procesy poznawcze rozwijają się prawidłowo, a język zaczął się już „budować" w umyśle dziecka, tzn. nasze dziecko coraz więcej słucha i coraz więcej rozumie. Wtedy czytanie może stać się dodatkowym bodźcem rozwoju.

Jeżeli jednak zaniedbamy podstawowe funkcje, które daje rozmowa, czytanie nie wystarczy. Mózg dziecka nie będzie odpowiednio przygotowany do odbioru tekstu czytanego. Mówiąc prościej: rozwój mowy nie wynika wprost z czytania.

Skąd to wiemy?

Podam konkretny przykład. Podczas jednego z pobytów we Włoszech, gdzie prowadziłam badania dotyczące dzieci dwujęzycznych, poznałam Polkę mieszkającą na stałe za granicą. Powiedziała, że bardzo chciałaby, aby jej dzieci mówiły po polsku, ale one posługują się wyłącznie językiem włoskim. Zapytałam, dlaczego tak się dzieje. Odpowiedziała, że nie wie, bo przecież codziennie wieczorem czyta dzieciom polskie bajki, a one nadal nie chcą mówić po polsku. Spytałam więc, w jakim języku rozmawia z dziećmi na co dzień i okazało się, że po włosku, ponieważ rodzina mieszka w wielopokoleniowym domu. Właśnie w tym języku odbywa się cała codzienna komunikacja.

Gdyby mama rozmawiała z dziećmi po polsku, a wieczorem dodatkowo czytała im książki w tym języku, miałoby to sens. Samo czytanie nie zastąpi codziennego kontaktu językowego. Podobne sytuacje obserwujemy u rodziców dzieci z opóźnionym lub utrudnionym rozwojem mowy. Dochodzi do tego jeszcze jeden czynnik: sposób, w jaki korzystamy z ekranów w obecności dzieci.

IRENA KOŹMIŃSKA,
założycielka i prezes Fundacji „Cała Polska czyta dzieciom", inicjatorka kampanii społecznej pod tą samą nazwą:

DO DZIECKA TRZEBA MÓWIĆ od urodzenia, a nawet jeszcze przed jego narodzinami. Dziecko słyszy głos rodzica, oswaja się z brzmieniem i rytmem języka. Nie potrzebujemy ćwiczeń ani drogich urządzeń, by uczyć mowy. Wystarczy być z dzieckiem, przyjaźnie reagować na jego spojrzenia i potrzeby, opowiadać mu o tym, co robimy i co nas otacza.

DZIECKO UCZY SIĘ JĘZYKA tylko w kontakcie z drugim człowiekiem – z bliską osobą, która jest zaangażowana we wzajemną relację, dużo i wyraźnie do dziecka mówi twarzą w twarz, jest łagodna, dostraja się do niego. Żaden ekran nie nauczy mowy! Warto też od początku czytać dziecku. Dzieci uczą się języka, słuchając. Gdy im czytamy, osłuchują się z bogatym i poprawnym językiem. Książki pozwalają na kontakt z wyrazami i zwrotami, których nie używamy na co dzień, a które będą potrzebne w szkole i w życiu. Czytanie dziecku dla przyjemności rozwija nie tylko jego mowę i słownictwo, ale też wyobraźnię, wiedzę o świecie i wrażliwość na innych. Przede wszystkim jednak buduje więź i siłę psychiczną – jestem ważna, ważny, bo mama, tata codziennie mi czytają!

I zupełnie nie chodzi o to, by jak najwcześniej uczyć dziecko czytania i stymulować jego mózg, by wyrosło na małego geniusza. Dajmy mu po prostu niepodzielną uwagę, rozmowę, zabawę i książki. Opowiadajmy mu świat. Ten wspólny czas, codzienne spokojne i radosne doświadczenie z mówieniem i czytaniem najlepiej wspiera jego harmonijny rozwój i odporność. ©

W jaki sposób korzystamy?

Proszę spojrzeć na place zabaw. Rodzice przychodzą z dziećmi, sadzają je w piaskownicy, a sami sięgają po telefon. Podobnie wygląda sytuacja w restauracjach. Czasami trudno mi tam spokojnie usiedzieć, kiedy widzę, co się dzieje.

W nauce funkcjonuje dziś pojęcie technoferencji, czyli zakłócania relacji i interakcji społecznych przez korzystanie z urządzeń elektronicznych. Dotychczas dużo mówiliśmy o tym, jak ekrany wpływają bezpośrednio na dzieci. Wiemy, że mogą być dla nich szkodliwe i mamy na to badania. Pojawił się jednak nowy nurt badań dotyczący tego, co ekran w rękach rodzica robi dziecku.

W maju 2025 r. na łamach czasopisma naukowego „JAMA Pediatrics" ukazało się podsumowanie badań dotyczących wpływu technoferencji na rozwój małych dzieci. Badacze przeanalizowali 21 badań obejmujących łącznie prawie 15 tys. dzieci z 10 krajów. Dzieci, których rodzice częściej korzystali z urządzeń elektronicznych w ich obecności, miały trudności np. z kontrolowaniem emocji. Badacze stwierdzili również związek między korzystaniem przez rodziców z urządzeń elektronicznych a niższym poziomem przywiązania dziecka do rodzica.

Można by długo opowiadać o sytuacjach, w których matki karmią dzieci, mając przed sobą ekran telefonu. Tymczasem są to właśnie te momenty, które mają ogromne znaczenie dla rozwoju mózgu.

Kolejna sprawa to w ogóle opowiadanie dzieciom o świecie. Dziś coraz rzadziej to robimy. Zamiast opowiadać, komunikujemy się z dziećmi za pomocą krótkich wiadomości, niemal SMS-ów: „Zejdź na kolację", „Odrobiłeś lekcje?". A kiedy dziecko przychodzi coś zjeść, rodzic zajmuje się swoimi sprawami albo przegląda telefon. Brakuje czasu na zwykłą rozmowę, na opowiedzenie, co wydarzyło się w pracy.

Kiedy badam dzieci w wieku sześciu czy siedmiu lat i pytam, czym zajmuje się ich mama w pracy, często słyszę: „nie wiem". To odpowiedź odpowiednia dla ↦

↦ trzylatka czy czterolatka, ale nie dla siedmiolatka. Dzieci nie wiedzą, czym zajmują się ich rodzice, ponieważ oni im o sobie po prostu nie opowiadają.

Dlaczego opowiadanie jest tak ważne?

Żeby to wyjaśnić, powiem trochę o neurobiologicznym, a właściwie rozwojowym aspekcie tego zagadnienia. Jesteśmy wyjątkowi: żaden inny gatunek nie wychowuje swojego potomstwa z udziałem języka. Ewolucja bardzo mocno zainwestowała zresztą w rozwój języka u człowieka i wyposażyła nasz mózg w liczne struktury, które umożliwiają jego przyswajanie.

Rozwój mowy zaczyna się w okresie prenatalnym. Już wtedy mózg dziecka zaczyna odbierać dźwięki. Po narodzinach dochodzi do tego wzrok. To bardzo ważne, ponieważ struktury mózgu odpowiedzialne za rozwój języka potrzebują stymulacji społecznej, aby mogły się aktywować, rozwijać i być w pełni wykorzystywane.

Dziecko rodzi się z odruchem nawiązywania kontaktu wzrokowego. Kiedy nachylamy się nad niemowlęciem, zaczyna ono patrzeć na naszą twarz i pobierać z niej informacje.

Język nie jest dla człowieka wyłącznie narzędziem komunikacji. Pełni także funkcje poznawcze: to za jego pośrednictwem człowiek poznaje świat i uczy się go.

Pracuje Pani na oddziale neonatologii, z wcześniakami.

Tak, i wiem, że nawet dzieci urodzone przedwcześnie, jeśli nie są obciążone poważnymi powikłaniami, potrafią jeszcze przed ukończeniem 40. tygodnia patrzeć z uwagą na twarz mamy albo taty. Ten właśnie kontakt wzrokowy, połączony z mówieniem do dziecka, aktywuje struktury językowe w mózgu. Dzięki temu język może rozwijać się na maksymalnym możliwym poziomie. A maksymalne możliwości językowe przekładają się na możliwości rozwoju poznawczego, społecznego i emocjonalnego dziecka, o których pani wcześniej wspomniała.



ARCHIWUM PRYWATNE

MARTA KORENDO jest psychologiem, logopedą, neurologopedą i językoznawcą, profesorem Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie oraz kierownikiem Katedry Logopedii i Zaburzeń Rozwoju UKEN. Pracuje na Oddziale Klinicznym Neonatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, gdzie zajmuję się oceną i wspieraniem rozwoju poznawczego wcześniaków. Autorka i współautorka ponad 70 publikacji naukowych oraz książek.

I twarz z ekranu tego nie zastąpi?

Przeprowadzano badania, w których dzieci miały kontakt z językiem na różne sposoby: jedne patrzyły na żywego człowieka i go słuchały, inne jedynie słuchały, a jeszcze inne oglądały osobę na ekranie. Okazało się, że w mózgu utrwalał się ślad językowy tylko wtedy, gdy dzieci miały kontakt z żywym człowiekiem. To tylko jeden z wielu argumentów pokazujących, jak ogromne znaczenie mają najwcześniejsze etapy rozwoju i bezpośredni kontakt z drugim człowiekiem.

Jest jeszcze kwestia ćwiczenia aparatu mowy.

Najważniejszym fundamentem rozwoju języka jest mózg. To tam zachodzą procesy, które umożliwiają przyswajanie języka. Natomiast artykulatory, czyli narządy biorące udział w tworzeniu dźwięków mowy, odpowiadają za jej nadawanie. Ich niewłaściwy rozwój może prowadzić do wad wymowy i trudności artykulacyjnych. Nie oznacza to jednak automatycznie zahamowania całego procesu rozwoju językowego.

Ale i tu obserwujemy spory problem. Dzieci są coraz częściej karmione musami i pokarmami o bardzo miękkiej konsystencji. Unikamy podawania im produktów, które trzeba gryźć. Do tego dochodzi pośpiech podczas karmienia i nadmierne rozdrabnianie jedzenia, na przykład krojenie kromek na bardzo małe kawałki, żeby dziecko szybciej zjadło. To wpływa na słabszy rozwój artykulatorów.

A zatem: nie kroić kanapek i jak najwięcej opowiadać.

Mówić do dzieci, po prostu mówić – od pierwszych chwil po urodzeniu. Twarzą w twarz. Chciałabym szczególnie podkreślić słowo „do". Nie obok dziecka, nie przy dziecku, ale właśnie „do" dziecka.

W badaniach, które omówiono kilka lat temu na łamach „Journal of Neuroscience" sprawdzano, jakie czynniki mają największy wpływ na rozwój kompetencji językowych u dzieci. Uwzględniano w nich między innymi status materialny rodziny i inne uwarunkowania. Wyniki tych badań jednoznacznie wskazywały, że jednym z najsilniejszych czynników stymulujących rozwój mowy jest właśnie rodzicielska opowieść.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

PARTNERZY WYDARZENIA

30 lat Targi w Krakowie · CAŁA POLSKA CZYTA DZIECIOM · OSHEE SPEAK UP · REBIS · Wydawnictwo Agora dla dzieci

Na 29. Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie rozmawialiśmy o tym, dlaczego opowieści mają fundamentalne znaczenie dla rozwoju dziecka, jego wyobraźni, języka i samodzielnego myślenia. Za udział w dyskusji dziękujemy Fundacji Cała Polska Czyta Dzieciom oraz przedstawicielkom wydawnictw Agora i Rebis. W ciągu najbliższych miesięcy będziemy kontynuować rozmowę na łamach „Tygodnika".

REKLAMA

OSHEE SPEAK UP



5% ZE SPRZEDAŻY OSHEE VITAMIN WATER D+K
PRZEZNACZONE JEST NA KONSULTACJE PSYCHOLOGICZNE
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

PAWEŁ

Bravo:
Zwrot ku miękkości



Na tysiąc lat anioł go związał, „węża starego, który jest dyjabeł i szatan” – a co miało się stać potem? Pytanie na czasie, bo wygląda, jakby przepowiedziana w Apokalipsie przerwa właśnie się kończyła, choć może każde pokolenie w chwilach odwagi patrzenia na siebie ma takie samo poczucie. Sięgając do jedynej na ziemiach polskich Biblii Gutenberga, tej z Pelplina, dalszego ciągu się dowiemy, bo jest generalnie w świetnym stanie, ale brakuje jej ostatniej karty – i opowieść o czasach ostatecznych urywa się właśnie tuż po słowach „...et ligavit eum per annos mille”. A dalej, co wiemy już z mniej szlachetnych wydań. piszą, że kontratak uwolnionego po tysiącu lat szatana potrwa jednak krótko (jedna, dwie kadencje...), a wszystko zaraz zakończy się sądem i to takim, którego żadna ludzka siła nie zawiesi w obowiązkach. Nie dla każdego łaskawym, no cóż, ale jednak jest to pociecha, której czytelnikom z Pelplina nie było dane zaznać. Zasługiwaliby, i to bardzo, na jakąś nagrodę za mękę czytania tych kanciastych gotyckich liter, tak równych i podobnych do siebie, że przypominają sztachety w płocie.

Morderczy dla oczu krój zwano, może jeszcze pamiętacie z liceum, teksturą. Ja w każdym razie pamiętałem. I jakież było moje zdziwienie, gdy ścieżki zawodowe poprowadziły mnie na rajskie (tak się łudziłem) wyżyny gastronomii, gdzie się okazało, że tekstura wcale nie jest czymś przykrym. Przeciwnie, było to magiczne coś, wymawiane w aurze wyższego wtajemniczenia, bilet wstępu do loży hedonizmu. Smak i zapach były ważne, uczyli mnie mistrzowie Wielkiego Zachodu, ale ech, jakże pospolite: flaki z Bazaru Różyckiego też mają swój smak i nawet wypadało go chwalić, bo już zaczynał się zwrot ludowy, ale z pewnością warszawski plebs nie wie, że mają też unikalną teksturę.

W dobrym towarzystwie rozmawiać wypada o dotykowym aspekcie jedzenia. Ale dotyk to za mocne słowo, kojarzy się z macaniem śliwek na straganie, napiszmy raczej: muśnięcie, paleta bodźców dostępna tylko wypieszczonym w zbytku językom i podniebieniom. Szukaliśmy więc zwiewnej pianki złożonej z bąbelków umierających na języku z eterycznym pyknięciem, chrupkości wyraźnej, lecz bez ostrych kantów jak w czipsach, satynowej kremowości przypominającej ten świt, gdy opuszkami palców gmerało się w szufladzie z bielizną Semiramidy.

Pożądane były kontrasty, sprężyste wnętrze w chrupkiej otoczce itd. No ale to żadne odkrycie, powie wam każde dziecko, które jogurt posypuje płatkami i zjada je prędko, póki nie rozmiękną. Przecież jednym z pierwszych aktów rozpasanego konsumpcjonizmu było w Polsce wprowadzenie przez Danone



HENRIK / ADOBE STOCK

dwukomorowego zestawu Fantasia. Każdy, kto dysponuje łyżeczką, może replikować tę interteksturalną grę. Powie wam to też każdy Liguryjczyk, który dodaje mdłe pinoli do bazyliowego pesto nie dla smaku, lecz żeby skontrastować nijaką teksturę roztartych na papkę liści. Żeby mózg odczuł przyjemność chrupnięcia. Dlatego zresztą zawsze radzę: używajcie prażonego słonecznika albo nerkowca. A może nawet orzecha włoskiego. Taniej, a efekt podobny.

Zgodnie z teorią skapywania – wprawdzie nie bogactwa, tylko jego oznak – tekstura zeszła potem na poziom ulicy, idąc w ślad za swoją siostrą fakturą, która wcześniej obchodziła tylko krawców i rzeźbiarzy, a potem stała się kwitem naszym powszednim. O tym, że gra na bodźcach dotykowych (i kuszenie nimi w marketingu) stało się najważniejszą praktyką już nie tylko szefów kuchni, ale i szefów koncernów, pisze nawet poważna agencja Associated Press w solidnym raporcie. Wynika z niego m.in., że w pogoni za coraz bardziej niezwykłym odczuciem w ustach (jakże celne słowo mają Anglicy: *mouthfeel*) jesteśmy gotowi cenić konsystencje uznawane wcześniej za nieciekawe: ogólnie miękkie, glutowate, ciągnące się, lepkie. Furorę robi np. popularny dotąd tylko w Azji ciągnący się (*stretchy*) jogurt – a takie coś zwykliśmy traktować jako błąd w produkcji (w języku mleczarskim: „nadmiar śluzowych wielocukrów”). Albo desery nawiązujące do japońskich ciastek *mochi.*

Zwrot ku miękkości, doznaniom niewyrazistym (dla kontrastu zestawionym z chrupkością) tłumaczy się potrzebą bezpieczeństwa i powrotu do babcinego kisielku w niespokoj-



nych czasach. Typowa biedapsychologia. Ale jedno wyjaśnienie, dlaczego teraz opłaca się grać na teksturze, a nie smaku i wyglądzie, zapadło mi w pamięć. Miało się to ponoć zacząć na dużą skalę w trakcie pandemii, kiedy koronawirus odciął wielu ludziom smak i węch. I jedyna przyjemność, jaką mogli czerpać z jedzenia, pochodziła z dotyku.

Lepiej nie wiedzieć, na jakie diabelstwa przekłada się to w laboratoriach. Kiedy czytam o opracowaniu specjalnego preparatu, który ma zapewnić, że frytki pozostaną chrupiące nawet pół godziny po usmażeniu i wystygnięciu, to boli mnie wątroba. Sumienie też boli, bo może lepiej by było, żeby najtęższe umysły, zamiast krzyżować odmiany ziemniaków na coraz cieńsze czipsy, zajęłyby się roślinami odpornymi na suszę i choroby dla krajów dotkniętych zmianami klimatu (i bez patentów, proszę).

Zapewne w jakimś zakątku TikToka powstają już wirale z niedosmażoną jajecznicą i miłośnicy bardziej zwartej będą się kryli po ślepych kuchniach. Przetrwamy i to, jak wszystkie przegięte trendy, a nasza rubryczka dalej będzie się zwać Smaki. Niestety, depesze agencyjne wołają nas do gorszych spraw. To ile będzie to jeszcze trwało, panie Janie?

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Senacka fasolówka

Będziecie ode mnie mądrzejsi o te parę depesz z Ameryki, bowiem kiedy pichcę dla was te słowa, jeszcze nie wiem, czy Demokratom w Ameryce udało się zdobyć większość w Senacie. Kiedy się czyta o polaryzacji zabójczej dla tradycyjnego ustroju demokratycznego – zwłaszcza takiego jak w Stanach, gdzie konsensus jest potrzebny nawet bardziej niż u nas – to często pojawia się wątek z gatunku „łezka w oku”: oto w stołówce Senatu już prawie w ogóle politycy z obu plemion ze sobą nie jedzą i nie gadają. Cokolwiek przyniosły te wybory, jedno pozostaje pewne: w menu tejże stołówki (czy raczej klubowej jadalni z kelnerami i skórzanymi fotelami) będzie na pewno zupa fasolowa. Figuruje w nim od 1903 r. i tylko przez jeden dzień (w trakcie II wojny) jej zabrakło. Jak to fasolowa – jest prosta i sycąca, aż się chce pomyśleć, że ludzie, którzy ją codziennie jadali, byli jacyś tacy, bo ja wiem, może nudni, ale bardziej spolegliwi. No i zawiera istotny komponent kremowej tekstury...

SKŁADNIKI:
300 g suszonej fasoli drobny jaś 1 mała golonka wędzona (ok. 0,6 kg) 1 duża cebula 2 ząbki czosnku 2 łodygi selera naciowego (plus ew. 2 marchewki) 2 średnie ziemniaki ▪ masło ▪ tymianek ▪ pieprz ▪ wędzona papryka ▪ biały ocet winny

W dużym rondlu o grubym dnie topimy 2 łyżki masła, szklimy drobniutko posiekaną cebulę i seler naciowy (w oryginalnym przepisie nie ma marchewki, ale też dodaję), dodajemy rozgnieciony czosnek, dusimy parę minut, doprawiamy tymiankiem, pieprzem, papryką. Dolewamy 1,5 l wody, dodajemy fasolę namoczoną przez noc (w osolonej wodzie – polecam mój tekst sprzed dwóch lat o tym, dlaczego warto tak robić), golonkę, ziemniaki pokrojone w kostkę. Zagotowujemy, przykrywamy, aż fasola zrobi się miękka, ale jeszcze nie będzie się rozpadać, potem odkrywamy i gotujemy jeszcze przez ok. 20 minut, żeby zredukować ilość płynu (chyba że uznamy, iż jest już dostatecznie gęste, to kwestia gustu). Wyjmujemy golonkę, studzimy i oddzielamy mięso od kości i tłuszczu. W garnku drewnianą łyżką energicznie rozgniatamy ziemniaki i część fasoli, dodajemy mięso, na koniec doprawiamy octem.
W pierwotnej wersji z początku XX w. do wywaru z mięsa i fasoli dopiero na koniec dodawano uprzednio ugotowane i roztarte na puree ziemniaki. Jeśli nie mamy golonki, można dać żeberka albo kość od szynki – ale to nie będzie to samo. W każdym razie ten rodzaj zupy raczej przewiduje komponent mięsny. W wersji wege można jego brak zrekompensować sporą ilością wędzonej papryki oraz dodając nieco więcej cebuli i mocno ją karmelizując w trakcie początkowej obróbki. ©℗



EZUME IMAGES / ADOBE STOCK

PSYCHE

UTUL UMYSŁ

ASIA WOJSIAT,
NEUROBIOLOŻKA I BIOCHEMICZKA, POPULARYZATORKA NAUKI:

Umysł potrzebuje mózgu, który jest zdolny do regenerowania się.
A zdrowy mózg zależy ściśle od tego, w jakiej kondycji jest umysł i czym się karmi.



ARCHIWUM PRYWATNE

EWELINA BURDA: Udało nam się porozmawiać za trzecim razem.

ASIA WOJSIAT: I dziękuję za wyrozumiałość. Dużo się u mnie teraz dzieje. Ostatnio trochę się też pochorowałam. A za pierwszym razem...

...napisałaś wtedy: „Przepraszam, zapomniałam o naszej rozmowie. Jestem teraz w lesie". To jest jakieś rozwiązanie, żeby poradzić sobie w czasach nadmiaru? Czasem coś odwołać? Pozwolić sobie o czymś zapomnieć?

Bycie osobą słowną, dotrzymywanie obietnic i zobowiązań wciąż uważam za rzecz bardzo ważną. Ale może czasem można i trzeba zrobić inaczej? Zachowując w tym dobrą relacyjność ze sobą i z innymi. Mam wrażenie, że w tym świecie nadmiaru, w którym wszyscy żyjemy, zdecydowanie łatwiej nam odrzucić nadmiar, który oceniamy negatywnie, niż ten, który klasyfikujemy pozytywnie.

To znaczy?

Wartością dla naszej głowy może być rezygnowanie z czegoś nie dlatego, że już nie mam na to przestrzeni, ale dlatego, że chcę mieć tej wolnej przestrzeni, przestrzeni na życie, więcej. Świat jest dziś bardzo zapraszający. Wszystko wydaje się ciekawe, warte uwagi, mamy ogrom możliwości: zawodowych, kulturalnych, rozwojowych. Rzeczywistość nie daje nam odpocząć; jesteśmy wsadzani w kolejne nowe role, dochodzą innowacje technologiczne, nowe bodźce, do których staramy się dopasowywać. To przeciąża nasz system nerwowy, zaburza pracę mózgu, zaburza nasz umysł. A my i tak nie potrafimy temu odmówić albo odmawiamy połowicznie.

Co się dzieje wtedy w naszej głowie?

Każdy bodziec to dla naszego mózgu wydatek energetyczny. Paradoks naszych czasów jest taki, że gdy nasz mózg ma tych bodźców za dużo, to często dodajemy mu kolejne: scrollujemy, żeby pozornie się zrelaksować, multitaskingujemy, żeby szybko zrzucić z siebie obowiązki, szukamy łatwo dostępnych informacji, co na dłuższą metę nie odciąża naszego mózgu, a realnie go osłabia. Przyspieszyliśmy cywilizacyjnie, ale ewolucja biologiczna jest dużo wolniejsza. Nasz mózg i to, jakie funkcjonowanie jest dla niego najlepsze, wciąż jest bliżej natury niż technologii.

O mózgu opowiadasz od lat jako popularyzatorka nauki, teraz ukazała się Twoja kolejna książka, „Na zdrowy umysł. Jak dbać o mózg w świecie nadmiaru". A ja mam wrażenie, że żyjemy też w świecie nadmiaru porad związanych z dobrostanem i optymalizacją życia.

Nie potrzebujemy złotych rad i recept, realnie potrzebujemy warunków, żeby to, co wiemy o zdrowym funkcjonowaniu, móc sobie wdrażać w życie. A zrozumienie, jak coś działa, czyli w tym przypadku jak działa mózg, buduje nam do tego solidne podstawy.

Dr Asia Wojsiat, 2026 r.

Jak się więcej dowiemy, będzie nam łatwiej?

Dobrostan, dopamina, kortyzol: to są bardzo modne słowa, ten język nauki już wszedł do naszej codzienności. I z mojego punktu widzenia jako popularyzatorki nauki to z jednej strony dobrze, że ta wiedza o biologii jest coraz powszechniejsza, popularna. Ja też się do tego w mediach społecznościowych przyczyniam. Ale wiem też, jak bardzo łatwo to spłaszczyć, zdeformować, sprowadzić do banału i pozbawić sensu.

Ile możemy naprawdę zmienić w swoim życiu?

Rządzą nami prawidła biologiczne, ale jesteśmy biologią, która może się modyfikować. Realnie możemy wpływać na to, jak nam się żyje, czy da się trochę lżej, spokojniej. Ale to nie znaczy, że wszystko możemy i musimy zmieniać. Niebezpieczne jest, kiedy każda naturalna trudność, smutek zaczyna być interpretowany jako błąd naszego mózgu, a nie element biologicznej zmienności.

Jak się na tę zmienność przygotowywać?

I tu kolejne z popularnych słów, czyli rezyliencja. Ja lubię ją tłumaczyć na przykładzie drzewa. Ono daje nam dobrą metaforę zakorzenienia. I jest przykładem tego, jak można radzić sobie z wszystkimi czynnikami zewnętrznymi, gdy ma się mocne, zdrowe korzenie. Tę rezyliencję warto budować nie tylko na okoliczność wydarzeń życiowych, które mogą przyjść, ale też wobec nadmiaru. Także nadmiaru przekazu o ciągłym samodoskonaleniu się.

Bo dbanie o siebie jest kolejnym zadaniem na długiej już liście obowiązków.

W tej batalii o dobrostan, w ciągłym poszukiwaniu rozwiązań, testowaniu ich pojawia się w naszej głowie dodatkowy stres – jakbyśmy go z innych powodów mieli mało. Stres, który, jeśli jest go za dużo, osiągnięty przez nas dobry stan może zaprzepaścić. Może pojawić się u nas choroba stresozależna, nasilenie np. choroby autoimmunologicznej czy po prostu zwykłe-niezwykłe wyczerpanie organizmu. Bo chroniczna aktywacja odpowiedzi stresowej naprawdę „kosztuje nas biologicznie" – zaczyna brakować zasobów. I nie tylko nie zyskamy lepszego życia w przyszłości, ale ucieknie nam to tutaj. W temacie stresu bardzo polecam książkę Roberta Sapolsky'ego, amerykańskiego biologa i neurobiologa, „Dlaczego zebry nie mają wrzodów". Bo mózg zmęczony stresem nie potrzebuje kolejnych zadań, tylko warunków, w których jego regulacja będzie możliwa.

Czyli jakich?

Gotowych rozwiązań, idealnych dla wszystkich, nie ma. Nauka, badania naukowe dają nam narzędzia, jak wspierać swój mózg, ale nie możemy sprowadzić tego do jednego działania. Na przykład: od dziś jem codziennie borówki, bo mają dużo polifenoli, a przecież pisałam w poprzedniej książce, że to dobre dla mózgu. To nie będzie oczywiście złe, ale czy przyniesie efekty, o jakie nam chodzi? Zdrowszy mózg to efekt współdziałania biologii i codziennych decyzji, a nie impulsywnych postanowień. Myślę, że stawianie sobie większej ilości pytań typu „jak się teraz mam?", zamiast szukania gotowych odpowiedzi, jest lepszą drogą. ↦

↦ Są oczywiście podstawy, o które warto zadbać, ważne dla całego naszego organizmu, o których ja też mówię i piszę. Jakościowy sen i różnorodna aktywność fizyczna. Dobre karmienie się: zarówno jedzeniem, jak i tym, co wkładamy do głowy – bo sformułowanie „cyfrowa dieta" też weszło już do języka. Wartościowe relacje, które mają biologiczną siłę: bo mówimy dużo o przebodźcowaniu, ale dziś bardzo często jesteśmy uwięzieni między nadmiarem a pustką. Życie tu i teraz, w kontakcie z naturą.

Zaszczepianie w innych ciekawości do tego, co się dzieje pod naszą czaszką, jest dla mnie jeszcze **większą nauką niż ta, z którą miałam do czynienia w laboratorium.**

Rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady?

Naturze poświęcam dużo miejsca i w swoim życiu, i w tym, co chcę przekazać. Jest ona bardzo istotnym elementem takiego naszego neuroprotekcyjnego środowiska. Neurochemia kontaktów z naturą jest złożona, zależna od wielu czynników, np. naszego stanu w danym momencie. To jest bardziej skomplikowane niż porada, że laseroterapia uzdrowi cię ze wszystkich problemów, a wyprowadzka do domku w lesie to już na pewno.

Ale Ty się przecież wyprowadziłaś z miasta.

To prawda. Po czternastu latach wyjechałam z Warszawy, mieszkam dziś w Górach Sowich. Moje życie zmieniło się, zwolniło, ale to nie jest żadna jedyna i idealna droga, jak znaleźć dziś spokój. Mówię o tym, jak ważne są relacje, ale wyprowadziłam się na tę wieś i teraz czuję, jak zaczyna mi brakować na co dzień moich przyjaciół, tęskni mi się do kina, do teatru. Jesteśmy inni, mamy inne potrzeby, te własne suwaki w wielu kwestiach musimy poustawiać kompletnie inaczej. Podkreślam, że natura jest wszędzie: jest w mieście, jest w parku, który mijasz w drodze do pracy, jest na weekendowej, bliskiej wycieczce.

Czujesz się autorytetem? Ekspertką?

Ostatnio na spotkaniu we Wrocławiu jedna dziewczyna zapytała mnie: „Pani Asiu, ale czy pani też ma normalne życie, jak my?". Bo przecież skoro tyle wiem, to powinnam zawsze mieć umysł w balansie, być świeżo po jodze i medytacji i codziennie jeść te borówki, nigdy słodyczy.

To optymalizowanie życia, poprawianie jego parametrów wpędza nas w porównywanie się. A właśnie nieporównywanie się widzę jako jeden z fundamentów spokojnej głowy. Nikt z nas nie wie, w jakiej dany człowiek jest kondycji psychofizycznej.

Powiem o sobie. Od strony naukowej wiem i umiem opowiedzieć, czym jest PTSD, jakie procesy zachodzą wtedy w naszym mózgu, co się dzieje z hipokampem, z korą przedczołową. Ale wiedza nie gwarantuje odporności, nie jest cudowną szczepionką. Dzielę się tym, także w książce, że ja doświadczyłam PTSD, które wpłynęło też na moje zdrowie fizyczne. Bo wiemy, że ciało nie funkcjonuje w oderwaniu od przeżyć, układ nerwowy pamięta bardzo wiele. Stres zawsze będzie, trudne momenty w życiu zawsze będą i nigdy nie wiem, jak sobie z nimi poradzimy. Jak buddyjska *dukkha*, odniesienie do cierpienia, które po prostu jest, było i będzie immanentną częścią życia.

A jak my się mamy nauczyć po prostu być?

Są badania, które pokazują, że odłączenie się, wyciszenie, zatrzymanie, kontemplowanie momentów – choć wiemy wszyscy, jak bardzo to może być trudne – uspokaja mózg i przynosi wiele korzyści. Lenistwo, które jest błogie, a nie połączone z nazywaniem się „śmierdzącym leniem"; odpoczynek, który nie musi być zasłużony. Jest też nuda, która nie pojawia się po to, by nas całkowicie zatrzymać, ale po to, by uruchomić ruch skierowany do naszego środka, nie na zewnątrz. W naszych dorosłych mózgach nudę, razem z zabawą, chęcią eksploracji, często spychamy do kąta z napisem: „już nie wypada".

Bo takie przekazano nam przekonania. Ty się nie dałaś przekonaniu, że nauki ścisłe nie są dla dziewczynek.

Od podstawówki ciągnęło mnie do tego świata żywego. I dziękuję moim rodzicom, że nigdy tutaj nie próbowali wpłynąć na moje ścieżki wyboru. Na studiach przez chwilę chciałam nawet przenieść się na weterynarię. Studiowałam biologię, biochemię, poszłam na doktorat. Ale zanim trafiłam na mózg, naukowo zajmowałam się zapłodnieniem *in vitro* w kontekście parametrów biochemicznych. To było fascynujące, ale nie moje. Zrezygnowałam z doktoratu, trafiłam wtedy na informację o rekrutacji na studia doktoranckie w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego Polskiej Akademii Nauk. Pomyślałam na początku: przecież nie ma co tam nawet składać papierów. Ale jakoś sama siebie do tego przekonałam.

I czego się tam nauczyłaś?

To była duża zmiana. Wywodziłam się z twardej biochemii i dopiero zagłębiałam się tak na poważnie w neuronaukę. Miałam tam bardzo dobrą energię z moją panią promotor, dużą pomoc. Zaczęłam badać mózg i chorobę Alzheimera. Wtedy pojawiła się taka prawdziwa naukowa miłość. I wraz ze zgłębianiem twardej nauki o mózgu coraz bardziej ciągnęły mnie rzeczy bardziej miękkie.

Czyli jakie?

Wszystko to, co jest powiązane z umysłem i trudniejsze do uchwycenia: emocjonalność, jaźń, świadomość. Fascynowało mnie to, co zachodzi w naszym układzie nerwowym podczas praktyk duchowych, medytacji czy w momentach głębokiej uważności. Bardzo przyciągnęła mnie cała psychosomatyka.

Ale karierę naukowczyni w takim klasycznym wydaniu odłożyłaś na bok.

Mam w sobie dużo miłości do tej twardej nauki, do szkiełka i oka, eksperymentów, skomplikowanych terminów. Ale zaszczepianie w innych ciekawości do tego, co się dzieje pod naszą czaszką, jest dla mnie jeszcze większą nauką niż ta, z którą miałam do czynienia w laboratorium. I chyba przede wszystkim czuję i przeżywam to tak, że może realnie coś pomóc/zmienić w ludzkim życiu. Choć absolutnie nie wyklu-

czam tego, że może jeszcze powrócę do pracy bardziej osadzonej jednak w doświadczeniach, laboratorium. Nigdy nie mów nigdy.

Jak dobrze opowiadać o nauce?

To, co mówię, wynika z aktualnej wiedzy naukowej, moich doświadczeń życiowych i mojej wrażliwości. Ale uczę się, jak nadawać temu więcej łagodności, jak to łączyć z codziennością, jak szukać relacji z realnym światem. Popularyzacja jest dla mnie ważną misją i znajduję w tym spełnienie. Wiele rzeczy wiem, wielu wciąż się uczę, umiem to przekładać na prostszy język, ale jestem człowiekiem, to też mnie dotyka osobiście. I wydaje mi się, że nadawanie tej rzetelnej nauce, która często nas paraliżowała w szkole, takiego miękkiego oblicza jest dobrą drogą. I moją drogą. Bo głęboko wierzę, że każdy z nas ma takie swoje światełko, jakąś misję, choć to wielkie słowo. To może być na bardzo różnych poziomach, nie muszą to być stanowiska, nagrody, stereotypowa wielka kariera.

A na tę relację mózg–umysł jak dziś patrzysz?

To jest dla mnie wciąż niezwykłe, że przy tej ilości wiedzy, którą mamy o mózgu, o umyśle wciąż wiemy bardzo niewiele. Przez stulecia mieliśmy ten kartezjański podział na ciało i umysł. Dziś dobrze wiemy, że nie możemy rozdzielać tych rzeczy. Wiemy przykładowo, że to, co się dzieje w naszych jelitach, wpływa na stan naszego mózgu, a to, co się dzieje w naszych jelitach, jest związane z emocjonalnością. Wiemy, że na rozwój choroby Alzheimera mogą wpłynąć np. choroby przyzębia. Wiemy, że choroby autoimmunologiczne są powiązane ze stresem; wiemy, jak praca z przekonaniami wpływa też na ciało. Kiedyś mówiliśmy, że w zdrowym ciele zdrowy duch, i ja się absolutnie z tym zgadzam.

A w zdrowym mózgu zdrowy umysł?

Tak. Umysł potrzebuje mózgu, który jest zdolny do regenerowania się. A zdrowy mózg zależy ściśle od tego, w jakiej kondycji jest umysł i czym się karmi.

Eric Kandel, wybitny neurobiolog, jeden z moich ukochanych badaczy, wielokrotnie podkreślał, że neuronauka zaczyna dopiero rozumieć biologiczne podstawy umysłu. A każde nowe odkrycie w tematyce mózgu odsłania kolejne warstwy złożoności człowieka. To, czym jest umysł jako wytwór mózgu, wciąż jest nie do końca odkryte. Z mózgiem jest prościej: wszyscy mamy kory przedczołowe, hipokampy, móżdżki. Struktury naszych mózgów w zasadzie niewiele się od siebie różnią. Gdybyśmy wsadzili nasze mózgi do formaldehydu, to wizualnie też byłyby do siebie podobne.

Nie ma dwóch podobnych do siebie umysłów?

Nie wytłumaczę naukowo, jak to jest być mną ani jak to jest być Tobą. Nie wytłumaczę, jak ja czuję zapach, jak widzę kolory, jak słyszę dźwięki. Jak ja odczuwam swoje „ja". Jest taki słynny esej Thomasa Nagela „Jak to jest być nietoperzem?" z 1974 r., w którym dowodził, że nauka w obecnym kształcie nie potrafi wyjaśnić subiektywnego doświadczenia. Możemy wiedzieć wszystko o tym nietoperzu: jak wygląda jego mózg, ile waży, jak działa jego alokacja, ale nie potrafimy dowiedzieć się, jak wygląda to subiektywnie, jak to jest być nim.

Bardzo mi bliskie jest stwierdzenie, że tak jak oko nie zobaczy samo siebie, tak samo mózg i umysł nigdy nie będą w stanie siebie pojąć do końca. I umysł, który wyłania się z tej galaretowatej białkowo-tłuszczowej masy, którą mamy pod tą kopułą, jest dla mnie wciąż prawdziwą naukową magią.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA



ASIA WOJSIAT (ur. 1987) jest neurobiolożką i biochemiczką. Wykładowczyni akademicka i popularyzatorka nauki. Doktor nauk biologicznych w dyscyplinie biochemia, ze specjalnością w neurochemii. Autorka książek: „Tak działa mózg. Jak mądrze zadbać o jego funkcjonowanie" (W.A.B.) oraz „Na zdrowy umysł. Jak dbać o mózg w świecie nadmiaru", wydanej przez Wydawnictwo Dobrostany, którego jest dyrektorką programową. Prowadzi podkast „Umyślnie", w mediach społecznościowych działa jako @drjoanwojsiat.

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

Zanim stał się jednym z najważniejszych poetów Nowej Fali, współtworzył poznański Teatr Ósmego Dnia. Nazwę zaczerpnięto z Teatrzyku Zielona Gęś Gałczyńskiego. Ósmy dzień, dopisany do biblijnego porządku, przynosił stworzenie teatru.

O POEZJI, TEATRZE I PRZEKŁADACH STANISŁAWA BARAŃCZAKA, A TAKŻE JEGO ZWIĄZKACH Z POZNANIEM

piszą Jerzy Jarniewicz, Anna Pajęcka i Krzysztof Siwczyk.

WSPÓŁPRACA:
WYDAWNICTWO MIEJSKIE POSNANIA
POZnań

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD WTORKU 10 LISTOPADA

TOMASZ

Stawiszyński:
Romanse, jurorzy i AI



W latach 90. ubiegłego stulecia pewien mój znajomy parał się zawodowo pisaniem tanich romansów dla międzynarodowego potentata w tej dziedzinie, który wszedł wówczas na polski rynek. Oczywiście, chodziło o klasyczny *ghostwriting* pod pseudonimem. Znajomy opowiadał, że dostawało się z centrali różne tabele i wykresy, drukowane na tekturowym papierze, a w tych tabelach i wykresach wyszczególnione były najdrobniejsze fabularne ingrediencje. Czyli m.in.: wiek mężczyzny, wiek kobiety, status społeczny, kolor oczu i włosów oraz inne fizyczne cechy, miejsce akcji (np. egzotyczna wyspa, wielkie ranczo, luksusowy jacht albo jakaś nowoczesna metropolia), epoka itd. Również erotyka oraz zwroty akcji były w sposób ścisły zdefiniowane. Zadaniem autora było jedynie potasowanie tych elementów i złożenie z nich kilku maksymalnie prostych i przewidywalnych fabuł. Znajomy bardzo sobie to zajęcie chwalił, romansowa kombinatoryka przez wiele lat zapewniała mu obfity dopływ gotówki.

Tak, tak, mnie również powyższa historia kojarzy się ze współczesnymi dyskusjami o sztucznej inteligencji i końcu literatury. Niedawno wybuchły one na nowo przy okazji sprawy kanadyjskiego pisarza Thélysona Oréliena (wspomina o niej również na pierwszych stronach tego wydania Sylwia Czubkowska). O przypadku tym wypowiedział się także wydawca nominowanej już do Goncourtów książki, kanadyjska oficyna Boréal. W krótkim a enigmatycznym oświadczeniu poinformowano, że współpraca z autorem została zerwana, ponieważ zewnętrzne analizy wykazały udział sztucznej inteligencji w powstawaniu dzieła. Wykryto również plagiaty w jego wcześniejszej twórczości publicystycznej sprzed kilkunastu lat. Wygląda więc na to, że nastąpił spektakularny koniec świetnie zapowiadającej się kariery. Historia, jakich wiele już było, tym razem wzbogacona o nowy technologiczny kontekst.

Cóż, zapewne prędzej czy później wydawnictwa wypracują jakieś sposoby na sprawdzanie, czy przedstawiony im do druku utwór nie został przypadkiem wygenerowany przez chatbota. Choć zalew rynku przez wyroby sztucznej inteligencji jest nieuchronny, z pewnością zaraz ktoś zacznie przyznawać jakieś „certyfikaty człowieczeństwa" – nie tylko książkom. Zagadnieniem fundamentalnym pozostaje jednak pytanie: czy naprawdę będziemy mieli ochotę czytać powieści wypreparowane przez AI?

Jest to niewykluczone, skoro od dawna roi się w świecie literatury i kultury popularnej od produktów generycznych, tworzonych od sztancy, na podobieństwo tych, nad którymi ślęczał całymi dniami mój wspomniany wyżej znajomy. Ba, można by nawet powiedzieć, że popularna gatunkowa literatura, podobnie jak film, wręcz opiera się na takich powtarzalnych, schematycznych rozwiązaniach. To one właśnie – ich obecność, umiejętne ich tasowanie, układanie z tych samych kawałków wciąż tylko trochę różnych od siebie opowieści – tworzą zasadniczą tożsamość tego pola. Dokładnie takimi samymi regułami rządzą się produkcje popularnych platform streamingowych – wszystko jest tam wyliczone co do minuty, powtarzalne i przewidywalne. Ostatnio nawet wprowadza się jakieś „innowacje", żeby można było oglądać filmy i seriale, jednocześnie scrollując i śledząc akcję jednym okiem, co wydaje mi się już, proszę wybaczyć, naprawdę ciężką aberracją.

Tak czy owak, z pewnego punktu widzenia nie ma znaczenia, czy produkcją takich rzeczy zajmuje się AI, czy człowiek ślęczący nad przysłanymi w kopercie tekturami. Problem leży gdzie indziej. A mianowicie – po pierwsze – w tempie produkcji, jakie osiągają modele językowe, czyli w ilości masy tekstowej i wizualnej, jaką są w stanie wyemitować. Po drugie zaś – i najważniejsze – w potencjalnym na razie, ale niechybnym osłabianiu pozycji artystycznej literatury pisanej przez ludzi (w tym także wspaniałej literatury gatunkowej przekraczającej gatunkowe ramy, *vide* James Ellroy, Caitlin Kiernan, Clive Barker, Anne Rice, Stephen King, Raymond Chandler).

Skądinąd w historii Oréliena najbardziej niepokojące jest nie to, czy kolejny spryciarz postanowił pójść na skróty, lecz fakt, że na jego „powieści" nie poznali się członkowie jury jednej z najważniejszych światowych nagród. Fakt ten, mam wrażenie, jakoś zniknął w ferworze komentarzy, a wydaje się wyjątkowo symboliczny. Nie wnikam, jakie były tego realne przyczyny – czy okoliczność, że kryteria literackie ustępują niekiedy kryteriom ideologicznym, czy może wyjątkowa biegłość zastosowanego chatbota. Dość, że grupa złożona z najbardziej wykwalifikowanych – przynajmniej teoretycznie – ekspertów dała się na coś podobnego nabrać.

A przecież literatura pozostaje jedną z naszych – czyli ludzkich – najpotężniejszych i najważniejszych metod poznawania siebie i świata. Orientowania się w rzeczywistości, mapowania jej, a także – przede wszystkim – otwierania dostępu do innych podmiotów, do innych sposobów życia, innych doświadczeń, innych losów.

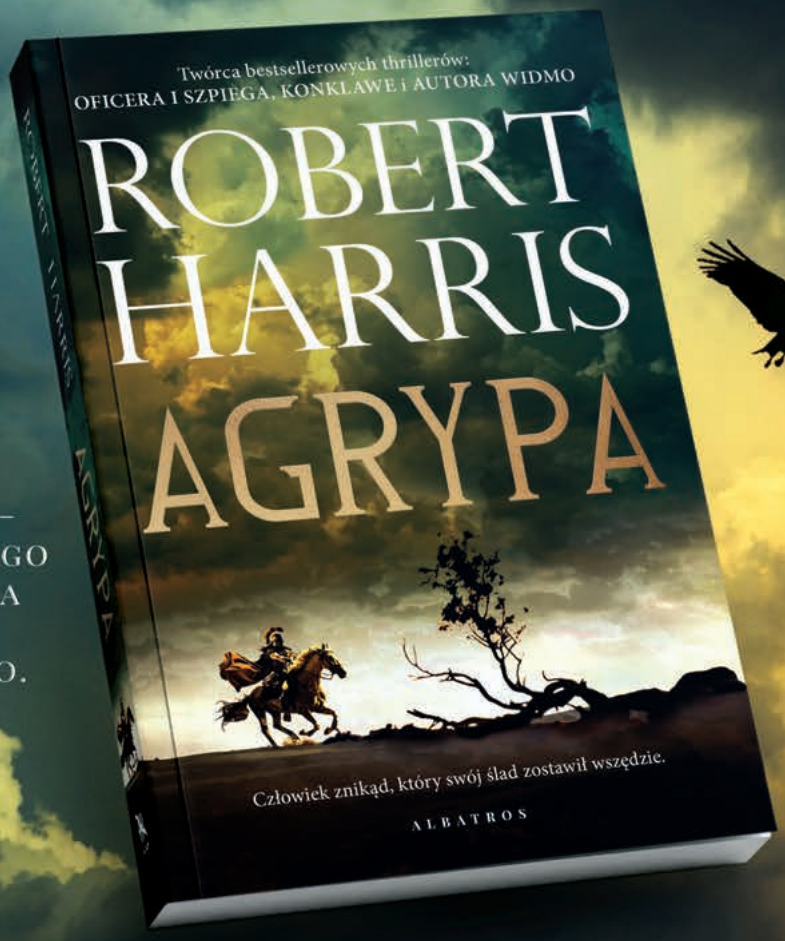
Dlatego właśnie oddanie literatury maszynom może się skończyć tylko źle. W tym kontekście romanse wytwarzane masowo w latach 90. na podstawie tekturowych tabel – ale ze wszech miar człowieczą ręką! – jawią mi się jako wcielenie poczciwości. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA

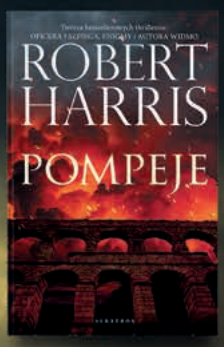
ROBERT HARRIS

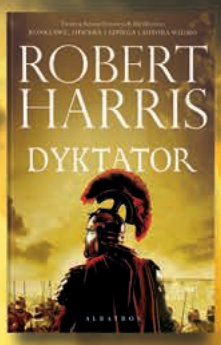
POWRACA DO STAROŻYTNEGO RZYMU!

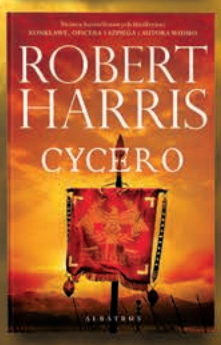


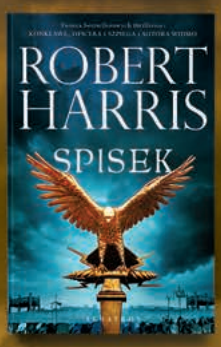
HISTORIA **MARKA AGRYPY** – ZAPOMNIANEGO ARCHITEKTA IMPERIUM RZYMSKIEGO.

TRYLOGIA RZYMSKA









BRAWUROWA POWIEŚĆ O PRZYJAŹNI, LOJALNOŚCI, AMBICJI I... ZDRADZIE.

Wolał budować. niż burzyć. Działać po cichu, niż błyszczeć.

Nienawidził polityki, lecz los związał go z politycznym geniuszem.

Zasiadał więc na szczytach władzy i zwyciężał w wielkich bitwach.

Bez niego losy cesarstwa potoczyłyby się zupełnie inaczej.

WYDAWNICTWO ALBATROS

REKLAMA

RAINBOW

NARTY

RODZINNE

SKI SAFARI

DLA DOROSŁYCH



Figlo klub!

Na stoku!

Szkolenia z instruktorami **SITN**